

Karolina Wilczyńska



# MARZENIA SZYTE NA MIARĘ



STACJA JAGODNO



# MARZENIA SZYTE NA MIARĘ

Karolina Wilczyńska

# MARZENIA SZYTE NA MIARĘ

STACJA JAGODNO







Tego to ja już nie ogarnę!

Tamara nawet nie zdjęła butów. Od razu weszła do pokoju i opadła na fotel. Siatki z zakupami wylądowały na podłodze. Nie miała siły, jakby nagle cała energia, jaką dysponowała, wyczerpała się i jej ciało niezdolne było do najmniejszego ruchu, a w głowie królowała pustka. Czuła, że potrzebny jej kwadrans, no, może chociaż dziesięć minut, żeby zebrać myśli i cokolwiek zrobić. Była zmęczona. Bardzo.

W pracy zaczął się już kolejny napięty okres, jak zawsze przed świętami. Wszyscy klienci czegoś chcieli i to oczywiście natychmiast. Trzeba było temu sprostać, a o nierealnych oczekiwaniach i dziwacznych pomysłach mogłaby z pewnością napisać książkę. Gdyby miała czas. Na razie jednak odnosiła wrażenie, że doba jest stanowczo za krótka.

Babcia Róża była w szpitalu, więc Tamara musiała uwzględnić w planie dnia także odwiedzinę u staruszki. Do tego wieczorne gotowanie i wyrzuty sumienia, że znowu zbyt mało czasu spędza z Marysią. Córka wróciła do szkoły i nie skarżyła się, ale Tamara, po ostatnich doświadczeniach, wołała baczniej przyglądać się nastolatce. Poza tym naprawdę zależało jej na odbudowaniu dobrych relacji z córką. Co prawda znowu jadały codziennie razem kolację, ale czy to nie za mało?

Na domiar złego dzisiaj dowiedziała się, że babcia Róża za dwa dni zostanie wypisana do domu. Co prawda spodziewała się przecież, że pobyt w szpitalu nie będzie trwał wiecznie, ale jakoś ciągle nie miała czasu, żeby zaplanować, co robi. A teraz miała w perspektywie codzienną jazdę do białego domku. Co prawda jeździła tam, żeby doglądać gospodarstwa, ale wystarczały wizyty co kilka dni. Łukasz zajmował się zwierzętami i przepalał w piecu, co z jednej strony było jej bardzo na rękę, ale z drugiej – za każdym razem miała nadzieję, że go nie spotka, bo każda chwila spędzona z tym wiecznie ponurym i złośliwym mężczyzną denerwowała ją. Te uważne spojrzenia spod oka, na których go przyłapywała, były naprawdę irytujące. Jakby oceniał wszystko, co robi, i chociaż tego nie mówił, to czuła, że w jego oczach nic nie jest tak, jak być powinno. Znosiła go jednak, bo nie miała wyjścia. Ale

teraz babci nie wystarczy człowiek dochodzący do niej co jakiś czas z lasu. Musi mieć stałą i odpowiedzialną osobę, która się nią zaopiekuje. I wszystko wskazuje na to, że to zadanie przypadnie Tamarze. Bo komu innemu?

– O, widzę, że coś słabo dzisiaj? – bardziej stwierdziła niż zapytała Marysia.

– Raczej słabo – potwierdziła matka.

– Rozbierz się, a ja zrobię herbatę – zadysponowała nastolatka.

– Dobry pomysł. Daj mi chwilę. Przebiorę się i przyjdę do ciebie, to przygotujemy jakąś kolację.

Zdejmując kozaki, patrzyła, jak córka zbiera siatki z zakupami. Poczowała radość i wzruszenie. Miło było wiedzieć, że dziewczyna się o nią troszczy, że zauważyła zmęczenie...

Z ulgą poruszyła stopami. Po dziesięciu godzinach w butach na obcasie bolały ją łydki, za to palców nie czuła już wcale. Pomasowała je przez chwilę i ruszyła do łazienki.

Prysznic trochę pomógł, jakby woda zmyła z ciała trud całego dnia. Po kwadransie, przebrana w dżinsy i luźną bluzę, pojawiła się w kuchni.

– Już wszystko gotowe? – zdziwiła się, widząc na stole talerz z kanapkami.

– I tak byłam głodna, to przy okazji zrobiłam i dla ciebie. – Marysia odwrócona tyłem nalewała herbatę do kubków.

– Doceniam, doceniam – uśmiechnęła się Tamara. – Bo dzisiaj to mam taki dzień, że mogłabym chyba skaleczyć się nawet łyżeczką.

Córka postawiła kubek z parującym napojem na bambusowej podkładce i usiadła naprzeciwko niej.

– W pracy taki młyn? – zapytała.

– Mhhhm. – Tamara wbiła zęby w kanapkę. – No i na dodatek za dwa dni babcię wypisują ze szpitala. Zupełnie nie mam pomysłu, jak to wszystko zorganizować. No, ale w końcu coś wymyślę, tylko muszę się zastanowić.

Nie chciała obarczać córki swoimi problemami, ale w głębi duszy naprawdę trudno jej było sobie wyobrazić, jak to będzie.

– To przywieź babcię tutaj, do nas – powiedziała dziewczyna tak naturalnie, jakby to było oczywiste. – Mogę spać z tobą na kanapie, a babcia u mnie w pokoju.

Tamara spojrzała uważnie na córkę. Rozwiązanie wydawało się idealne. Dlaczego sama na to nie wpadła? Babcia u nich, odpadały więc codzienne kursy do Borowej i jeszcze Marysia miałyby towarzystwo, nie siedziałyby całe popołudnia sama.

– Córciu, jesteś genialna!

– Wcześniej o tym nie wiedziałaś? – zażartowała Marysia.

Teraz, kiedy nieoczekiwanie pojawiła się nowa i całkiem pozytywna perspektywa przyszłości, Tamara odzyskała energię i chęć działania. Wszystko przemyśle jeszcze przed zaśnięciem – pomyślała. – I może nawet odpowiem dziś na te e-maile od klientów, którzy nie mają co robić i do później nocy wymyślają coraz bardziej idiotyczne poprawki.

Wiedziała, że nie może pozwolić sobie na żadną wpadkę w pracy. I tak kombinowała trochę, żeby móc odwiedzić babcię w szpitalu. Jedna skarga od klienta i byłoby źle. W ogóle cała ta historia zdarzyła się w najbardziej nieodpowiednim czasie. Gdyby był maj albo czerwiec, wyglądałoby to zupełnie inaczej. A tak – wszystko naraz, wszystko natychmiast. No, ale teraz przynajmniej była nadzieja, że jakoś się to ułoży.

– A co tam u ciebie? – zapytała córkę.

– W porządku. Jakoś leci. – Dziewczyna najwyraźniej nie miała ochoty na rozwijanie tematu. Tamara nie nalegała, mając nadzieję, że nie dzieje się nic złego i że córka naprawdę sobie jakoś radzi.

– Jutro postaram się wrócić wcześniej. Zrobię większe zakupy i może obejrzymy razem coś ciekawego?

– zaproponowała.

– Możemy – zgodziła się Marysia. – A najlepiej daj mi listę tych zakupów, to ja zrobię. Wcześniej kończę. I Kamil przyjdzie, to mi pomoże wszystko przynieść – dodała, po czym zebrała talerzyki i odwróciła się w stronę zlewozmywaka.

Tamara wyczuła, że nie powinna zadawać pytań. Zresztą akurat informacja o tym, że Marysia utrzymuje kontakt z tym chłopakiem, a nawet zamierza się z nim spotkać, wcale jej nie zaniepokoiła. Przeciwnie – Kamil od początku zrobił na niej dobre wrażenie. No i, co tu kryć, miał chyba dobry wpływ na Marysię. Może dzięki niemu zapomni o tamtym, który tak ją skrzywdził...

– Dobrze – przyjęła bez komentarza propozycję córki. – Napiszę wszystko jutro rano. A teraz jakie masz plany?

– Chemia – westchnęła Marysia. – Jutro dwie godziny, a ja zaliczam dział z zeszłego półrocza...

– Będzie dobrze. – Tamara poklepała przechodzącą córkę po ręce. – Tylko nie siedź za długo, bo będziesz jutro niewyspana.

– OK, OK – rzuciła dziewczyna, wychodząc.

Tamara, dopijając herbatę, zapaliła wieczornego papierosa. Stała w oknie i patrzyła na oświetloną panoramę miasta. Gdzieś w dali zaszczekał pies, ktoś gwizdnął i nastąpiła cisza. Kielce powoli układały się do snu.

– Może jednak jakoś dam radę – uśmiechnęła się do siebie.



Marysia rzuciła książkę na łóżko. Zapamiętanie choć jednej informacji więcej graniczyło z cudem. Próbowwała, naprawdę, ale teraz miała wrażenie, że już wszystko pomieszało jej się w głowie – definicje, symbole, wzory i ich angielskie odpowiedniki. To nie było łatwe. A jeszcze biorąc pod uwagę to, że naprawdę miała spore zaległości, chwilami zastanawiała się, czy da radę.

Ale bardzo chciała. Nie tylko dlatego, że obiecała matce, chociaż to był ważny powód. Cały czas pamiętała jej twarz pochyloną nad szpitalnym łóżkiem. Marysi było wstyd, że mogła robić takie głupie rzeczy. A matka wszystko wybaczyła i na dodatek teraz też zachowuje się naprawdę fajnie.

Marysia była przygotowana na kontrolę, spowiadanie się z każdego kroku, wypytywanie o wszystko. Tymczasem matka nigdy nie nalegała. Owszem, zadawała pytania, ale zadowalała się tym, co usłyszała. Dokładnie tak, jak jej obiecała podczas rozmowy po powrocie z Borowej.

– Wiesz, że bardzo cię kocham i chcę dla ciebie jak najlepiej – powiedziała wtedy. – Ale siłą cię do niczego nie zmuszę. Pamiętaj, że zawsze możemy porozmawiać, nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy będziesz miała kłopoty. Nie zamierzam bawić się w oficera śledczego, bo to i tak nic nie da. Mam tylko nadzieję, że wyciągniesz wnioski z tego, co nam się przytrafiło.

Marysia najbardziej zapamiętała to, że powiedziała „nam”. Bo to znaczyło, że nie obwinia tylko swojej córki, ale sama też ma świadomość własnych błędów. Dziewczynie trafiło to do serca i dlatego postanowiła wyprostować sprawy w szkole i być wobec matki w porządku. Starła się więc, chociaż nie było łatwo.

A jutro dwie godziny chemii. Na samą myśl o tym czuła ściskanie w brzuchu. Musiała zaliczyć ten dział, bez tego nauczyciel nie pozwoli jej zdawać kolejnych. Przyswajanie zaległego materiału miało też i inne konsekwencje – pozostawało zbyt mało czasu na naukę bieżących tematów, więc najlepszym rozwiązaniem byłoby skończyć z powtórkami, żeby nie pogłębiać zaległości.

Żeby to było takie proste – westchnęła i zerknęła na odrzucony podręcznik. – Nie, to bez sensu. Już nie

dam rady dzisiaj. Trudno, najwyżej nie zaliczę...

Otworzyła okno, żeby przewietrzyć pokój przed snem. Przebrała się w piżamę i podeszła do biurka. Włączyła komputer. Pięć minut – pomyślała. – Zerknę tylko, czy ktoś jeszcze siedzi.

Nie chciała się przyznać nawet przed samą sobą, że ten ktoś to bardzo konkretna osoba.

Miała szczęście, bo kiedy tylko się zalogowała, natychmiast na monitorze pojawiło się okienko rozmowy.

*Kamil: Jeszcze nie śpisz?*

*Marysia: Uczyłam się chemii. Ale już nie mogę...*

*Kamil: Proszę, jaka pilna uczennica ;)*

*Marysia: Daj spokój! Nic mi do głowy nie wchodzi. Jutro polegnę.*

*Kamil: Jestem pewien, że zaliczysz. Znam cię.*

*Marysia: To chyba lepiej niż ja samą siebie. Bo mnie się wydaje, że nie ma szans.*

*Kamil: Na pewno zaliczysz. Nie martw się. A jutro będziesz się śmiać z tego, co przed chwilą napisałaś.*

*Marysia: No nie wiem...*

*Kamil: Ale ja wiem :) A jutro aktualne?*

*Marysia: Tak. Tylko nie wiem, czy to coś da. Bo ja naprawdę do matmy to nie mam talentu.*

*Kamil: Zobaczysz, że tu talent niepotrzebny. Wszystko ci wytłumaczę, ale tylko po polsku ;)*

*Marysia: Nie nabijaj się ze mnie. Już mam dość tej szkoły.*

*Kamil: O, chyba naprawdę jesteś zmęczona. Nie wymyślaj, tylko się kładź. Bo jutro będziesz niewyspana.*

*Marysia: Mówisz, jak moja matka.*

*Kamil: No to twoja matka jest mądrą kobietą ;) Więc słuchaj mądrych :)*

*Marysia: Jesteś okropny!*

*Kamil: Do jutra! :)*

*Marysia: :)*

Wyłączyła komputer i zamknęła okno. Było jej trochę lżej na sercu. To fajne uczucie – wiedzieć, że ktoś w ciebie wierzy i lubi cię taką, jaka jesteś. Nawet, gdy sama w siebie wątpisz. I na dodatek chce ci pomóc, chociaż nic z tego nie ma. Taki właśnie był Kamil.

W sumie wobec niego też nie zachowała się najlepiej, ale nigdy jej tego nie wypominał. W ogóle nie mówił nic o tym, co było. Wysłuchał jej, a opowiedziała mu wszystko, bo bardzo tego potrzebowała. I nie chciała, żeby ktoś komentował czy doradzał. A Kamil właśnie tego nie robił.

Może jednak uda mi się zaliczyć tę chemię? – pomyślała, przytulając głowę do poduszki. – I może nawet zrozumieć matematykę, jak mi Kamil wszystko wytłumaczy. Skoro twierdzi, że dam radę, to chyba wie, co mówi.

Żeby tylko dotrzeć jakoś do końca roku. Potem zmieni szkołę, tak ustaliły z matką. Przynajmniej nie będzie musiała uczyć się wszystkiego po angielsku. No i nie będzie Wolskiej, która bardziej nadawałaby się do kolonii karnej niż na wychowawcę w liceum.

Jeszcze cztery miesiące – pocieszała się Marysia. – Tylko tyle i nie będę już musiała tam chodzić. No i żeby zdać, bo trochę głupio powtarzać rok.

Wreszcie zmęczenie zwyciężyło i dziewczyna zasnęła. Na szczęście tym razem spokojnie. Bo zdarzało się jeszcze, że śniła o tamtej nocy, o szarpaninie w samochodzie, o Oskarze i o tym, co chciał zrobić. Wtedy budziła się mokra od potu, a serce biło jak oszalałe. Nie mówiła o tym matce, bo nie chciała dokładać jej zmartwień. Miała nadzieję, że kiedyś wreszcie zapomni i wtedy sen przestanie się



powtarzać. Bardzo tego chciała.



Ewa Dobrosz doskonale wiedziała, że Róża Marcisz ma być wypisana ze szpitala, chociaż nie odwiedziła staruszki ani razu. Za to, wykorzystując swoje znajomości, regularnie dowiadywała się o jej stan zdrowia. Konsultowała nawet usłyszane informacje z pewnym profesorem z krakowskiej kliniki. Zawsze tak robiła, gdy chciała mieć pewność, że niczego nie przeoczyła i nie zaniedbała. A tym razem szczególnie jej zależało. Musiała mieć stuprocentowe przekonanie, że staruszka opuszcza szpital w dobrej formie. Na szczęście okazało się, że zawał nie był rozległy i wszystko wskazywało na to, że przy odrobinie szczęścia, za rok nawet patrząc na wynik EKG, nikt nie domyśli się, że taki incydent miał miejsce.

Dobry, przedwojenny materiał – pomyślała lekarka. – To pokolenie tyle przeszło, a jednak zdrowie im dopisuje i trzymają się życia. Może dlatego, że wiedzą, jak łatwo je stracić?

Najważniejsze jednak było to, że Ewa mogła uznać, że wywiązała się z obowiązku. Dopilnowała, żeby Róża Marcisz miała dobrą opiekę, szepnęła kilka słów komu trzeba. Zadbana nawet o to, żeby lekarz prowadzący przedstawił stan zdrowia staruszki jako nieco poważniejszy niż był w rzeczywistości. Zdawała sobie sprawę, że zmartwi to Tamarę, ale ważniejsza była pewność, że dzięki temu drobnemu kłamstwu bardziej zmobilizuje otoczenie staruszki do zapewnienia jej dobrej opieki. Zresztą – pomyślała ze złością – moja córka i tak bardziej przejmuję się tą kobietą niż własną matką, więc to i tak bez różnicy.

Skoro Róża Marcisz lada dzień znajdzie się we własnym domu, to ona, Ewa, będzie mogła uznać swoją misję za skończoną. Czuła się zobowiązana roztoczyć dyskretną opiekę nad pacjentką, ale jednocześnie uznawała, że gdy Róża przekroczy próg szpitala, Ewa nie jest już za nią odpowiedzialna. Niech ten obowiązek przejmie ktoś inny. A ona będzie mogła znowu zapomnieć.

Tak, to byłoby najlepsze rozwiązanie. Wiedziała o tym od lat i robiła wszystko, żeby na zawsze zatrzeć w pamięci fakt istnienia Róży Marcisz i wszystkiego co wiązało się z jej osobą i odległymi czasami, w których los je połączył. Nie chciała do tego wracać, wierzyła, że czas zabił rany. I można powiedzieć, że jej plan się powiódł.

Tymczasem w jakiś niewytłumaczalny sposób, nieoczekiwanie, Róża Marcisz na nowo wkroczyła w jej życie. Nikt nie zapytał, czy tego chce, czy jest gotowa. Stare rany w duszy i sercu znowu się otworzyły i na nowo, jak przed laty, zaczęły dokuczać.

Ewa Dobrosz najchętniej nie interesowałaby się staruszką wcale, ale zawsze hołdowała zasadzie, że należy zachowywać się tak, żeby nie mieć sobie nic do zarzucenia. Przemyślała sytuację i postanowiła zrobić tyle, ile może. Ale nic ponadto. Nie mam wobec tej kobiety żadnych zobowiązań – przekonywała samą siebie. – Po prostu ją znam i zrobię to, co dla każdego innego znajomego. Nie muszę jej odwiedzać, nie chcę i nie będę.

Nie musiała, nie chciała i nie odwiedzała więc. Na szczęście nikt jej do tego nie namawiał i nie przekonywał. Tamara w rozmowach unikała starannie tematu staruszki, bo знаła stosunek matki do tej sprawy. Nie miała pojęcia, że lekarka zrobiła cokolwiek i Ewa Dobrosz chciała, żeby tak zostało. Nie życzyła sobie, żeby córka się dowiedziała, bo mogłaby zacząć zadawać pytania, na które Ewa nie miała ochoty odpowiadać. Nie tylko córce, ale nawet samej sobie.

I bez takich rozmów było jej trudno. Wspomnienia powracały, chociaż niechciane, jakby to jedno spojrzenie na staruszkę uczyniło wyłom w murze, który postawiła w sobie, odgradzając niechcianą przeszłość. Teraz przez tę dziurę wywierconą spojrzeniem błękitnych oczu Marciszowej znowu wyłaziły

uczucia sprzed lat. A najgorszym z nich było poczucie samotności i odrzucenia.

A przecież już dawno wytłumaczyła sobie, że lepiej być niezależną, niezwiązaną z nikim. Nie koncentrować się na swoich lękach, ale realizować plany i ambicje. Do tego trzeba silnej woli i dyscypliny, a nie płaczu po kątach i roztkliwiania się nad sobą. Trzeba pokazać światu, że jest się coś wartym, że jest się potrzebnym, może nawet niezastąpionym. I Ewa Dobrosz taka właśnie była – potrzebna, szanowana przez kolegów, uznana wśród pacjentów. Jednak zupełnie nie rozumiała, dlaczego najbliższa jej osoba – własna córka – nie tylko nie podzielała jej spojrzenia na świat, ale nawet robiła, jakby na złość, wszystko zupełnie odwrotnie.

Teraz też – wystarczyło jedno spotkanie z Różą, obcą kobietą, a już bardziej interesowała ją staruszka ze wsi niż matka. Ewa Dobrosz naprawdę nie rozumiała, czym zasłużyła sobie na taką niewdzięczność. Nie chciała nawet się nad tym zastanawiać. Wiele lat ciężkiej pracy i wyrzeczeń nie mogło być pozbawione sensu, więc nie zamierzała doszukiwać się winy w sobie.

Skąd więc to przejmujące uczucie pustki i denerwujące klucie w okolicach serca? Była przecież lekarzem i doskonale wiedziała, że przyczyną przykrego odczucia nie jest problem natury kardiologicznej. Czuła, a nawet była pewna, że wszystkiemu winna jest Róża Marcisz, która nie powinna była już pojawiać się w jej życiu. Niestety, wróciła i od razu wszystko zaczynało się komplikować.

Nie z takimi sytuacjami dawałam sobie radę w życiu – pocieszała się Ewa Dobrosz. – Wszystko jest kwestią czasu i nastawienia. Chwile słabości zdarzają się każdemu, trzeba tylko umieć nad nimi zapanować. Najlepiej będzie zająć się czymś konkretnym i pożytecznym, zamiast snuć się z kąta w kąt i rozmyślać o sprawach, które dawno minęły i nie mają żadnego znaczenia.

To było rozsądne stwierdzenie i bardzo pasowało do lekarki. Dlaczego więc nie mogła się skupić na lekturze, dlaczego gubiła wątek, oglądając ulubiony serial? Dlaczego po trzy razy pisała listę świątecznych zakupów (to nic, że jeszcze dwa tygodnie, warto powoli zacząć już teraz, żeby później uniknąć największych kolejek i tłoku)? Z jakiego powodu budziła się w nocy, a pierwszą myślą było to, jak teraz wygląda dom na końcu wsi?

Ewa Dobrosz naprawdę miała tego dość. Lubiła swoje poukładane życie, nad którym miała pełną kontrolę. I nie znosiła, gdy coś nieoczekiwanie się zmieniał, wytrącając ją z równowagi. Traktowała to zawsze jak wyzwanie i robiła wszystko, aby przywrócić stan, który jej odpowiadał. Teraz liczyła na to, że gdy Róża Marcisz pojedzie do domu, a ona nie będzie już musiała się interesować jej losem, łatwiej i szybciej uda jej się opanować ten denerwujący stan ducha.

Bo niby dlaczego miałabym się przejmować tym, co dzieje się z osobą, której nie widziałam od kilkudziesięciu lat? – pomyślała. – We wszystkich gazetach piszą, że trzeba żyć teraźniejszością, a nie przeszłością. I muszę się z tym zgodzić. Taki właśnie mam zamiar.

Można by uznać, że jej postanowienie było szczerze i płynęło z głębokiego przekonania o jego słuszności. Może nawet sama uwierzyłaby w to, gdyby nie kropelka, która wypłynęła jej z kącika oka i którą szybko otarła wierzchem dłoni.

– Najwyższa pora zaplanować, jakie ciasta upiekę na Wielkanoc – powiedziała do swojego odbicia w lustrze, jakby samą siebie chciała przekonać, że nic wielkiego się nie dzieje.



Tamara wszystko mogła przewidzieć, ale nie to. Właściwie nawet nie przyszła jej do głowy taka wersja wydarzeń.

Czas, gdy babcia Róża przebywała w szpitalu, nie był łatwy. Wtedy bardziej martwił ją stan zdrowia

staryszki niż kwestia opieki nad nią. Musiała przyznać, że była zaskoczona tym, jak lekarze dbają o pacjentkę. Na początku odnosiła się do personelu z rezerwą, bo tyłu opowieści koleżanek wysłuchiwała, że obawiała się, czy ktokolwiek zajrzy do babci. Jednak zainteresowanie i troska pielęgniarek przekraczały najśmielsze oczekiwania Tamary.

Nie bez znaczenia było z pewnością to, że babcia Róża potrafiła zjednywać sobie ludzi. Nie skarżyła się, wszystko przyjmowała spokojnie, uśmiechała się do każdego. Po kilku dniach zaskarbiła sobie sympatię nie tylko personelu, ale i pań z firmy sprzątającej oraz wszystkich pań leżących z nią na sali. Tamara nie musiała się więc martwić, że babci czegoś zabraknie albo że bezskutecznie będzie wzywać pielęgniarkę.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa jedzenia. Chociaż i o nim babcia nie powiedziała złego słowa, to Tamara doskonale zdawała sobie sprawę, że na takim wikcie nikt do zdrowia szybko nie dojdzie. Na dodatek doskonale pamiętała, jak dobrze i smacznie jadała w Borowej, więc czuła się w obowiązku zadbać o odpowiednią dietę pacjentki.

Zresztą lekarz wyraźnie powiedział, że dobre, ale lekkostrawne jedzenie to ważny aspekt powrotu do zdrowia. Przyjeżdżała więc każdego dnia do szpitala z wałówką, na którą najczęściej składały się owoce, świeże soki i jakieś mięso. Tamara poradziła się Marioli z księgowości, która miała fioła na punkcie zdrowego odżywiania i kupiła specjalną patelnię do smażenia bez tłuszczu, więc babcia mogła cieszyć się z apetycznie chrupiącego, ale dietetycznego kurczaka czy schabowego.

Tamara rozmawiała też z lekarzem o wskazaniach na okres rekonwalescencji. Ten wprost powiedział, że babcia nie powinna się przemęczać, dźwigać i zbyt szybko chodzić. Przynajmniej przez jakiś czas. Spacerować tak, ale spokojnie i niedaleko. I dużo odpoczynku. Dlatego wskazana jest stała opieka – podkreślił lekarz. – Zwłaszcza że pacjentka mieszka na wsi, prawda?

Oczywiście obiecała, że zorganizuje wszystko jak należy i naprawdę tego chciała. Tylko jeszcze wczoraj nie miała na to pomysłu. Dzisiaj koncepcja była, w dodatku doskonała. Z radością poinformowała babcię Różę:

- Pojutrze wychodzisz ze szpitala i na razie zamieszkasz ze mną i z Marysią. Wszystko obgadałyśmy.
- Dziecko, doceniam twoją propozycję, ale z niej nie skorzystam. Bardzo cię proszę, żebyś jutro zawiozła mnie do domu, do Borowej.

W pierwszej chwili miała wrażenie, że nie rozumiała tego, co słyszy. Babcia najwyraźniej to zauważyła, bo dodała:

- Nie gniewaj się, Tamaro, nie miej mi za złe. Ja naprawdę chcę tam wrócić jak najszybciej.
- Ależ babciu! Przecież słyszałaś, że nie możesz teraz zostać sama...
- Ja chyba najlepiej wiem, jak się czuję, a czuję się bardzo dobrze. Dam sobie radę, nie martw się. Łukasz mi pomoże, a resztę powoli, powoli i zrobię.
- Dlaczego nie chcesz do nas pojechać? – Tamara była rozczarowana i nie mogła zrozumieć decyzji staruszki. – Zależy nam na tobie. Miałabyś opiekę i towarzystwo. Przecież to nie na zawsze – tłumaczyła.
- Zrobi się cieplej, nie będzie trzeba palić w piecu, to pojedziesz do siebie – starała się za wszelką cenę przekonać babcię i widząc, że jej argumenty nie trafiają do rozmówczyni, postanowiła spróbować lekkiej manipulacji. – Bardzo chcielibyśmy ci się odwdziaczyć za gościnę, więc proszę, nie odmawiaj...

– Nie po to was zapraszałam, żeby żądać wdzięczności – uśmiechnęła się babcia Róża. – Zresztą jeżeli już tak mamy się rozliczać, to raczej ja jestem waszą dłużniczką. Gdyby nie wy, już nie byłoby mnie na tym świecie.

- Babciu!
- Taka jest prawda, dziecko. Uratowałaś mi życie. Wiem o tym, ale decyzji nie zmienię. Nie wiem, ile czasu zostało mi jeszcze podarowane, ale chcę go spędzić we własnym domu.

Tamara była bliska płaczu. Nie wyglądało na to, że zdoła przekonać babcię do zmiany zdania. W desperacji sięgnęła po ostatni sposób, który przyszedł jej do głowy.

– Cóż, trudno. Marysi będzie przykro. Tak się cieszyła, że będzie mogła z tobą dłużej побыć, porozmawiać. Chciała oddać ci swój pokój...

– Tamara, dziecko, ja miałam zawał, a nie udar mózgu. Mnie, starą, chcesz w taki sposób podejść? – Babcia była wyraźnie rozbawiona. – Powiedz Marysi, że zapraszam do siebie w każdej chwili i na jak długo zechce. Ciebie też to dotyczy, panno obrazalska.

– Nie jestem obrażona – oburzyła się Tamara.

– Ale rozczarowana. Rozumiem, ale i ty spróbuj zrozumieć mnie.

– Dobrze. – Tamara się poddała. – Odwiozę cię pojutrze do Borowej. Ale dopiero po południu. Rano wyrwę się z pracy, żeby cię stąd zabrać. Pojedziemy do mnie, posiedzisz z Marysią, potem zjemy i dopiero wtedy cię zawiozę.

– Oczywiście, dziecko. A teraz biegnij już, wiem przecież, że ci się spieszy. Ja tu mam towarzystwo i opiekę, przecież wiesz.

Tamara zabrała torebkę i wyszła. Po raz pierwszy była zła na babcię. Niby rozumiała to, co staruszka jej mówiła, ale przecież mogła się zgodzić na zamieszkanie u nich chociaż przez kilka dni. Teraz znowu sprawy się skomplikowały. Była tak pewna, że wszystko pójdzie zgodnie z ustalonym przez nią planem, że nawet nie przygotowała domu na powrót babci. Jutro będzie musiała jechać do białego domku i zrobić porządki. Bo przecież nie liczyła na to, że ten cały Łukasz wytarł kurz czy zamiótł podłogę w kuchni.

I znowu zostawi Marysię na całe popołudnie i wieczór. Może chociaż dzisiaj postara się wyrwać wcześniej i będą mogły dłużej ze sobą побыć. Wiedziała, że córka rozumie sytuację i też przejmuje się zdrowiem babci, ale nie mogła po raz drugi popełnić tego samego błędu. Chciała istnieć w życiu Marysi naprawdę, nie tylko wpadać na chwilę w przerwach między pracą a innymi zajęciami. Pragnęła, żeby znowu potrafiły być ze sobą, tak po prostu i naturalnie rozmawiać. A nie tylko mieszkać w jednym mieszkaniu, ale obok siebie.

Jak sprostać temu wszystkiemu? I jeszcze babcia – kochana, wspiana osoba, ale dzisiaj to totalnie ją zaskoczyła. Cóż, trzeba było jakoś stawić temu czoła. Skoro Borowa, to Borowa. Najgorzej będzie na początku, później znajdzie kogoś do pomocy, kogoś bardziej odpowiedzialnego niż ten leśny człowiek, którego, nie wiadomo dlaczego, babcia darzyła takim zaufaniem.



– Tak dalej być nie może! – Marek uderzył pięścią w blat mahoniowego biurka (mahoń robi dobre wrażenie na klientach i podnosi prestiż firmy – mawiał). – Czy wydaje ci się, że jestem ślepy i nie widzę, co robisz?!

Tym razem Tamara została poproszona na krzeselko stojące po drugiej stronie biurka, co było jednoznacznym sygnałem, że dobrze nie będzie. Zapowiadała się dłuższa tyrada, więc musiała przybrać pokorny wyraz twarzy i nie przerywać.

– Wiem doskonale, że urywasz się jak najwcześniej! Po spotkaniach z klientami też chyba za bardzo nie spieszysz się z powrotem, prawda?! Czy ja nie szedłem ci na rękę, gdy miałaś problemy? – Nie dał Tamarze szansy na odpowiedź, bo wcale jej nie oczekiwał. – A ty teraz jak mi się odwdzięczasz? Nie pracujesz tutaj od wczoraj, wiesz, że jest napięty okres. Wszyscy, powtarzam, wszyscy muszą pracować na najwyższych obrotach! Nie mogę traktować cię inaczej niż resztę zespołu, chyba to rozumiesz? Jeszcze ktoś mógłby uznać, że cię wyróżniam.

A, więc o to chodzi! Już wszystko jasne – pomyślała Tamara. – Czyli to sprawka Sexy Doll. To, że wszystko widzi i donosi, to wiadomo, ale najwyraźniej jest zazdrosna. I wymyśliła sobie, że coś mnie łączy z Markiem. – Musiała włożyć wiele wysiłku w to, żeby opanować uśmiech. Myśl o zazdrosnej o nią Andżeli naprawdę ją rozbawiła.

– W związku z tym udzielam ci upomnienia. Na razie. I oczekuję, że przez najbliższe dwa tygodnie będziesz w pełni dyspozycyjna. Nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Że już nie wspomnę o jakichkolwiek uwagach klientów. Czy się rozumiemy?! – znowu podniósł głos. Najwyraźniej sekretarka czuwa przy drzwiach.

– Oczywiście – pokiwała głową Tamara, wiedząc doskonale, że to właśnie powinna zrobić.

– W takim razie chyba skończyliśmy. Wracaj do pracy.

Bez słowa opuściła gabinet. Minęła uśmiechającą się fałszywie Andżelę, nawet na nią nie patrząc.

Wiedziała dobrze, co oznacza dyspozycyjność. Miała zapewnione siedzenie w pracy do wieczora. A przecież dzisiaj musiała jechać do białego domku. A jutro odebrać babcię. Masakra!

– Co tym razem? – Marzena uważnie spojrzała na koleżankę. – Jakiś klient chciał bardziej żółtego kurczaczka i poskarżył się szefowi?

– Za żółtość kurczaczeków odpowiadają graficy. – Tamara nie mogła się nie uśmiechnąć. – Więc to raczej twoja działka.

– Ja dzisiaj odpowiadam akurat za niebieskość pisklątek. W odcieniu logo firmy – parsknęła koleżanka. – Więc co chciał?

– Nie uwierzysz. Andżela chyba uznała, że mam romans z szefem, bo wychodzę wcześniej. Musiała się mocno skarżyć, bo wrzeszczał tak, żeby słyszała każde słowo.

– Ups, no to masz przechłapanie – zachichotała koleżanka. – Andżela nie wybacza takich rzeczy.

– W nosie ją mam. Gorzej, że Marek nakazał mi siedzenie do oporu, a ja akurat dziś muszę załatwić ważną sprawę. No i jutro wyrwać się na godzinkę.

Marzena знаła sytuację. Rozmawiały o babci Róży, wiedziała o tym, co dręczy Tamarę.

– Wiesz, ja tak sobie wczoraj myślałam, że jak trzeba będzie, to mogę podjechać raz czy dwa do tego Jagodna. Powiesz mi, gdzie dokładnie i jakoś trafię. Coś zawiozę czy pomogę...

Tamara spojrzała na koleżankę z wdzięcznością. Naprawdę jest w porządku – pomyślała. – Opiekuje się przecież rodzicami, a sama ma teraz nie mniej pracy niż ja. A jednak zadeklarowała pomoc.

Graficy rzeczywiście nie mieli lekko. Pomijając już wartość artystyczną tego, czego życzyli sobie klienci, to na dodatek musieli znosić ze spokojem kolejne poprawki do projektów i tłumaczyć, że niektórych rzeczy po prostu zrobić się nie da. Naprawdę rozumiała, gdy Marzena mówiła, że jeżeli będzie miała dołożyć gdzieś jeszcze jedną palemkę albo domalować kokardkę na pisanice, to zwymiotuje na monitor. No ale cóż można było zrobić? Pozostawało tylko zaciskać zęby i przetrwać, wyobrażając sobie ewentualną premię.

– Marzena, bardzo ci dziękuję za dobre chęci, ale przecież jesteś dokładnie w takiej samej sytuacji jak ja. Nie miałabym serca się tobą wyręczać.

Koleżanka zerknęła zza monitora i puściła oczko do Tamary.

– W takim razie wymyślę coś, żebyś mogła jutro wyjść.

– Tak, ciekawe co?

– Już ty się o to nie martw. Wiesz, że w takich wariackich pomysłach nikt mi nie dorówna.

Tamara przytaknęła z uśmiechem. Fakt, jeżeli Marzena postanowiła coś zrealizować, to zawsze dopięła swego. Czasami rzeczywiście w nieszablony sposób, ale jednak jej się udawało.

Swoją drogą, to kiedyś muszę zabrać ją do babci Róży – stwierdziła. – Powinny się poznać. Jestem pewna, że się polubią. Obie są pełne optymizmu. W ogóle, jak tylko minie ten wariacki czas, chętnie

zaproszę Marzenę na jakieś piwo. Ciągłe mnie wspiera, zawsze mogę na nią liczyć...

– Prezes elektrociepłowni pyta, co z jego jajkami. – Andżela wsunęła głowę przez uchylone drzwi. – Jest chyba zdenerwowany – dodała z satysfakcją w głosie.

– To chyba pytanie do lekarza, nie do nas – usłyszały z korytarza głos Dominika i parsknęły śmiechem. Andżela wyglądała na zdezorientowaną.

– Żartowałem. Powiedz, że jajka będą jutro rano i osobiście mu je dostarczę.

Sekretarka, stukając jedenastocentymetrowymi szpilkami, pobiegła do telefonu, żeby przekazać dobrą nowinę, a w drzwiach ukazała się tym razem głowa Dominika.

– Uratowałem ci tyłek – mrugnął do Tamary. – Pewnie zapomniałaś o tych czekoladkach?

– Nie zapomniałam – oburzyła się Tamara. – Tylko byłam u szefa. Właśnie miałam dzwonić i o nie pytać.

– To zadzwoń lepiej do drukarni. Kartki dla tej firmy kurierskiej miały być wczoraj wieczorem, a jeszcze nie doszły. I upewnij się, że na pisankach jest lakier, bo nam głowy pourywają.



– Dobrze, chociaż mogłoby być lepiej. – Ręka chemika wraz z długopisem zawisła nad dziennikiem. Marysia wstrzymała oddech. Niech mi zaliczy, niech zaliczy – powtarzała w myślach i ze zdenerwowania zaciskała pięści tak, że paznokcie wbijały jej się w dłoń.

– Zaliczam ten dział, ale kolejny ma być lepiej opanowany.

Marysia pokiwała głową, bo w ustach tak jej zaschło, że nie mogła wydusić słowa. Najważniejsze, że w odpowiedniej rubryce pojawiła się dwójka. Nie, żeby to był szczyt marzeń, ale w tej sytuacji nawet mierny bardzo ją cieszył. Zresztą i tak na nic innego nie mogła liczyć, skoro na półrocze miała jedynekę. Napięcie opadło i pozwoliła sobie nawet na uśmiech.

Obrzuciła spojrzeniem klasę. Nikt nie odwzajemnił uśmiechu, nikt nie pokazał, że cieszy się razem z nią. Nie zdziwiło jej to wcale. Zdawała sobie sprawę ze swojego położenia i chociaż ją nie radowało, to nie miała zamiaru niczego zmieniać.

Kiedy wróciła do szkoły po feriach, jej osoba budziła pewne zainteresowanie. Co prawda nikt nie wiedział dokładnie, dlaczego zniknęła, ale ktoś coś słyszał o szpitalu, ktoś inny za to o kłopotach Oskara. Kiedy pojawiła się na szkolnym korytarzu, ściagały ją zaciekawione spojrzenia i dobiegały do niej urywane szeptki.

Niektórzy decydowali się na zadawanie pytań, ale szybko zrozumieli, że Marysia nie chce na nie odpowiadać. Nie miała zamiaru w żaden sposób podsycać zainteresowania swoją osobą. Wiedziała, że szkolne sensacje żyją krótko. I nie myliła się. Po kilku dniach wszyscy zainteresowali się historią Adama z klasy maturalnej, który bez wiedzy ojca wziął jego samochód i po pijanemu rozbił się na latarni w centrum miasta. O sprawie Marysi zaczynało zapominać.

O samej dziewczynie zresztą też. Szkolna elita szybko zorientowała się, że jej związek z Oskarem to już przeszłość. Tym bardziej że chłopak przyjeżdżał teraz po Aldonę z II c. Marysia zastanawiała się, czy nie powinna jej ostrzec, ale zrezygnowała z tego. Prawdę mówiąc, bała się Oskara i chciała zupełnie wymazać go z pamięci.

Przestała też w drodze do szkoły chodzić na alejki przy Kadzielni. Nie zrezygnowała z makijażu, ale dzięki internetowym poradnikom nauczyła się, jak sprawić, by nie był tak ostry. I ucieszyła się, kiedy Kamil powiedział:

– Wolę cię taką niż z tymi czarnymi krechami na oczach.

Te słowa sprawiły Marysi radość, bo wiedziała, że Kamil jest szczery, więc jeżeli tak powiedział, to naprawdę musiało być lepiej. Jakoś przestało jej zależeć na opinii tych, dla których jeszcze miesiąc wcześniej zrobiłaby wiele. To stało się samo, chyba w szpitalu i potem, kiedy nikt z nich nawet nie zadzwonił, nie zainteresował się nią. Najpierw było jej przykro, a potem wszystko zobojętniało. Co nie znaczy, że było jej z tym lekko. O nie! Niełatwo pogodzić się z tym, że zawiedli ci, na których liczyła i którym zaufała. Ale trudno, tak było i jakoś musiała się z tym uporać.

Podczas przerw prawie zawsze przebywała sama. Nie dziwił jej ten fakt. Nie zapomniała jeszcze całkiem, że dokładnie tak samo było na początku roku szkolnego. Tyle że teraz nie miała nawet powrotu do kasty szkolnych szarych myszek i kujonów. Ku swojemu zdziwieniu odkryła, że nawet oni zdążyli poznać się i podzielić na mniejsze grupki, które niechętnie widziały w swych kręgach kogoś nowego. A już tym bardziej kogoś, kto jeszcze niedawno drwiąco uśmiechał się na ich widok, niepochwlebnie komentując wygląd i zachowanie. Byli nawet zadowoleni, widząc samotną Marysię. Jej widok dawał im satysfakcję – obserwowali upadek jednego z członków elity, jednego z tych, co mieli się za lepszych. I nawet oni nie chcieli kogoś takiego w swoim gronie.

Jedynie Justyna jeszcze z nią została, ale Marysia czuła, że i to nie potrwa długo. Koleżanka prawie każdego dnia powtarzała jej:

– Majka, ogarnij się wreszcie! Jak ty wyglądasz! Ubierz się jakoś, umaluj i pójdziemy do galerii, może się ktoś fajny trafi – zachęcała, ale Marysia odmawiała. Nie interesowały ją żadne przypadkowe znajomości. Po historii z Oskarem miała dość chłopaków, nie wyobrażała sobie, jak mogłaby w ogóle pozwolić, żeby ktoś ją dotknął. Na samą myśl było jej niedobrze.

Poza tym naprawdę miała dużo nauki. Nawet bardzo dużo. Dlatego z ulgą przyjęła dzisiejsze zaliczenie. Teraz będzie miała chwilę, żeby zająć się matematyką. Bardzo liczyła na pomoc Kamila. Chłopak był dobry z tego przedmiotu, miał nawet zamiar startować w jakimś konkursie. Może da radę wtłoczyć jej jakoś do głowy te wszystkie wzory i wytłumaczyć, o co w tym chodzi. Bo sama na pewno sobie nie poradzi.

– Majka, widziałaś? – Justyna podbiegła zdyszana i pociągnęła ją za ramię.  
– Co miałam widzieć?  
– Oskar ma nowy samochód. Jaki wypasiony, mówię ci!  
– Nie obchodzi mnie to.  
– Weź, przestań. Ja rozumiem, że zerwaliście, ale jakbyś poprosiła, to może by nas podwiózł?  
– O nic go nie poproszę – odmówiła stanowczo Marysia.  
– Wiesz co? Nudna się strasznie zrobiłaś. – Justyna szła obok, ale jej mina wyraźnie mówiła, że wolałaby być zupełnie gdzie indziej. – Nie wiem, co ci się stało, naprawdę. Byłaś fajna laska, a teraz co? No rozpacz po prostu!

Przez chwilę szły w milczeniu.

– A w sobotę co robisz? Może pójdziemy pochodzić po Sienkiewicza? Mówiłam już Goście, wiesz, tej rudej z „humana”. Poszłaby z nami, byłoby fajnie...

– Nie mogę, babcia u mnie będzie. Idź z Gością, a w poniedziałek mi opowiesz.  
– Jak chcesz. Ale żeby potem nie było, że ci nie proponowałam. – Justyna zrobiła obrażoną minę.  
– Nie będzie. Spoko. – Marysia wiedziała, że Justyna nie będzie za nią tęsknić. Doceniała jej dotychczasową lojalność, ale jednocześnie знаła koleżankę na tyle dobrze, by mieć świadomość, że ta nie może żyć bez tych spacerów po ulicach i sklepach. I czuła, że jej miejsce wkrótce zajmie ruda Gośka.

Westchnęła cicho. Trochę jednak żałowała. W sumie miło było tak beztrudnie siedzieć w galerii, śmiać się z byle czego i niczym się nie przejmować. Czasami jej tego brakowało. Tylko teraz to chyba nie potrafiłaby przestać myśleć o tej chemii, matematyce i innych rzeczach, które musi naprawić. Nie było

więc sensu nawet iść. Może jak to wszystko pozaliczam, to pochodzę z nimi po sklepach? – pomyślała. – Tak w nagrodę – i zrobiło jej się trochę weselej. – A na razie wracam, bo Kamil już pewnie czeka pod blokiem.

– To nara! – pożegnała Justynę. – Do jutra.

– Zastanów się jeszcze i jakbyś zmieniła zdanie, to daj znać.

Obie jednak wiedziały, że Marysia zdania nie zmieni.



– Dzień dobry, Marysiu. Mówi babcia.

– Tak, wiem. Wyświetlasz mi się, babciu.

– Wyświetlam czy nie – kultura nakazuje się przedstawić. – Ewa Dobrosz zawsze przywiązywała wagę do dobrych manier i nie mogła zrozumieć, dlaczego młodzież nic sobie z nich nie robi. – Dzwonię, żeby sprawdzić, czy żyjecie, ale słyszę, że tak.

– Tak, babciu, wszystko u nas dobrze.

– Miło to słyszeć. Do twojej matki nie mogę się dodzwonić, a ona też się nie odzywa.

– Mama ma bardzo dużo pracy. Zawsze tak jest przed świętami, sama wiesz – usprawiedliwiała matkę Marysia. Nie wspomniała o babci Róży, bo wiedziała, że to drażliwy temat.

– Wygląda na to, że naprawdę dużo, bo zapomniała o własnej matce. – Ewa Dobrosz nie mogła powstrzymać się od tej złośliwości. – Nie mów jej nawet, że dzwoniłam, bo pewnie i tak zapomni i nie oddzwoni. Najważniejsze, że u was dobrze. Do widzenia, Marysiu.

– Do widzenia, babciu.

Marysia z westchnieniem odłożyła telefon.

– Dzwoniła moja babcia. No, ta prawdziwa, mama mojej mamy – wyjaśniła, widząc pytający wzrok Kamila. Siedzieli na dywanie, bo tak było im wygodniej, podjadali chipsy paprykowe, a chłopak starał się wytłumaczyć Marysi zawiłości matematycznych twierdzeń.

– Coś się stało?

– Nie, dlaczego?

– Bo wyglądasz na zdenerwowaną.

– Babcia Ewa jest... no nie wiem, jak to powiedzieć... Jest inna niż babcia Róża. No... – zastanowiła się, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów – ...po prostu zawsze się trochę stresuję, jak z nią rozmawiam.

Kamil pokiwał głową na znak, że przyjmuje to, co usłyszał. Nie nalegał na dalsze wyjaśnienia. Marysia to właśnie w nim lubiła. Słuchał, przyjmował i nie starał się wyciągać więcej niż chciała lub potrafiła powiedzieć. I nie komentował. Nie mówiąc o tym, że potrafił wytłumaczyć matematykę.

– Jeszcze to zadanie i zrobię kanapki – powiedziała, uśmiechając się.

– A odkąd ty taka pilna jesteś? – roześmiał się chłopak i rzucił w nią poduszką. – Ale tylko jedno, bo jestem głodny. A głodny nauczyciel to zły nauczyciel.



Tamara próbowała się dodzwonić do córki, ale ta miała wyłączony telefon. Pewnie zapomniała włączyć po lekcjach – pocieszała samą siebie, ale w głowie już zapaliła jej się ostrzegawcza lampka. – Uspokój się. Przecież ostatnio wszystko jest w porządku.



Chciała powiedzieć córce o decyzji babci Róży i o tym, że zaraz po pracy musi jechać do Jagodna, więc wróci dopiero późnym wieczorem. Wysłała więc krótkiego SMS-a z prośbą o kontakt.

Po osiemnastej mogła już wyjść z pracy, ale odczekała jeszcze, aż Andżela pozbiera swoje drobiazgi i opuściła biuro razem z nią. Wyszły ostatnie, więc chyba Marek będzie się czuł usatysfakcjonowany.

Teraz jechała w stronę Jagodna i zastanawiała się nad planem działania. Tym razem miała nadzieję, że Łukasz będzie w białym domku, bo musiała ustalić z nim zasady opieki nad babcią. Już wyobrażała sobie te złościwości, które będzie musiała znieść, ale trudno. Najważniejsze, żeby ustalić konkrety. Nie takich klientów miewała i radziła sobie, więc taki zgryźliwy ponurak jej nie przeszkodzi.

Potem posprząta, przygotuje świeżą pościel i przewietrzy dom. Jedzenie przywiozą na drugi dzień. Na szczęście jutro piątek, więc będą mogły zostać na weekend i przygotować coś na zapas. No i zobaczyć, jak babcia sobie radzi, bo Tamara miała wrażenie, że staruszka nadrabia miną, a wcale nie czuje się tak dobrze, jak mówi. W końcu lekarz twierdził, że jej stan nie jest jeszcze tak dobry, jak powinien.

Zaparkowała jak zwykle przy drodze i stanęła, przyglądając się okolicy. W połowie marca nie było tu może tak ładnie jak jesienią, ale bezlistne gałęzie drzew tworzyły niepokojącą plataninę, która też miała w sobie jakiś rodzaj groźnego piękna.

Biały domek stał spokojnie, a razem z drewnianym płotem i zabudowaniami gospodarczymi tworzył sielski obrazek. Jakby oazę spokoju i pewności, która nie poddaje się żadnym złym wydarzeniom. Musiała przyznać, że sama tęskniła za tym miejscem, więc tym bardziej rozumiała babcię, która tak bardzo chciała tu wrócić. W zapadającym zmierzchu białe ściany były jeszcze dobrze widoczne, jak gdyby zapraszając do przytulnego wnętrza, w którym można schronić się przed ciemnością.

Niestety w żadnym oknie nie paliło się światło, a to oznaczało, że nie ma tam Łukasza. Trudno, najpierw wejdzie i zastanowi się, co dalej.

W kuchni panował względny porządek. No dobrze, musiała przyznać, że nawet nie spodziewała się, że będzie tak dobrze. Żadnych brudnych naczyń, tylko kurz i trochę trocin przy piecu. Nie jest źle – pomyślała i chciała usiąść przy stole. O mało nie zgmiotła Barnaby, który najwyraźniej urządził sobie legowisko na miękkiej poduszce. Teraz z głośnym miauknięciem zeskoczył na podłogę i spojrzał na intruza z wyrzutem.

– Kocie, co ty wyprawiasz! – krzyknęła. – Dostałabym przez ciebie zawału!

Barnaba najwyraźniej nie przejmował się jej reakcją, bo nawet się nie odwrócił. Z wysoko podniesionym ogonem odmaszerował dostojnie i zniknął za drzwiami pokoju.

Obecność kota była dla Tamary jasnym sygnałem, że Łukasz już dzisiaj nie przyjdzie. Skoro sprowadził kota do domu, to oznaczało, że pojawi się dopiero następnego dnia, żeby go wypuścić. I kolejny problem gotowy.

Trzeba będzie go znaleźć – stwierdziła. – Przecież muszę z nim porozmawiać. Tylko gdzie on może mieszkać? Zawsze pojawiał się i odchodził w stronę lasu, no ale przecież nie żyje w szalasiu. Nawet taki macho potrzebuje zimą dachu nad głową i ciepłego pieca – pomyślała z ironią.

Postanowiła zacząć od poszukiwań. To było ważniejsze. Domem zajmie się później. I nie było na co czekać, bo jak tak dalej pójdzie, to nie dotrze do domu przed północą.

Wsiadła do samochodu i jechała powoli przez wieś. Droga była pusta, na podwórzach też ani żywej duszy. Przecież nie będą pukać do obcych domów – zmartwiła się.

Na szczęście zobaczyła kobietę, która właśnie zamykała furtkę i ruszyła szybkim krokiem wzdłuż drogi. Podjechała do niej i zwalniając, opuściła szybę.

– Przepraszam panią bardzo – zaczęła, przekrzykując warkot silnika. – Szukam pana Łukasza. Zna go może pani?

Kobieta zbliżyła się do samochodu i stanęła, co Tamara przyjęła z ulgą. Mogła zgasić silnik

i porozmawiać normalnie.

– Czy wie pani, gdzie mieszka pan Łukasz? – Widząc zaciekawiony wzrok nieznamym, zdała sobie sprawę, że przecież nawet nie zna jego nazwiska. – No, taki pan, co pomaga czasami pani Róży Marcisz. I innym też... – Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć jakieś szczegóły. – O, niedawno przy bramie pomagał, a wcześniej malował remizę!

– Tak, wiem. Pani pyta o tego Łukasza od Michalików. – Kobieta uśmiechnęła się, najwyraźniej zadowolona, że wie, o kogo chodzi. – On mieszka w takiej chałupie obok Terczów. No tam, jak ten duży dom z tym betonowym ogrodzeniem – pokazała kierunek. – Tylko niech pani uważa, bo chałupa dalej od drogi i łatwo przegapić.

– Dziękuję pani bardzo. – Tamara odwzajemniła uśmiech. Nawet łatwo poszło – pomyślała. – Jak widać wszyscy go tu znają.

Pojechała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, łatwo było przeoczyć starą chałupkę, jakby wciśniętą pomiędzy betonowe sześciany stojące na sąsiednich posesjach. Domek wyglądał na niezamieszkały, jakby jego właściciele opuścili go, przenosząc się do nowego lokum albo do lepszego świata. Musiał być naprawdę stary, bo z jednej strony dach wyraźnie się zapadał.

Niczego lepszego nie można się było spodziewać – skomentowała w myślach Tamara. – Taki wolny człowiek na pewno ma ważniejsze sprawy niż naprawa dachu. To zupełnie w jego stylu – mieszkać byle jak, żyć byle jak. Byle wolnym być.

Już знаła kiedyś takiego jednego. Też wolność była najważniejsza. Na szczęście udało jej się go pozbyć i z kolejnym podobnym osobnikiem chciała mieć jak najmniej do czynienia. Najlepiej wcale, ale w tej sytuacji nie było to możliwe, więc postanowiła ograniczyć ten kontakt do niezbędnego minimum. Właśnie rozumiała, jak bardzo ten Łukasz był podobny do Leszka, jak bardzo go przypominał w tej pozycji niezależnego, wolnego ducha.

Nie czas teraz na wspominki – przywołała się do porządku. – Przyjechałaś tu załatwić sprawę, to załatwiaj.

Zastukała do drzwi, z których schodziła nieokreślonego koloru olejna farba, odsłaniając poprzednie warstwy, równie szare od wieloletniego kurzu. Cisza, żadnej odpowiedzi. Ponowiła pukanie, tym razem mocniej i bardziej zdecydowanie. Nadsłuchiwała, czy nie usłyszy jakiegokolwiek szmeru, który wskazywałby na obecność gospodarza. Nic. Gdzie go poniosło o tej porze?

Miała ochotę kopnąć w drzwi, ale powstrzymała się przed tym dziecinny gestem. Odwróciła się po prostu i skierowała w stronę furki. Miała pustkę w głowie i nie wiedziała, co ma robić dalej. Wszystko dzisiaj szło jak po grudzie.

– Czego chcesz? – Usłyszała nieoczekiwane głos Łukasza. Spojrzała przez ramię. Stał w drzwiach, ubrany w ten sam czarny sweter, co zawsze, i te same sprane dżinsy. Wróciła.

– Babcia Róża jutro wychodzi ze szpitala – oznajmiła krótko i wprost. – Nie chce być u mnie, a potrzebuje opieki.

– I co w związku z tym? – zapytał ironicznie.

Oczywiście, wiedziałam, że nie obejdzie się bez tej złośliwości – pomyślała Tamara, ale zacisnęła zęby. Popatrzyła na podpuchnięte oczy mężczyzny, na nieogolone policzki... Dobrze wiedziała, co robił przez ostatnie dni. Doskonale pamiętała, jak wyglądał Leszek, gdy wracał po dłuższej zabawie. Skutki kilkudniowej popijawy rozpoznawała bez pudła.

– Wiesz, ja nie mogę przyjeżdżać codziennie. Mam pracę...

– Jasne, wypoczywać na wsi jest fajnie. Ale gdy przychodzą obowiązki, to już trudniejsza sprawa, prawda?

– Nie w tym rzecz! – ze złością się. – Po prostu... Zresztą nie muszę ci się tłumaczyć!

– Rzeczywiście, nie musisz. Ale w takim razie po co tu przyszedłeś? Nie przypominam sobie, żebym cię zapraszała.

– Przyszłam, bo chciałam zapytać, czy przez jakiś czas, zanim znajdę kogoś do pomocy, mógłbyś trochę bardziej się nią zająć. Zrobić zakupy, przypilnować, żeby się nie forsowała, dopilnować zwierząt i takie tam. Oczywiście ci zapłacę, o to się nie martw...

– Jesteś idiotką! – przerwał jej i zatrzasnął drzwi.

Stała przez chwilę, niczego nie rozumiejąc. Czekwała, że otworzy, ale tak się nie stało.

No to przynajmniej mam jasność – podsumowała z zalem. – Ciekawe, dlaczego miałam nadzieję, że uda się z nim jakoś dogadać. Może to nawet lepiej, bo i tak nie mogłabym spokojnie spać, wiedząc, że taki nieodpowiedzialny facet ma zająć się chorą osobą. Nigdy nie miałabym pewności, czy przyjdzie, czy też wybierze towarzystwo butelki.

Przy samochodzie zdała sobie sprawę, że Marysia do niej nie oddzwoniła. Zdenerwowana sięgnęła po telefon. Na szczęście przyszedł SMS: *U mnie wszystko ok. Uczę się z Kamilem matmy. Nie jestem głodna, nie martw się.* Tamara odetchnęła z ulgą. Przy okazji zerknęła na godzinę. Była prawie dwudziesta. A przed nią jeszcze tyle pracy. Wariacki dzień!

Nie, sprzątanie dzisiaj jest bez sensu. Chyba najlepiej będzie, jak przełożę to na jutro, kiedy już tutaj będziemy – pomyślała i ze złością uderzyła dłonią w kierownicę. Nie lubiła, gdy wszystko się sypało. A dzisiaj to już naprawdę nad niczym nie mogła zapanować. Cokolwiek zaplanowała, nie wychodziło. Jakby los skumulował na niej całą swoją złośliwość. Była zmęczona, zła i głodna. Marzyła tylko o tym, żeby znaleźć się w domu, zakopać pod kołdrą i zasnąć. A potem obudzić się w bardziej przyjaznej rzeczywistości. Czy uda jej się zrealizować chociaż taki plan? Żeby to zrobić, musiała najpierw wrócić do Kielc. Odpaliła więc silnik i wyjechała z Borowej.

Jadąc, miała wrażenie, że nawet przydrożne drzewa, które tak lubiła, są dziś do niej nieprzyjaźnie nastawione. Pochylone nad drogą gałęzie przypominały jej drapieżne palce, a szum sosen brzmiał jej w uszach jak złośliwy śmiech. Naprawdę jestem w złej formie – pomyślała i mocniej nacisnęła pedał gazu. – Niech już będzie jutro.



– No to zasuwasz po tę swoją babcię. – Marzena podeszła do biurka Tamary i wcisnęła jej do ręki zieloną teczkę. – Tylko po drodze musisz zajrzeć do zakładów drobiarskich. Muszą to zatwierdzić ostatecznie, żeby drukarnia przez weekend zrobiła. Inaczej nie zdążą, powiedz im to jasno.

Tamara spojrzała na koleżankę pytająco.

– To ich etykiety na przedświąteczną partię kurczaków. Ty wiesz, co ich marketing wymyślił? Ma być uśmiechnięty kurczak i napis: „Chcę być na twoim świątecznym stole”. Wyobrażasz sobie? To jakaś paranoja!

– Ale dlaczego ja mam z tym jechać? Nie może jakiś chłopak od Dominika?

– Jezzzuuu, weź się skoncentruj! Chciałaś mieć powód, żeby wyjść. Tak czy nie?

– No tak.

– No to poszłam z tym do Marka i powiedziałam, że ja nie dam rady, bo mam jeszcze milion projektów do skończenia na wczoraj. Co zresztą jest prawdą. On też od razu wpadł na to samo, co ty, ale mu wyjaśniłam, że ta drukarnia i te kurczaki, które muszą być w to owijane od poniedziałku, i że upierdliwi są, więc byle kto tam nie może jechać, bo ich trzeba ostatecznie przekonać, a to łatwe nie będzie.

– O matko, powoli, bo nie nadążam – roześmiała się Tamara, słysząc potok słów wypływający z ust

koleżanki.

– Marek też nie nadążył – zachichotała Marzena. – Więc żeby się mnie pozbyć, natychmiast się zgodził, gdy tylko zasugerowałam cię. Tylko pamiętaj, musisz ich przekonać. A tutaj nikt cię nie rozliczy z tego, ile czasu ci to zajęło.

– To leczę. – Tamara nie potrzebowała dalszej zachęty. Chwyliła torebkę, teczkę z projektem kurczakowej etykiety, rzuciła w stronę koleżanki:

– Jesteś kochana!

I już jej nie było.



– Babciu, jak dobrze, że jesteś! – Marysia wprost od drzwi podbiegła do staruszki siedzącej na kanapie i mocno ją przytuliła. – Martwiłam się o ciebie!

– Wiem, dziecko, ale zupełnie niepotrzebnie. Jak widzisz, jestem cała i żywa. Mam nadzieję, że tak pozostanie, o ile mnie zaraz nie udusisz – roześmiała się babcia.

– Marysiu, daj spokój! – upomniała córkę Tamara. – Babcia jest zmęczona...

– Przepraszam. – Nastolatka odsunęła się od gościa z przepaszającą miną.

– Zmęczona? Dzieci kochane, ja w tym szpitalu nic innego nie robiłam, tylko wypoczywałam.

– Dobrze, dobrze. – Tamara nie wyglądała na przekonaną. – Lekarz mówił coś innego.

Babcia Róża poklepała Marysię po ręce.

– Twoja mama trochę przesadza. Naprawdę nie jest ze mną tak źle.

– Ja tam swoje wiem – upierała się Tamara. – I dobrze, że już jesteś, bo nie chciałam babci zostawiać samej, a naprawdę muszę już wracać do pracy. Obiad jest w lodówce, tylko ziemniaki musisz obrać...

– Poradzę sobie – zapewniła córka.

Tamara sięgnęła po torebkę. Od drzwi rzuciła jeszcze:

– Zadzwoń do was. I bądźcie gotowe około osiemnastej.

Trzasnęły drzwi.

Babcia uważnie spojrzała na Marysię. Dziewczyna wyglądała na wesołą, ale kobieta dostrzegła w jej oczach coś innego.

– Może napijemy się herbaty? – zaproponowała.

– Oczywiście, już robię.

Róża Marcisz cierpliwie poczekała aż nastolatka przygotuje wszystko. Doświadczenie nauczyło ją, że nie należy się spieszyć, bo pośpiech nie sprzyja dobrej, szczerzej rozmowie. Dopiero kiedy usiadły z kubkami aromatycznie pachnącego napoju, staruszka zdecydowała się zacząć:

– Pięknie pachnie i dobrze smakuje – pochwaliła.

– To takie pomieszenie. Czarna, czyli zwykła z jaśminową. Taką lubię najbardziej.

– Musisz mi pokazać, jak to robisz, to będę ją parzyć w Borowej, kiedy mnie odwiedzisz – uśmiechnęła się babcia Róża.

Marysia wyglądała na zadowoloną z babcinych komplementów.

– A jak sobie radzisz z innymi rzeczami, poza parzeniem herbaty?

– Jeszcze niezbyt dobrze, ale staram się. Ostatnio zrobiłam całkiem niezłą zapiekankę. Mamie smakowała.

– Wiesz dobrze, dziecko, że nie o to pytam. – Uważne spojrzenie błękitnych oczu staruszki przechwyciło i zatrzymało wzrok nastolatki, która słysząc słowa babci, zacisnęła usta. Po kilku sekundach milczenia

Marysia odpowiedziała:

– Staram się, żeby było jak najlepiej, ale...

– ...ale nie jest łatwo, tak? – dokończyła babcia.

– No nie jest.

– Domyślam się. Tylko powiedz mi jeszcze, czy nie jest łatwo tak po wierzchu, czy tak w głębi duszy?

– Nie rozumiem. – Marysia ze zdziwieniem spojrzała na rozmówczynię.

– Jakby ci to wytłumaczyć? – zastanowiła się Róża. – Bo to jest tak: czasami robimy coś i jesteśmy szczęśliwi tak po wierzchu, na chwilę. Jest przyjemnie, ale w głębi duszy czujemy, że to nie jest do końca dobre albo nic dobrego na dłużej nie przyniesie. A czasami musimy zrezygnować z tych przyjemności i robić rzeczy, które wiele nas kosztują, wymagają wyrzeczeń albo nie są przyjemne. Za to wiemy, że dzięki temu będzie lepiej i radość czy zadowolenie przyjdą, ale później. Wtedy tak po wierzchu jest trudno, ale łatwo i lekko w głębi duszy. – Staruszka, mówiąc to, patrzyła gdzieś w dal, jakby myślami była zupełnie gdzie indziej, w innym miejscu lub czasie. Zamilkła na chwilę i zaraz potem z lekkim uśmiechem spojrzała na Marysię. – No, chyba lepiej nie umiem tego powiedzieć.

– Ale ja rozumiem, babciu – pokiwała głową dziewczyna. – Tylko muszę się zastanowić, jak to u mnie jest.

– Wiesz dobrze, dziecko, jak jest. I nie musisz mi mówić, jeżeli nie chcesz.

Zapadła cisza. Babcia popijała herbatę małymi łykami, a Marysia zamyśliła się.

– Wiesz, babciu – powiedziała po chwili. – Nie chciałabym już nigdy martwić mamy. I naprawdę chcę skończyć szkołę. Tylko... tylko czasem wątpię, czy dam radę. I wtedy mam ochotę znowu to wszystko rzucić i iść się bawić. No ale wiem, że to byłoby właśnie tak... – spojrzała na staruszkę z niepewnym uśmiechem.

– Po wierzchu?

– Dokładnie.

– A nie da się jakoś tego pogodzić? – zapytała babcia. – Mój Barnaba na przykład to potrafi. Trochę śpi, trochę psoci i trochę poluje. Instynkt mu mówi, co ma robić. I on go słucha. Jakby zwierzęta tylko spały, to umarłyby z głodu, a gdyby tylko polowały, bez odpoczynku, to szybko zabrakłoby im sił. Dużo się przypatrywałam zwierzętom i brałam z nich przykład. Jak się ciężko pracuje, to trzeba też znaleźć czas na odpoczynek.

– Jaka ty, babciu, jesteś mądra!

– To nie ja, to natura. Ja tylko podglądam i się uczę. – Babcia Róża poklepała dziewczynę po dłoni. – No, dosyć tych filozofii. Może teraz, dla odmiany, pokażesz mi swój pokój?

Marysia z radością przystała na tę propozycję. Jeszcze poprzedniego dnia zrobiła generalne porządki, bo przecież była przekonana, że babcia u nich zostanie. Dzięki temu nie musiała się teraz obawiać, że gość uzna ją za bałaganiarę. Z dumą otworzyła przed babcią drzwi do swojego królestwa.

– Bardzo tu ładnie – pochwaliła staruszka. – No i dużo miejsca. Nie to, co w tym schowku u mnie – roześmiała się.

– Babciu, u ciebie było bardzo dobrze – zapewniła Marysia. – Niczego mi nie brakowało.

– Miło to słyszeć.

Nastolatka nagle zamilkła i posmutniała. Spojrzała na babcię spod oka, a ta zauważyła to spojrzenie.

– Co się stało, Marysiu? O co chodzi? Chcesz mi coś powiedzieć?

– No w sumie to nie powinnam...

– Ale chcesz, prawda?

– Prawda. Bo widzisz, powiedziałaś, że ci się tu podoba, a nie chciałaś zostać. – Marysia wyrzucała z siebie słowa szybko, nie patrząc babci w oczy. – A ja chciałam się tobą opiekować, pokazać ci

komputer i sieć. Bo jak ja potrzebowałam, to mnie przyjąłeś, a teraz ty potrzebujesz, więc chciałam przyjąć ciebie. A ty nie chcesz. To niesprawiedliwe! – Ostatnie zdanie prawie wykrzyczała, uderzając dłonią w poduszkę.

Babcia spokojnie przyjęła wyrzuty nastolatki.

– Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy. A już na pewno nie taka, o jakiej mówisz.

– Czyli jaka? – Marysia nie rozumiała, o co babci chodzi.

– Taka, że oddajemy innym dokładnie to, co nam dali. To znaczy tak dosłownie. Ty myślisz, że jak byłeś u mnie, to ja muszę być u ciebie, tak?

Dziewczyna pokiwała głową.

– I mówisz, że jak przyjechałeś, to czegoś potrzebowałeś. No to chyba nie dachu nad głową i jedzenia, bo tego ci nie brakowało.

– No nie.

– To czego?

– Nie zastanawiałam się nad tym. Może spokoju, ciszy... no żeby sobie wszystko przemyśleć.

– No dobrze. Cokolwiek by to było, nie chodziło o samo mieszkanie, prawda?

Marysia wstała. Podeszła do okna i uchyliła je. Babcia czekała. Wiedziała, że dziewczyna musi mieć chwilę, żeby zrozumieć to, co chciała jej powiedzieć.

– Ty babciu też nie potrzebujesz mieszkania? – zapytała wciąż odwrócona do staruszki plecami.

– Nie potrzebuję. Za to chcę wrócić do swojego życia. Do wszystkiego, co kocham i za czym tęskniłam w szpitalu. Do kur i Barnaby, do swojego łóżka. Tam mi dobrze. A teraz jeszcze chciałabym, żebyś mnie czasami odwiedzała, bo mam jeszcze sporo przepisów, które chciałabym komuś przekazać. I dużo wzorów i wełny do robienia na szydełku. I martwię się, że odejdę, a to wszystko zginie razem ze mną.

– To się nie martw.

Babcia uśmiechnęła się do siebie. Zrozumiała, że w tym krótkim zdaniu nastolatka zawarła dużo więcej niż mogłyby na to wskazywać same słowa.

– To może zanim twoja mama wróci, pokażesz mi jeszcze ten internet? – zaproponowała.

Marysia odwróciła się w stronę babci, starając się jednak ukryć przed staruszką twarz, żeby ta nie zauważyła wilgotnych oczu. Podeszła do biurka i włączyła komputer.

– Może usiądziesz tutaj, babciu? – zaproponowała, wskazując na krzesło. – Będziesz lepiej widzieć. O, popatrz, tutaj jest ten portal, czyli takie miejsce, gdzie można spotkać innych i rozmawiać, to znaczy pisać do siebie. Ale rozmawiać też – starała się wytłumaczyć wszystko jak najprościej. – Tutaj – wskazała na okienko – te zielone napisy mówią, kto akurat jest. O! Kamil! – Ucieszyła się. – Zaraz do niego napiszemy.

*Marysia: Cześć :)*

*Kamil: Cześć :) Co porabiasz?*

*Marysia: Siedzimy z babcią Różą i rozmawiamy.*

*Kamil: Fajnie :) Pozdrów ją ode mnie.*

– Kamil cię pozdrawia – przekazała informację.

– To ten, który odwiedził cię w Borowej?

– Tak.

– To napisz, że ja też go pozdrawiam i zapraszam do siebie.

*Marysia: Babcia pozdrawia i zaprasza w odwiedziny.*

*Kamil: Dziękuję. Chętnie przyjadę :)*

*Marysia: Kończę, bo mamy z babcią jeszcze dużo do obgadania.*

*Kamil: Jasne. Pa :)*

- No widzisz, babciu, jakie to proste. Można z kimś rozmawiać, nawet gdy jest na drugim końcu świata. Gdybyś miała komputer i sieć, to mogłybyśmy rozmawiać każdego dnia.
- Podoba mi się. Tylko tak sobie myślę, że ja jednak wolę tak po staremu. Usiąść, popatrzeć sobie w oczy...
- Ale nie zawsze się tak da. Na przykład jak ktoś jest w innym kraju – broniła swojego zdania Marysia.
- Masz rację. Nie zawsze się da. Ale jak jest wybór, to chyba lepiej bez komputera. Popatrzeć można, dotknąć... poczuć naprawdę tę drugą osobę.
- Może i tak – zgodziła się Marysia. – I można na przykład, rozmawiając, zjeść razem obiad. Bo chyba już pora?
- A wiesz, dziecko, że masz rację. Tak mi się dobrze z tobą gada, że całkiem zapomniałam. To może ja wrócę na fotel i dopiję herbatę, a ty zrobisz spokojnie, co tam trzeba? A może ci pomóc?
- Dam sobie radę, babciu. Tylko boję się, żebyś się nie nudziła, jak będę w kuchni.
- Tylko nudni ludzie się nudzą – uśmiechnęła się babcia i zapytała nieoczekiwanie: – A ten Kamil to chyba sympatyczny chłopak?
- Tak, bardzo. Lubię z nim rozmawiać. – Po chwili wahania dodała. – Nie tylko tak po wierzchu. I poszła do kuchni.



Ewa Dobrosz była zła. I cała ta złość koncentrowała się na jednej osobie. Na samo wspomnienie Róży Marcisz zaciskały jej się szczęki. Jak to możliwe, że ta kobieta, wracając nieproszona po kilkunastu latach, bez wysiłku zabiera jej to, na co ona ciężko pracowała całe życie. Zawsze taka była – miły uśmiech, dobre spojrzenie i ludzie natychmiast gotowi byli zrobić, co tylko chciała. Teraz też pewnie opowiada te swoje mądrości Tamarze i Marysi. Już tak je omotała, że świata poza nią nie widzą. I nawet im do głowy nie przyjdzie, że Ewa siedzi w domu samotna. Bo babcia Róża wychodzi ze szpitala – przedrzeźniała w myślach słowa córki. – Też mi powód, żeby robić takie zamieszanie.

Czy ja nie zasłużyłam na troskę i zainteresowanie? – myślała. – Dawałam z siebie wszystko, dyżurowałam po nocach, żeby Tamara miała jak najlepiej. Gdybym siedziała w wiejskim domku na tym końcu świata, to na pewno nie miałyby teraz wykształcenia, pracy, mieszkania. Tylko kto o tym pamięta? I kto to doceni?

Stojąc przy oknie, obserwowała marcowe niebo i przypominała sobie rozmowę z córką.

- Dzwonię, żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.
- Rychło w czas. Mogłam już trzy razy umrzeć i nikt by się nie zorientował. – Ewa nie mogła powstrzymać się od złośliwości.
- Mamo, rozumiem, że powinnam się częściej odzywać, ale naprawdę nie wiem już, w co ręce włożyć.
- A święta za pasem. Zaplanowałaś już zakupy?
- Nie miałam czasu o tym myśleć. – W głosie córki wyczuła rozdrażnienie, ale wcale się tym nie przejęła.
- A co tak cię absorbuje, że zapominasz o ważnych sprawach?
- Córka na chwilę zamilkła. Ewa Dobrosz dobrze wiedziała dlaczego. Nie chciała wspominać o Róży. Ale matka nie zamierzała jej niczego ułatwiać. Dlaczego niby tylko ona ma się z tym wszystkim czuć źle?
- To może przyjdiesz w sobotę i rozplanujemy wszystko? – zaproponowała, wiedząc, że przypiera córkę do ściany.
- Przepraszam, mamo, ale nie mogę.

– No tak, mogłam się domyślić. W końcu nie wyłądownałam jeszcze na intensywnej terapii, więc nie ma potrzeby się mną zajmować. – Wiedziała, że sprawia córce przykrość, ale naprawdę nie mogła się powstrzymać. Niech Tamara wie, że matka czuje się zaniedbywana.

– Mamo, przecież wiesz, że to nieprawda. Po prostu musimy wyjechać z Marysią. – Najwyraźniej chciała na tym zakończyć, ale Ewa nie pozwoliła jej na to. Niech powie wprost – pomyślała.

– Dokąd?

– Babcia Róża wychodzi ze szpitala i musimy jakoś zorganizować jej opiekę. Ale po weekendzie zadzwonię i spotkamy się w sprawie tych świąt. Ze wszystkim zdążymy na czas, obiecuję.

– Jak uważasz – odpowiedziała chłodno lekarka. – W takim razie do usłyszenia. Bawcie się dobrze – dodała ironicznie i rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Właściwie to mogła się tego spodziewać. Ale z drugiej strony – pomyślała – mam siedzieć i patrzeć w telewizor tylko dlatego, że moi najbliżsi nie mają dla mnie czasu? Ani mi się śni.

Zdecydowanym ruchem zaciągnęła firanki. Nie miała już ochoty patrzeć dłużej na przetaczające się po niebie ciemne chmury. Ten widok potęgował tylko jej zły nastrój. Przez tyle lat uczyła się nie zwracać uwagi na swoją samotność, więc teraz żadna Róża Marcisz nie sprawi, że będzie znowu boleśnie ją odczuwać. Sięgnęła po telefon i mocno przyciskając klawisze, wybrała numer.

– Krysia? Mówi Ewa Dobrosz. Czy zaplanowałaś coś na sobotę? Jeszcze nie? No to już nie planuj. – Przez chwilę słuchała głosu po drugiej stronie linii. – Też właśnie o tym pomyślałam. Będę piekła babkę. Wiesz, taka próba generalna przed świątami. Wpadnij, to spróbujesz, czy wyszła i porozmawiamy przy lampce wina.

No, to teraz i ona będzie się dobrze bawić.

Bo na szczęście są jeszcze na świecie ludzie, którzy mnie cenią – pomyślała z satysfakcją. – Nawet jeżeli bliscy nie potrafią, to jednak zapracowałam sobie w życiu na szacunek i zainteresowanie. Żeby tylko babka dobrze wyszła, bo wstyd będzie. Muszę poszukać tego przepisu, żeby nic nie pomylić.

Wertując szufladę z papierami, lekarka na chwilę zapomniała o złości i dręczących ją niepokojach. Przestała nawet odczuwać to denerwujące kłucie w okolicach serca. Wiedziała z doświadczenia, że nic lepiej nie robi na zachwiania emocjonalne niż zajęcie się czymś konkretnym. Tym razem jej sprawdzona metoda także poskutkowała. Jagodno i Róża Marcisz zostały zepchnięte gdzieś na daleki plan, a najważniejsza stała się cytrynowa babka.



– Gdzie ty, mamo, znowu się wybierasz?

Zofia właśnie zakładała buty, gdy usłyszała za plecami głos Kasi. Z lekką ulgą przerwała wpychanie kozaka na opuchniętą stopę. Właściwie to już nie pamiętała, kiedy mogła swobodnie włożyć nogę do buta i chociaż starała się wybierać te najszerwsze, to i tak niewiele pomagało. Lekarz też wzruszał ramionami i twierdził, że tak już musi być. Wypisywał różne lekarstwa, ale niewiele pomagały, a maści, które proponował, były takie drogie, że Zofia już dawno z nich zrezygnowała.

– To wszystko przez te reklamy. Wmawiają ludziom, że pomoże, a naprawdę to nic nie daje – mówił Jarek, jej zięć. I miał rację. Szkoda było na to pieniędzy. A buty jakoś dawało się założyć, zresztą trochę bólu to jeszcze nie koniec świata.

– Idę, córuś, do Jasi, bo mam jej podszyć sukienkę, co to ma w niej być za tydzień na weselu u tej siostrzenicy z Bartkowa. Wiesz, tej co chodziła do klasy z siostrą twojego Jarka.

– Mama to wszystkim dookoła pomaga, jakby we własnym domu nic do roboty nie było. Ja już nie



wiem, za co się najpierw brać! – Córka najwyraźniej nie była zadowolona. – Tylko niech mama pamięta, że my dzisiaj idziemy do Ilony. Jej mąż zjechał już na święta i robią małą imprezę. To żeby mama wróciła niedługo, bo dzieciaków trzeba dopilnować. Jarek wkrótce pewnie z pracy przyjedzie, to będzie chciał chwilę odpocząć, a ja się przecież też muszę przygotować, żeby jakoś wyglądać. Bo siedzę w tym domu jak pokutnica jakaś i nawet nie mam czasu w lustro spojrzeć.

– Dobrze, dobrze, będę jak trzeba. Nie martw się, córuś.

– I tyle razy mamę prosiłam, żeby buty w ganku zostawiać, bo się panele niszczą. Kto na to wszystko zarobi? Jarek już i tak ręce po łokcie urabia, żebyśmy jakoś żyli na poziomie. A mama ciągle swoje! – Kasia westchnęła głośno i zniknęła w drzwiach kuchni.

Zofii zrobiło się przykro. Pamiętała o prośbie córki, ale w wąskim ganku nie miała gdzie przysiąść, przez co zakładanie butów było jeszcze bardziej bolesne.

Ale przecież Kasia nie chce źle – usprawiedliwiła córkę w myślach. – Skąd może wiedzieć, że mi tam niewygodnie. A z tymi panelami to ma rację. Pamiętam, jak kupowali – drogie były, specjalnie skądś sprowadzane, żeby wyglądały jak prawdziwe deski. Żal byłoby zniszczyć.

Dobrze wiedziała, że zięć ciężko pracuje. I że dzieci chcą się czegoś dorobić. Rozumiała to, bo przecież sama знаła pracę od rana do nocy. Cieszyła się, że jej córka ma takiego zaradnego męża, bo jej samej nie było to dane. Musiała gotować i sprzątać w szkole i u ludzi, żeby zarobić trochę grosza, a po pracy jeszcze gospodarki dopilnować, bo Stasiak to więcej gadał i pił niż o robocie myślał. A potem umarł. W polu padł i po chłopie. Serce podobno nie wytrzymało. Z butelką w rękę go znaleźli. Cóż, widać taki los.

Dobrze, że córkę wychowała i dziewczyna na ludzi wyszła. No i matki się nie wyparła, dach nad głową zapewnia i utrzymanie, bo przecież co to jest te parę groszy, co Zofia może im dać? Jak leki sobie kupi, to naprawdę niewiele zostaje. Dobrze, że chociaż od czasu do czasu ktoś o pomoc poprosi, to coś tam wpadnie do kieszeni. Przynajmniej dla wnuków na słodczyce ma, bo co to za babcia, co nic wnuczkom nie podaruje.

Żeby tylko zdrowie dopisywało, to najważniejsze – pomyślała. Nie chciała być ciężarem dla córki i zięcia, starała się jakoś odwdziaczyć, choćby gotując czy zajmując się dziećmi. No i trochę gospodarstwem, bo Kasia na to czasu nie miała, a przecież zawsze swojskie jajko czy kura na rosół to lepsze niż sklepowe. I taniej. Więc się Zofia starała. Żeby pomagać i żeby nie przeszkadzać.

Wreszcie kozak znalazł się na swoim miejscu. Ścisnęło, ale dało się wytrzymać. W lecie będzie łatwiej, bo buty odkryte, to mniej boli. Jeszcze ze dwa miesiące – pocieszała się. Sięgnęła po płaszcz i wyszła. Za furtką przyspieszyła i starając się iść tak szybko, na ile pozwalały bolące stopy, skierowała się w stronę końca wsi. Każda chwila była cenna, przecież obiecała Kasi, że się nie spóźni.



Kiedy podjechały pod biały domek, Tamara od razu zauważyła, że z komina unosi się cienka linia dymu. No to jednak jakoś się zebrał – pomyślała z ulgą. – Przynajmniej zimno nie będzie.

Wprowadziła babcię do środka. Przy jej nogach natychmiast pojawił się Barnaba i głębokim mručeniem zaczął domagać się pieszczot.

– Stęskniłeś się, łobuzie. – Staruszka pochyliła się do zwierzęcia i sękata dłoń od razu wylądowała na kocim grzbiecie. – Ja też, ja też – powtarzała, gładząc miękkie futerko.

Babcia Róża ledwie zdjęła płaszcz, od razu podeszła do kuchni. Zdażyła też obrzucić okiem wnętrze pomieszczenia.

– Myślałam, że będzie gorzej – stwierdziła i widząc minę Tamary, roześmiała się. – Żartowałam. Byłam spokojna, ani przez chwilę nie wątpiłam, że sobie z Łukaszem świetnie poradzicie.

Tamara nie chciała komentować. Nie chciała też być w żaden sposób łączona z tym mężczyzną, nawet tylko w słowach i nawet przez babcię. Nie podjęła więc tematu.

– Marysiu, chodź, przyniesiemy z samochodu resztę bagażu – kiwnęła ręką na córkę, która już zdążyła rozsiaść się przy kuchennym stole. Widać było, że czuje się tu jak u siebie w domu.

Zupełnie inaczej niż gdy pierwszy raz tu przyjechała – pomyślała Tamara.

Wyciągnęły z bagażnika kilka toreb i siatki z zakupami.

– Ile ty tego zabrałaś – jęknęła dziewczyna.

– I tak jutro trzeba będzie skoczyć do Jagodna po jakieś zapasy. Ale to dopiero kiedy się rozejrzemy i wspólnie ustalimy, czego potrzeba. Babcia nie może dźwigać, a pewnie nie zamierza nikogo słuchać, więc trzeba po prostu tak zrobić, żeby nie musiała.

– No przecież jest ten Łukasz, to nie może babci zakupów przytargać? – zdziwiła się córka.

Czy oni wszyscy już powariowali na punkcie tego faceta? – zezłościła się Tamara. – Jakby go zobaczyli takiego jak ja wczoraj, to może zaczęliby inaczej myśleć.

– Może albo i nie może – odpowiedziała ze złością. – Łap lepiej za te torby.

Kiedy wróciły, zastały w kuchni rozradowaną babcię, która właśnie stawiała na stole szklanki z herbatą.

– Mam już pierwszych gości – oznajmiła.

– Właśnie widzę – odpowiedziała z przekąsem Tamara. – Bo na herbatkę to zawsze wiadomo gdzie przyjść.

Łukasz pozostał zupełnie obojętny na jej złośliwość, siedział nadal z kamienną twarzą, natomiast nieznajoma kobieta podniosła się szybko.

– Ja nie chciałam przeszkadzać. Pan Łukasz powiedział, że pani Róża przyjeżdża, to pomyślałam, że wpadnę zapytać o zdrowie. Nie wiedziałam, że ma gości, nie chcę przeszkadzać...

Tamara zorientowała się, że palnęła głupio i została źle zrozumiana.

– Przepraszam panią, źle się wyraziłam. A raczej nieprecyzyjnie. Wcale pani nie przeszkadza. To dom babci, a pani jest jej znajomą, więc... – Nie wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji i było jej naprawdę głupio.

– Zresztą goście są z miasta i na pewno mają wiele ważnych spraw, więc zaraz pojedą – rzucił nieoczekiwanie Łukasz.

– Akurat nie! Zostajemy do niedzieli – odparowała z satysfakcją Tamara. – Bo na nas można liczyć, wyobraź sobie!

Nieznajoma stała zdezorientowana. Marysia też miała niepewną minę.

– Dzieci, co wy wyprawiacie! – Babcia Róża załamała ręce. – Przestańcie się kłócić. Siadajcie i porozmawiamy jak ludzie.

Łukasz podniósł się od stołu.

– Skoro goście zostają, to ja już mogę iść. Dobrze widzieć, pani Rózo, że pani w formie. I że może pani liczyć na kogoś, kto jutro przyniesie drewno i napali pani w piecu. Do widzenia!

Zabrał swoją zieloną kurtkę i nie tracąc czasu na jej zakładanie, wyszedł w zapadający zmrok. Babcia Róża pokręciła głową, ale nic nie powiedziała.



Łukasz szedł leśną drogą i był wdzięczny naturze za chłód wieczoru. Miał kaca, bolała go głowa i wszystkie mięśnie. Normalnie już do tej pory znalazłby jakiegoś „klina”, ale nie chciał denerwować pani Róży. Wolał, żeby nie poczuła od niego alkoholu. Nie miał złudzeń, na pewno zauważyła, w jakim jest stanie, że trzęsą mu się ręce, a każdy głośniejszy dźwięk rozbrzmiewa w głowie jak dzwon, powodując ból. No, ale przynajmniej był ogolony i nie śmierdział wodą.

I może wszystko byłoby nieźle, gdyby nie ta irytująca kobieta. Sama jej obecność sprawiała, że miał ochotę się napić. Zachowywała się tak, jakby zjadła wszystkie rozumy. A jak na niego patrzyła! Widział w jej oczach mieszankę litości z obrzydzeniem i nienawiścią. Trudno to było wytrzymać.

Nie musiała go lubić. Już dawno doszedł do wniosku, że nikt nie musi go lubić. Miał to gdzieś. Ale ta litość! Niech ją sobie wsadzi w swoją miejską wypachnioną dupę – podsumował w myślach dosadnie i zrobiło mu się trochę lżej. Ale tylko trochę. Niewiele.

Znał takie kobiety. Znał doskonale. Wszystko wiedziały, wiele chciały i osiągały swoje. Nie patrząc na innych. A mężczyzna miał być maszynką do zarabiania pieniędzy. Szkoda gadać!

Ta niczym się nie różniła. Pachnące ciuszki, na wieś w białym swetrze, aż dziw, że nie uciekła po jednym dniu. No to niech sobie teraz ponosi drewno i nakarmi kury – stwierdził z satysfakcją. – No i zobaczymy, na kogo tu można liczyć.

Dobrze, że nauczył się nad sobą panować. Kiedyś, dawno temu, tak nie było. Reagował na wszystko natychmiast, nie ukrywał uczuć, mówił, co myśli. Ale życie kilkoma mocnymi kopniakami pokazało mu, że lepiej, gdy nikt nie wie, co myślisz i czujesz. Zrozumiał, że kontrola to podstawa i opanował ją do perfekcji. Nawet, gdy w środku aż buzowało od emocji, na zewnątrz pozostawał chłodny i opanowany. Dzięki temu miał spokój. I nikt już nie mógł wykorzystać tego, co czuje przeciwko niemu. Tak było lepiej. I teraz po raz kolejny otrzymał tego potwierdzenie.

A pani specjalistka od reklamy zmierzy się jutro z pieńkiem i siekierką – pomyślał. – Ciekawe, czy nadal będzie miała taką wyniosłą minę.

Wyobraził sobie Tamarę w tych jaśniutkich, obcisłych dzinsach, w których tego dnia przyjechała, z ciężką siekierą w szczupłej dłoni z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Roześmiał się na cały głos, ale dźwięk własnego śmiechu sprawił, że znowu zakłuło go w głowie. I nie wiadomo dlaczego, poczuł jakąś złość, wściekłość prawie.

Nie no, jak się nie napiję, to nie dam rady – pomyślał. Gwałtownie skręcił w lewo i poszedł szybkim krokiem, na skróty, do domu.



– Pani Zofia zawsze opowiada mi o wszystkim, co się wydarzyło w Borowej. – Babcia Róża obdarzyła kobietę swoim ciepłym uśmiechem. – I robi to tak wspaniale, że mogłabym jej słuchać godzinami.

– Co pani mówi, pani Różo! – zawstydziła się Zofia. – Tak tylko mówię, żeby pani wiedziała, co u sąsiadów słychać.

Okazało się, że oczywiście babcia miała rację. Zofia na początku była trochę onieśmielona i odpowiadała krótko na pytania, patrząc przy tym w blat stołu, ale z czasem, gdy poczuła się pewniej i oswoiła z nowymi osobami, jej opowieści stały się dłuższe. Tamara zauważyła, że kobieta ma dar dostrzegania szczegółów, takich drobiazgów, które zazwyczaj ludziom umykały, a tworzyły klimat i pozwalały dużo lepiej wyobrazić sobie osoby i miejsca, o których mówiła.

Najbardziej jednak spodobało się Tamarze to, że Zofia nie mówiła o nikim złośliwie, nie krytykowała. Początkowa obawa, że mają do czynienia z typową wiejską plotkarką, szybko zniknęła i zmieniła się

w sympatię dla tej skromnej osoby.

Marysia też najwyraźniej polubiła nową znajomą. Widać było, że słucha z zaciekawieniem, dopytywała nawet o szczegóły, a już prawdziwy zachwył wzbudziła opowieść o małych kurczątkach.

– I naprawdę nie wszystkie są żółte? – pytała.

– Nie wszystkie – potwierdziła Zofia. – Ale wszystkie jednakowo malutkie i trzeba ich pilnować jak oka w głowie.

– A w tym roku też będą?

– Będą, będą. Już niedługo – zapewniała kobieta.

– A pozwoli mi je pani zobaczyć?

– Pewno, że tak. Przyniosę kiedyś jednego, jak tu będziesz – obiecała Zofia, dziwiąc się, skąd u panienki z miasta takie zainteresowanie.

W ogóle była zdziwiona, że ci goście pani Róży tacy mili. No i tym, że mówią do niej „babciu”.

Przecież wiadomo, że pani Róża rodziny już nie ma – myślała. – A już dzieci z Marciszem to na pewno nie miała. No i obie tak mówią, i starsza, i młodsza, a przecież to matka i córka, to jak tak? Ale Zofia nie wypytywała, bo przecież nie wypadało.

Przy miłej rozmowie w sympatycznym gronie czas mijał szybko. Dopiero kiedy Tamara wstała, żeby zapalić dodatkową żarówkę, Zofia zorientowała się, że za oknem jest już całkiem ciemno.

– Ja już muszę iść – zerwała się od stołu. – Strasznie się zasiedziałam...

– Pani Zofio, proszę się nie przejmować. Bardzo miło się nam gawędzi. – Tamara naprawdę tak uważała.

– Ale muszę. Bo córka z zięciem wychodzą, a ja obiecałam zająć się wnukami.

– Proszę mnie częściej odwiedzać, pani Zosiu – poprosiła babcia.

– Przyjdę w poniedziałek, to sprawdzę, czy czegoś pani nie trzeba. I do kur mogę zajrzeć, bo pani to chyba jeszcze musi odpoczywać, a ja lubię, to...

– Pani Zosiu, zawsze zapraszam. I nie po to, żeby pani coś robiła, tylko tak, na herbatę i rozmowę.

W tym momencie Tamara wpadła na pomysł. I to doskonały pomysł. Oby się udało! – pomyślała.

– Odprowadzę panią Zofię – powiedziała szybko. – A ty, Marysiu, posprzątaj ze stołu.

Wyszła za kobietą do ganku. Kiedy ta założyła płaszcz, Tamara przyjrzała się jej uważniej.

– Czy my się już kiedyś spotkałyśmy? – zapytała.

– Tak. Pani szukała Łukasza – powiedziała Zofia. – Ja od razu poznałam, ale nie wiedziałam, czy powinnam mówić...

– Przepraszam, że nie skojarzyłam. Wtedy było ciemno, nie widziałam pani wyraźnie, dopiero ten płaszcz...

– Dziękuję za gościnę. – Zofia położyła rękę na kłamce.

– Proszę jeszcze minutkę poczekać. – Tamara postanowiła spróbować. – Mam do pani taką prośbę...

Zofia spojrzała pytająco. Czego to mogła od niej chcieć ta kobieta?

– Babcia Róża powinna się oszczędzać, a chyba nie chce o tym słyszeć. Martwię się, że będzie robić rzeczy, których nie powinna albo za dużo naraz. I tak sobie pomyślałam, że może pani mogłaby odwiedzać babcię na przykład trzy razy w tygodniu i pomóc jej troszkę? – Nie widziała twarzy Zofii, bo ta znowu patrzyła w podłogę, więc nie mogła sprawdzić, jaka jest reakcja na jej propozycję. Brnęła jednak dalej, bo przecież nie miała nic do stracenia. – Przepraszam, że tak proponuję, chociaż dopiero się poznałyśmy, ale widzę, że babcia panią lubi, więc może udałoby się to tak załatwić, żeby się nie zorientowała. Ja nie mogę być tutaj codziennie, i tak miałam szukać kogoś do pomocy, a chyba lepiej, żeby to była osoba zaufana, jak pani, a nie ktoś obcy.

Zofia podniosła głowę. Zrobiło jej się przyjemnie, kiedy usłyszała o tym zaufaniu. Nikt tak do niej nie

mówił.

– Dobrze, pani Tamaro. Będę przychodzić. Pani Róża to bardzo dobra kobieta i chętnie jej pomogę, żeby mogła wyzdrowieć.

Tamara odetchnęła z ulgą.

– Ja oczywiście pani zapłacę. Proszę tylko nie odmawiać. Przecież gdybym zatrudniła opiekunkę, to nie przychodziłaby za darmo. Proszę się tylko zastanowić, ile chciałaby pani zarabiać. – Była tak szczęśliwa, że chyba zgodziłaby się na każdą kwotę podaną przez tę kobietę. – A, i proszę tylko nie mówić babci, że ja płacę. Bo wie pani, babcia nie ma zbyt wiele, a pewnie nie chciałaby się zgodzić na taką moją pomoc. No, po prostu proszę o tym nie wspominać, dobrze? To będzie tylko między nami.

Zofia pokiwała głową. Była trochę zdezorientowana, bo ta pani Tamara tak szybko i dużo mówiła. No i to wszystko zdarzyło się tak nieoczekiwanie...

– Naprawdę muszę już iść – powiedziała tylko. – Przyjdę w poniedziałek. Dobranoc.

– Dobranoc, pani Zofio. Jeszcze raz dziękuję.

Tamara zamknęła za kobietą drzwi i ledwie się powstrzymała, żeby nie podskoczyć z radości. Biały domek miał chyba w sobie coś magicznego. Nieoczekiwanie problem, który trapił ją od kilku dni, znalazł rozwiązanie. I to nadzwyczaj dobre. Będzie mogła z czystym sumieniem wrócić w niedzielę do domu, wiedząc, że babcia Róża zostanie w swoim domu pod dobrą opieką.



Zofia dawno nie była taka radosna. Czowała się tak, jakby ubyło jej ze dwadzieścia lat. Wracając do domu, myślała o tym, jak miło spędziła czas u pani Róży. I wszyscy jej słuchali, zupełnie jakby była kimś ważnym.

Chyba naprawdę podobało im się to, co mówiłam – zastanawiała się. – A już szczególnie tej młodej. I jak o te kurczątko wypytywała – wspominała sytuację sprzed godziny. – Moje wnuki to się wcale tym nie interesują. Może dlatego, że na wsi to nie dziwota, a w mieście kur przecież nie trzymają. Jak się tylko u nas wylęgna, to wezmę jednego i będę trzymać u pani Róży. Niech sobie ta Marysia popatrzy. A Kasia i tak niczego nie zauważy, bo ona nawet nie wie, ile ich mamy. Nie ma do tego głowy. Zresztą nigdy się wszystkie nie uchowają, więc straty dużej nie będzie.

Zofia nie miała zbyt wielu okazji do beztroskich pogawędek. Pewnie, jak komuś pomagała albo szyla, to zawsze kilka zdań się zamieniło. Ale żeby tak siedzieć przy stole i nic nie robić tylko rozmawiać, to się nie zdarzało. Zawsze jest coś do zrobienia. I u ludzi, i w domu. A u pani Róży to jakoś inaczej. I tak wesoło, można powiedzieć, co się chce...

Kobieta cieszyła się też na myśl o dodatkowym zarobku. Nie spodziewała się takiej propozycji. Praca lekka, bo co to za robota – w kuchni trochę pomóc czy pozamiatać. Gotować lubiła i nawet zięć czasami chwalił, zwłaszcza ciasta. No a tutaj jeszcze tak na dłużej będzie, to tych parę groszy się uezbiera.

Postanowiła, że na razie nic Kasi nie powie. Będzie niespodzianka. Nie wiedziała jeszcze, ile zarobi, ale na słodycze dla wnuków na pewno będzie. A jeszcze jakby się udało może jakieś zabawki im kupić, to już byłoby prawdziwe szczęście.

Będzie się starała, żeby byli z niej zadowoleni. Zawsze robiła najlepiej, jak umiała, ale słowa Tamary trafiły jej do serca. Że niby jestem zaufana – przypominała sobie. – I nie obca. A pani Róża mnie lubi.

To było coś nowego dla Zofii. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy ktoś ją lubi. Ale to było miłe uczucie – wiedzieć, że dla innych ludzi znaczy coś więcej niż tylko ręce do pracy. Od tego robi się tak dziwnie lekko w środku.

Z uśmiechem na twarzy weszła do domu. Pamiętała o zdjęciu butów w ganku. Z ulgą włożyła stopy w rozchodzone kapcie wyściełane miękkim sztucznym futerkiem.

– No i gdzie mama była do tej pory? – Kasia pojawiła się na schodach, gdy tylko usłyszała odgłos otwieranych drzwi. – Naprawdę, już mi się cierpliwość kończy! Powinniśmy dawno wyjechać, Jarek się denerwuje i jeszcze dzieciaki marudzą, że głodne. A ja się już wyszykowałam, to nie będę przecież do kuchni wchodzić. Mama obiecała, że im zrobi kolację, prawda?

– Przepraszam, córuś. – Zofia spuściła głowę. – Wstąpiłam do pani Róży, bo ze szpitala wróciła i zasiedziałam się przy herbacie. Wiesz, ma gości z miasta...

– To mama się gości u obcych ludzi, a my tu czekamy?! – Kasia przerwała matce w połowie zdania. – No to się już w głowie nie mieści! Nawet niech mama przy Jarku o tym nie wspomina, bo się wścieknie.

– O, mamusia raczyła wrócić! – Z góry dobiegł głos zięcia. Słysząc było, że jest zły. – To może uda nam się wreszcie wyjść? Człowiek po robocie chciałby odpocząć, ale nie może, bo mamusia po domach lata. A ja mam na to spokojnie patrzeć?

Zofii było wstyd. Przez swoje pogawędki zepsuła dzieciom wieczór.

– To jedźcie już i dobrze się bawcie. Ja się tu wszystkim zajmę. O dzieci się nie martwcie, dopilnuję.

– Bardzo mamusi dziękujemy – powiedział z przekąsem zięć, stając naprzeciwko Zofii. Patrzyła na rosłego mężczyznę o słusznej wadze z dumą. Udał jej się zięć, nie ma co! I widać, że dobrze się dzieciom powodzi. No, ale sami się wszystkiego dorobili. Bo cóż ona im dała? Tych kilka hektarów i dom? Ludzie mówili nieraz, że to dużo, ale co tam oni wiedzieli. Jakież to dom ona mogła postawić? Sam Jarek mówił, że wszystko marne i remontu wymaga. A on się przecież zna, bo w budowlance robi. Dobry się mąż Kasi trafił – cieszyła się w myślach.

Przecisnęła się obok Jarka i weszła do kuchni, gdzie przy stole już siedziała trójka wnucząt – dziesięcioletni Krzysio, ośmioletni Pawełek i jej oczko w głowie – pięcioletnia Nikola.

– Kiedy będzie kolacja? – zapytał Krzysio.

– Zaraz, syneczku, zaraz. Tościki wam zrobię, te co lubicie – uspokoiła go Zofia.

– Tata krzyczał – poinformowała Nikola.

– Tatuś jest zmęczony i dlatego mu nerwy puszczają – tłumaczyła zięcia, smarując chleb masłem. – Może byliście niegrzeczni i się zdenerwował...

– Przez babcię krzyczał. Mówił, że babcia nic nie robi i że on ma tego dość. – Pawełek z dziecięcą szczerością powtórzył, co słyszał.

– Babcia robi. – Nikola najwyraźniej chciała bronić ukochanej osoby. – Tośty robi. I kałkałko.

Zofia, stawiając na blacie toster, zobaczyła przez okno córkę z mężem. Szli do samochodu. Jarek milczał, a Kasia coś mu zawzięcie tłumaczyła. Ładna z nich para – pomyślała Zofia. – Pasują do siebie. Kasia wysoka i zgrabne nogi ma. Dobrze wygląda w tej sukience i jasnej kurteczce. Opłacało się po to jechać do tej galerii w Kielcach. Niech się pobawią, odpoczną. Zasłużyli – stwierdziła. – Chociaż tyle mogę pomóc, że o dzieciaki są spokojni.

– To kiedy te tosty będą? – Krzysio głośno przypomniał zamyślanej Zofii o jej obowiązkach.

– Już, za chwileczkę – zapewniła. Przechodząc obok stołu, pogłaskała Nikolę po głowie. Wyglądał zupełnie jak Kasia w jej wieku – pomyślała, patrząc z czułością na wnuczkę. – Żeby tylko mi zdrowia starczyło, żebym dożyła tego, jak wyrośnie na taką piękną kobietę jak jej mama.

– Opowiesz nam bajkę? – zapytała wnuczka.

– Głupia, bajki są dla maluchów – zaoponował Krzysio, ale bez przekonania, bo sam też lubił posłuchać podczas kolacji babcinych opowieści. Najbardziej tych o dzielnych chłopcach, którzy nie bali się chodzić po lesie i walczyli z wilkami.

– Uspokójcie się, dzieci. – Zofia przywołała wnuki do porządku. – Opowiem.

Talerz z pierwszymi tostami postawiła na środku stołu i usiadła obok Nikoli, żeby pomóc jej w jedzeniu. Spuchnięte stopy mogły wreszcie trochę odpocząć.



Babka wyrosła jak należy. Zdążyła przestygnąć i Ewa Dobrosz właśnie skończyła polewać ją lukrem. Własnej roboty oczywiście, a nie jakimś tam gotowcem ze sklepu. Na to nigdy by sobie nie pozwoliła. No i czas wyliczyła doskonale – miała akurat kwadrans, żeby się przebrać. Ostatni rzut oka na mieszkanie. Wszystko w porządku i na swoim miejscu – wykrochmalone haftowane serwetki, błyszczące kieliszki i kryształowa cukiernica ze srebrną łyżeczką (prawdziwy antyk, okazjnie kupiony przed laty w Desie). Tak, zdążyła na czas. Grunt to dobra organizacja – pomyślała z dumą.

Zresztą Krysia na pewno się spóźni. Nie za wiele, ale pięć czy dziesięć minut na pewno. Ewa znała koleżankę od lat, ale nadal nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że osoba, która na sali operacyjnej zachowywała zimną krew, spokój i opanowanie, po wyjściu za szklane drzwi bloku operacyjnego zmieniała się w trzpiotkę, która ciągle coś gubi, zapomina i nie może zdążyć na czas.

Krysia była kilka lat starsza od Ewy. Poznały się jeszcze na stażu, a potem przez lata pracowały razem. Stanowiły doskonały zespół, rozumiały się bez słów, wystarczyło spojrzenie, a już każda z nich wiedziała, co robić. Uratowały wielu pacjentów, choć słowa podziękowania przyjmowała zwykle Krysia. Ludzie przypisywali wszystkie zasługi chirurgowi, nie wiedząc, jak wielką rolę w całym procesie odgrywa anestezjolog. Za to wiedziała to Krysia i zawsze sprawiedliwie dzieliła się czekoladkami, a w czasach kryzysu kawą, która w ich lekarskim życiu pomagała przetrwać nocne dyżury i była prawdziwym skarbem.

Ewę czasami denerwowało zachowanie Krysi. Dużo bardziej odpowiadała jej Krystyna – fachowiec, działający celowo i konkretnie. Kiedyś nawet zapytała koleżankę, jak to możliwe, że ma dwa tak różne oblicza.

– Ewciu, ja w życiu już musiałam być poważna i zorganizowana – odpowiedziała Krysia. – Nawet za bardzo. I jak trzeba, to nadal potrafię, ale kiedy zdążę być beztroska i wesoła? Muszę jakoś nadrobić stracony czas, prawda?

Tamara wiedziała, że Krysia wiele przeszła. Była dzieckiem działacza PPS-u i w czasie wojny ukrywali się z całą rodziną. Pewnej nocy niemieccy żołnierze załomotali do drzwi. Ojciec ukrył Krysię w małej piwniczce pod podłogą, gdzie przesiedziała całą noc. Tylko ona, czteroletnie dziecko, mogła się tam zmieścić. Resztę rodziny zabrano i wywieziono. Nigdy już ich nie widziała. Ją samą sąsiadka odnalazła następnego dnia – przerażoną, roztrzęsioną i... całkowicie siwą. Włosy już nigdy nie odzyskały koloru. O tym zdarzeniu wiedziała tylko Ewa, jedynie jej koleżanka zaufała. Jednak Ewa nie odwzajemniła się jej i nie zdradziła żadnej z własnych tajemnic.

Tak jak się spodziewała, dzwonek do drzwi zabrzmiał siedem minut po umówionej godzinie.

– Witaj, kochana! – W progu stanęła Krysia i wyciągnęła w kierunku Ewy niewielką torebkę. – Czuję, że babka się udała, ale winka to dzisiaj nie będzie – zaszczebiotała. – Będzie aroniówka! Udało mi się uszczknąć co nieco z Józikowych zapasów.

Józik, mąż Krysi, słynął ze swoich nalewek. Lata cierpliwych eksperymentów sprawiły, że osiągnął prawdziwe mistrzostwo w produkcji „niówek”. Tak je wszyscy nazywali, bo zależnie od tego, w co w danym roku obfitowała natura, powstawały malinówki, wiśniówki lub aroniówki. Smaki były różne, ale każdy, kto ich skosztował, potwierdzał, że są wyśmienite. A dodać należy, że sprawdzenie tego nie było łatwe, bo Józik z dużym namysłem i starannością wybierał tych, których obdarowywał swoimi

specjałami i jak widać nawet żona musiała posuwać się do podstępu, żeby dostać się do mężowskich smakołyków. Miały też jeszcze jedną cechę – moc. Piło się je ze smakiem i lekko, za to trudno było potem utrzymać się na nogach. Kilku zarozumiałych śmiazków przekonało się na własnej skórze, że z „niówkami” nie sposób wygrać.

– Bo tego się nie chla – mawiał Józik. – Tym się delectuje. Są dla smakoszy, nie dla pijaków.

Ewa zaprosiła koleżankę do środka. Podała kawę i kiedy Krysi udało się znaleźć w czeluściach torebki słodzik („Wiesz, kochana, ciągle staram się zgubić kilka kilogramów. No, chyba zgubiłam. Albo nie wzięłam z domu. Zadzwoń do Józika. A nie, nie trzeba, znalazłam!”), mogły spokojnie porozmawiać.

Spotykały się dość regularnie, szczególnie od czasu, gdy obie przeszły na emeryturę. Zawsze zaczynały od wspomnień, nigdy nie miały dość powrotów do opowieści z dyżurów, czy historii o dowcipach, które robili im koledzy z chirurgii i innych oddziałów. Choć przecież obie znały wszystko na pamięć, to powrót do lat młodości, nawet tylko we wspomnieniach, dawał im radość. Mogły przez chwilę poczuć się silniejsze, bardziej bez troskie i zapomnieć o codzienności.

Potem przyszła kolej na wymianę informacji. Ewa opowiadała koleżance o nowych pomysłach Ministra Zdrowia, o zmianach personalnych w szpitalach i innych nowinkach branżowych. Wiedziała to wszystko z lektury „Eskulapa Świętokrzyskiego”, który nadal prenumerowała, żeby nie tracić kontaktu z lekarskim światem.

Krysia rewanżowała się jej nowinkami z życia prywatnego wspólnych znajomych. Spotykała ich często, bo bardzo lubiła biegać po sklepach i miejskim deptaku. Z namiętnością godną lepszej sprawy zaliczała też wszystkie nowe wystawy, premiery teatralne i koncerty w filharmonii. Ostatnio zapisała się nawet na jakieś wykłady na Uniwersytecie Trzeciego Wieku przy Uniwersytecie Jana Kochanowskiego i próbowała zachęcić do tego samego koleżankę.

– Znasz mój pogląd na podobne pomysły – odmówiła grzecznie, ale stanowczo Ewa Dobrosz. – Jeżeli będę chciała się czegoś nauczyć, wiem, gdzie szukać wiedzy. A siedzenie w gronie obcych staruszków mnie nie interesuje.

– Sama jesteś staruszką, kochana – zripostowała Krysia.

– Może i jestem, ale tym bardziej nie zamierzam robić czegoś, co będzie mi o tym przypominać.

Krysia wyduła pomalowane różową pomadką usta, ale nie ciągnęła tematu. Znała ten ton – kiedy Ewa przemawiała tym swoim lodowatym tonem, większość osób czuła strach i natychmiast się poddawała. Ona co prawda nie bała się Ewy, ale wiedziała, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Postanowiła zapytać o coś innego.

– A co tam słyhać u Tamarki?

Ewa zacisnęła szczęki. Wiedziała, że to pytanie prędzej czy później padnie. I zastanawiała się, co powinna na nie odpowiedzieć. Przecież Krysia nie wiedziała o całym zamieszaniu z Marysią, nie miała pojęcia o Róży Marcisz. Gdyby jej o tym powiedziała, to zaraz zaczęłyby się pytania, na które lekarka nie chciała odpowiadać.

– Jak zawsze – skwitowała więc krótko. – Pracuje, wychowuje Marysię. Normalnie.

Krysia spojrzała uważniej na koleżankę.

– Kiedy widzę, że coś cię gryzie, kochana. Wiesz, że mnie możesz...

– Wiem, wiem. Ale to naprawdę nic specjalnego. Trochę mnie denerwuje ten jej ciągły brak czasu. O świętach jeszcze nawet nie pomyślała, a przecież najwyższa pora.

– Czy ty troszkę nie przesadzasz? Jeszcze dwa tygodnie. Zresztą – Krysia machnęła ręką i upiła łyczek aroniówki – teraz można większość rzeczy kupić gotowych.

– No wiesz! Nie uznaję takich rozwiązań, a już szczególnie na święta – zachnęła się Ewa. – To przecież czas wyjątkowy, rodzinny. No, ale co to ją obchodzi, jak ona na co dzień o matce nie pamięta! Obcy



ludzie bardziej zaprzatają jej głowę niż ja! – Wspomnienie o rodzinie tak ją rozstroiło, że powiedziała o dwa zdania za dużo. Natychmiast zdała sobie z tego sprawę i zamilkła.

Krysia też przez chwilę milczała. Nieoczekiwanie spoważniała i popatrzyła w oczy koleżance

– Ewa, znamy się od wielu lat. I wiesz, że zawsze chciałam dla ciebie dobrze. – Teraz nie była roztrzepaną Krysią, ale Krystyną. – Nie obraż się za to, co powiem, ale myślę, że sama jesteś sobie winna.

– Co ty mówisz?! – zaprotestowała Ewa Dobrosz.

– Tak mówię. Zastanów się i popatrz na to obiektywnie. Poświęciłaś się pracy. W dzień i w nocy. Tak, wiem, ratowałyśmy ludzkie życie i to z bardzo dobrym skutkiem. Jednak zauważ – robiłaś wiele, ale dla obcych.

– To była moja praca. Poza tym nie robiłam tego dla własnego widzimisie. Musiałam dyżurować, żeby zarobić na utrzymanie. Doskonale wiesz, że robiłam to właśnie dla Tamary.

– Nie próbuj mnie zmrozić tym swoim lodowatym głosem. – Krystyna pokręciła głową. – Bo ja ci to wszystko mówię dla twojego dobra. Wiem, że robiłaś to dla córki, ale czy ona o tym wie? Bo chyba nie. Zawsze uważałam, że jesteś wobec niej zbyt wymagająca i apodyktyczna. Tylko nie chciałam się wtrącać.

– A teraz się wtrącasz.

– Owszem. Bo chyba najwyższa pora. Zanim będzie za późno. Dam ci dobrą radę: bądź dla córki matką, a nie kontrolerem i sędzią. I odpuść trochę. Wam obu wyjdzie to na dobre.

Ewa Dobrosz czuła się przygnieciona słowami koleżanki. Krysia nigdy w ten sposób do niej nie mówiła. Jakim prawem ją pouczała? I kto ją upoważnił do dawania jej rad?!

– Nie prosiłam cię o rady. Nie potrzebuję ich. Wiem, co mam robić. – Po raz pierwszy w życiu była zła na Krystynę. Tylko dobre maniery nie pozwalały jej na pokazanie koleżance drzwi. Na szczęście ona sama domyśliła się, co powinna zrobić. Wstała z fotela i pożegnała się.

– Na mnie już pora. Życzę ci spokojnych świąt.

Ewa nie odpowiedziała, nie odwzajemniła życzeń. W milczeniu odprowadziła Krystynę do przedpokoju i zamknęła za nią drzwi. Jak automat wróciła do pokoju i zaczęła zbierać talerzyki i kieliszki. Próbując się uspokoić, powoli i dokładnie zmyła każde naczynie, wytarła i odstawiła na swoje miejsce.

Dopiero kiedy niosła do kuchni półmisek z babką, coś w niej pękło. Rzuciła ciastem o podłogę, a dźwięk tłuczonego szkła wydał jej się odgłosem jej własnego, pękającego serca. Stała, patrząc na okruchy cytrynowej babki wśród kawałków zielonego półmiska i szlochała. Głośno, z głębi siebie, bez żadnego zahamowania. Łzy płynęły jej po policzkach i skapywały na beżową terakotę. A ona płakała i płakała. Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat Ewa Dobrosz straciła panowanie nad swoimi emocjami.



Na sobotnie popołudnie Marysia wymyśliła sobie poznanie okolicy. Kiedy były tu z matką przed dwoma tygodniami, chodziła na spacer, ale niedaleko. Co prawda jeździły też zwiedzać okolicę, ale brakowało jej tego, co nazwała „pośrodku”. Trochę dalej niż biały domek, a bliżej niż samochodowe wycieczki. No i musiała szczerze przyznać, że trochę się nudziła. Pomogła matce w zakupach, babci przy obiedzie i miała ze sobą książkę od historii, ale jakoś nie mogła się zabrać do nauki.

– A nie przesłabyś się po lesie? Nie jest zimno, a trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi – powiedziała babcia Róża, a ona natychmiast przystała na propozycję.

Od razu przypomniała jej się rozmowa z babcią i kot Barnaba. Wszystkiego po trochu – pomyślała.

Właśnie dlatego szła teraz ścieżką w stronę lasu. Miała za sobą już kawałek drogi, bo minęła całą wieś, zeszła nad zalew i podeszła pod górkę po jego drugiej stronie. Po raz kolejny trochę zdziwiło ją to, że wzdłuż całej drogi są wyłożone kostką brukową chodniki. Do Borowej bardziej pasowała dzikość i naturalność. Dlatego ucieszyła się, gdy wraz z szeregiem domków letniskowych skończyła się asfaltowa droga, a wraz z nią i chodnik. Teraz mogła poczuć się swobodniej – leśna dróżka i brak zabudowań dawały poczucie wolności. Wreszcie nikt jej nie obserwował, nie oceniał, nie będzie komentował.

Odetchnęła głębiej, rozluźniła ramiona. Nogi też, mimo pokonanej odległości, stały się lżejsze. Uśmiechnęła się do siebie. Dobrze mi tu – pomyślała.

Przyglądała się mijanym drzewom i doszła do wniosku, że nigdy wcześniej nie zauważyła, jak ciekawe są nierówności kory, jakie kształty przybierają gałęzie i jak różne mogą być szyszki. To było interesujące doświadczenie. Do tej pory drzewo było drzewem a krzak krzakiem i tyle. Teraz zobaczyła, że każda roślina jest inna. Szczególnie podobały jej się sosny. Wysokie, górowały nad lasem, ale prawie żadna nie miała prostego pnia. Jakby musiały się wychylać w różne strony, żeby znaleźć miejsce dla siebie wśród innych – przyszło jej do głowy. – Chyba nie miały lekko. Ale dopięły swego.

Pogłaskała jedną z nich po chropowatym pniu.

– Dzielna jesteś – powiedziała głośno, jakby drzewo mogło ją usłyszeć. – Dałaś radę. Wiem, jak to jest – dodała. A sosna zaszumiała w odpowiedzi. I chociaż Marysia wiedziała, że to wiatr porusza gałęziami, to wołała wyobrazić sobie, że została zrozumiana, że łączy ją z tymi drzewami coś wyjątkowego – wspólny trud w drodze do celu. I w jakiś dziwny sposób ta myśl dodała jej sił.

– A co tutaj robi?!

Aż podskoczyła. Nie spodziewała się, że usłyszy w środku lasu ludzki głos. Wystraszona spojrzała w kierunku, z którego dobiegał. Kilka kroków od niej stała kobieta. Wyglądała nieco dziwnie, to znaczy może nie dziwnie, ale jej czarne futerko i spódnica z aksamitu nie pasowały zupełnie do leśnego otoczenia. Nieznajoma miała w ręku laskę z czarnego lakierowanego drewna, którą podniosła i mierzyła w stronę Marysi jak szpadą.

– Pytałam o coś! Co tu robi?!

– Spaceruję po lesie – wyjaśniła Marysia, nadal nie mogąc wyjść ze zdziwienia. Ta kobieta miała na dłoniach haftowane rękawiczki bez palców, a na głowie futrzany toczek przypięty spinkami do siwego koka.

– To spaceruj po lesie, a nie po prywatnym terenie. – Staruszka opuściła swój „rapier”. – My tutaj nie życzymy sobie obcych. – Dla podkreślenia tych słów uderzała laską o poszycie.

My? – pomyślała Marysia. – Przecież jest sama. To chyba jakaś wariatka!

– Nie wiedziałam, że to teren prywatny. Nigdzie nie było żadnej tabliczki – postanowiła nie rozdrażniać bardziej nieznajomej i spróbowała się usprawiedliwić. – Przepraszam. Już sobie idę.

– A po co tabliczki. Każdy przecież wie. Niech się tu już nie kręci! Bo psami poszczuję!

Marysia naprawdę się wystraszyła. Jeszcze tego brakowało, żeby pogryzły ją jakieś rozwścieczone psy. Rozejrzała się wokół, żeby sprawdzić, czy między drzewami nie czają się zapowiadane przez staruszkę bestie i dopiero teraz zauważyła, że las w tym miejscu właściwie się kończył. Zajęta oglądaniem sosen nie zauważyła, że doszła do czegoś w rodzaju ogromnej polany, na końcu której stał niewielki murowany dworek. Nie widziała go dobrze, ale wyglądał raczej jak zaniedbany zabytek niż luksusowe siedlisko. Z pewnością stamtąd przysłała niezwykła staruszka – stwierdziła.

Ponieważ nieznajoma stała i widać było, że nie odejdzie dopóki nie upewni się, że Marysia opuściła jej posiadłość, dziewczyna odwróciła się i ruszyła w drogę powrotną.

– I żebym jej tu więcej nie widziała! – dobiegł ją jeszcze głos z polany. Była pewna, że staruszka mówiąc to, wygrażała jej błyszczącą laską.

Wracając do białego domku, zastanawiała się, kim była dziwna kobieta. Nieszablonowy wygląd i leśny dworek zaciekały nastolatkę. Jego mieszkanca też wyglądała niesamowicie – ten strój i zachowanie – jak nie z tego świata albo chociaż z minionej epoki. Różniła się od innych osób w jej wieku, sprawiała wrażenie, jakby wyszła z jakiegoś kostiumowego filmu. Pewnie babcia Róża będzie wiedziała, kto tutaj mieszka – stwierdziła. Chociaż po namyśle zdecydowała, że nie powie o tym spotkaniu ani babci, ani mamie. Nie chciała ich niepokoić i bała się trochę, że mogą zabronić jej samotnych spacerów.

Może przy okazji zapyta tego Łukasza. On bez przerwy chodzi po lesie, więc musiał i tutaj kiedyś być. I na pewno mamie niczego nie powie, bo w ogóle mało mówi, zresztą raczej się nie lubią.

Kiedyś jeszcze tutaj przyjdę – postanowiła. – Tylko będę ostrożniejsza. Podejdę z boku, żeby ta kobieta mnie nie zobaczyła. Obejrzę sobie dworek z bliska, może zrobię kilka zdjęć telefonem. A potem pokażę Kamilowi. Fajny taki dom w lesie, niespotykany. Tylko muszę być ostrożna, bo może ona naprawdę ma jakieś psy? – zastanawiała się. – Zapytam Łukasza. Na pewno wie.

– Widziałas coś ciekawego? – zapytała Tamara, gdy córka wróciła ze spaceru.

– Las jak las – wzruszyła ramionami Marysia.

– Już się zaczynałam martwić, bo nie było cię ponad dwie godziny.

– No przecież wilków tu nie ma, żeby mnie zjadły – zażartowała Marysia. – Zgłodniałam na tym spacerze. Coś przegryzę i chyba siądę nad historią, bo może mnie zapytać w poniedziałek. – Chciała jak najszybciej zejść matce z oczu i uniknąć dalszych pytań. Chwyciła leżące na kredensie pudełko z waniliowymi wafelkami i poszła do swojego pokoiku. Nie widziała, że odprowadza ją uważne spojrzenie babci Róży.



– Zostało nam dziesięć dni. A jeżeli nie liczyć soboty i niedzieli, to osiem. – Ewa Dobrosz zawsze starała się być dokładna. – Dobrze, że wreszcie się pojawiłaś.

Tamara powstrzymała westchnienie. Niczego innego nie mogła się spodziewać. Każdego roku, przed każdymi świętami to samo. Matka chciałaby, żeby wszystko było gotowe najlepiej co najmniej tydzień wcześniej.

– A u siebie już chociaż posprzątałaś? Wiesz, że na Wielki Tydzień już powinno być?

– Kończę – skłamała. Nawet nie zaczęła. Mycie okien odpuściła już zupełnie, trudno, nie były bardzo brudne, umyje, jak znajdzie więcej czasu.

– Powiedzmy, że ci wierzę. – Ewa Dobrosz nie dała się oszukać. – Jak tam chcesz. Twoje mieszkanie. Tylko jaki ty przykład dziecku dajesz?

Lepszy niż ty! – zezłościła się Tamara, ale nie odważyła się powiedzieć tego głośno.

– Może siądźmy nad listą zakupów – zaproponowała, chcąc zmienić temat. – Ja wszystkie puszki i cięższe rzeczy kupię i przywiozę, żebyś nie musiała dźwigać. A ty może zajmij się wędliną, bo lepiej się na tym znasz.

– Po prostu nie pozwalam sobie wcisnąć byle czego. Jasno mówię, co chcę i patrzę ekspedientkom na rękę. Żadna filozofia.

– Dobrze, więc to będzie twoja działka. – Tamara nie chciała dopuścić do dalszej części wypowiedzi, którą doskonale znała: „Gdybyś była bardziej pewna siebie, to też nie miałabyś z tym problemu” – słyszała to dziesiątki razy.

Nauczyła się już, że z matką lepiej nie wchodzić w spory. I tak nie dała sobie niczego wytłumaczyć, miała swoje racje i wszystko wiedziała lepiej. Dobrym sposobem, który wypracowała przez lata, było po

prostu słuchanie bez komentarzy. Dzięki temu teraz udało im się sprawnie i dosyć szybko podzielić zadania. Tamara zawsze planowała, że zatrzyma taką rozpiskę, bo przecież za rok będą robić dokładnie to samo, ale zawsze ją gdzieś gubiła. Rytuał dzielenia zadań powtarzały więc każdego roku, jakby odgrywały doskonale znaną scenę.

– A co słyhać u Marysi? – zapytała Ewa, gdy usiadły przy filiżankach z kawą. – Nadrabia zaległości?

– Tak, powoli wszystko zalicza.

– A zostanie w tej szkole na kolejny rok?

– Rozmawiałam z nią o tym i raczej chce się przenieść.

– To dobrze. Po co się ma męczyć, jeżeli jej tam nie odpowiada. Są inne dobre szkoły – powiedziała Ewa Dobrosz, mieszając uważnie kawę, choć piła, jak zwykle, niesłodzoną.

Tamara zdziwiła się. Powiedziała prawdę, ale była pewna, że matka skrytykuje tę decyzję. Od początku uważała, że taka elitarna klasa to najlepszy wybór, a sprawy dotyczące edukacji zawsze były dla niej niezwykle ważne. A tu taka niespodzianka! Trzymając się jednak sprawdzonej zasady, przyjęła opinię matki bez komentarza.

– A jak wasza podopieczna? Lepiej się czuje? – zapytała lekarka, wpatrując się w napój, jakby czegoś tam szukała.

Córka spojrzała na nią uważnie. W głosie matki nie wyczuła ironii. Skąd ta nagła zmiana? – zastanawiała się. – Co się za tym kryje?

– Jakoś sobie radzi – odpowiedziała ostrożnie, nie wdając się w szczegóły.

– A co mówił lekarz?

– Że ma się oszczędzać. Chociaż na pierwszy rzut oka to wygląda, że jest w całkiem dobrej formie...

– Pacjenci czasami przeceniają swoje siły. Jedynie wyniki badań dają miarodajny i obiektywny obraz stanu pacjenta.

No, odezwała się w niej typowa pani doktor – zauważyła Tamara z ulgą, że znalazła powód zainteresowania zdrowiem babci Róży.

– Właśnie wiem. I dlatego znalazłam jej kobietę do pomocy. Bo przecież... – zawahała się przez sekundę, czy użyć tego określenia – babcia Róża jest samotna. A u niej trzeba palić w piecu, pracować w gospodarstwie. I do sklepów daleko.

– Tak – potwierdziła Ewa Dobrosz. – Starość to trudny czas. – Nadal wpatrywała się w filiżankę, unikając wzroku córki. – A już samotność jest z pewnością jeszcze bardziej dokuczliwa.

Powiedziała to inaczej niż zwykle, bez wyrzutów czy pretensji. Tamara miała wrażenie, że słyszy w głosie matki raczej smutek i rozżalenie. Zrobiło jej się żal matki. Spojrzała na nią spod oka i po raz pierwszy w życiu ujrzała nie pewną siebie, surową lekarzkę, ale starszą, zmęczoną życiem kobietę.

– Mamo... – nie wiedziała, co powiedzieć. Przyszło jej do głowy, że miałyby ochotę ją przytulić, ale zabrakło jej odwagi. Nigdy tego nie robiły, no może gdy była małym dzieckiem. Później już nie było między nimi takiej fizycznej bliskości, przynajmniej ona tego nie pamiętała.

– Cóż, córko. – Ewa Dobrosz wzruszyła ramionami. – Ja już wiem, jak to jest. Dawniej tylko to widziałam, teraz sama czuję. Taka to już kolej rzeczy. Dobrze, że przynajmniej mam ciebie i Marysię, nie jestem całkiem sama, choćby w święta. Bo ludzie nie powinni być samotni w taki czas...

– Nie powinni – zgodziła się Tamara. Ta nowa, bardziej ludzka twarz matki poruszyła ją. Nie sądziła, nie wyobrażała sobie, że może jej dokuczać samotność. Zawsze uważała, że matka nie zwraca uwagi na takie rzeczy, że lubi swoje doskonale ułożone i zorganizowane życie, że nie potrzebuje nikogo, a już na pewno nie tak po prostu, do bycia razem.

A może udałoby się jednak przekonać ją do babci Róży? – pomyślała. – Gdyby się polubiły, mogłybyśmy razem jeździć do Borowej, a matka miałaby jakieś towarzystwo.

– Wiesz, mamó – zaczęła niepewnie. – Tak mi przyszło teraz do głowy, no, kiedy mówiłaś o tej samotności i świętach... – przełknęła głośno ślinę i dokończyła: – ...pomyślałam, że może zaprosiłybyśmy babcię Różę do nas na śniadanie wielkanocne w niedzielę?

Ewa Dobrosz niespodziewanie wyprostowała się. Wizja wspólnych świąt, siedzenia przy jednym stole z Różą Marcisz spowodowała przyływ panicznego wręcz lęku. Chciała za wszelką cenę stłumić strach. Zebrała wszystkie siły, żeby poradzić sobie z tym uczuciem, odesłać je gdzieś na dno świadomości i tam zatrzymać, nie pozwalając, żeby córka je dostrzegła. Udało się.

Spojrzała na Tamarę wzrokiem tak lodowatym, jakiego kobieta nie widziała chyba nigdy.

– Skąd przyszło ci do głowy – mówiła powoli, cedząc słowa przez zaciśnięte usta. – Że chciałabym robić z rodzinnego spotkania spotkanie dla samotnych?

– Mówiłaś, że... – Tamara była zupełnie zdezorientowana kolejną gwałtowną zmianą zachowania matki.

– Mówiłam, że święta spędza się z rodziną. A moja rodzina to ty i Marysia, a nie jakaś obca kobieta. Czy to jest takie trudne do zrozumienia? – Wargi Ewy Dobrosz aż pobieleły od zaciskania, a mięśnie twarzy ściągnęły się, tworząc nieruchomą maskę.

– Naprawdę to byłby taki problem? Czy nie możemy choć raz zachować się inaczej niż zawsze, żeby zrobić dla kogoś coś dobrego?

– Taka jesteś dobra? Ciekawe, że tylko dla obcych. A może ty też, inaczej niż zawsze, zainteresowałabyś się tym, co jest dobre dla twojej matki?

Tamara nie wytrzymała. Nie wiedziała, czy to dlatego, że przez chwilę matka zachowywała się jak człowiek i dała córce maleńką iskierkę nadziei na bliskość, a zaraz potem w brutalny sposób ją zgasiła, czy też to był ten moment, gdy po latach milczenia nie da się dłużej tłumić uczuć. W każdym razie słowa matki tym razem zabolowały bardziej niż zwykle, tak mocno, że musiała coś zrobić, żeby ten ból nie rozsądził jej od środka.

– Na dobroć trzeba sobie zasłużyć! Ty, taka zawsze mądra, i o tym nie wiesz? Co dajesz, to dostajesz – proste! A babcia Róża, może, jak to mówisz, jest obca, ale przynajmniej ma ludzkie uczucia. I potrafi słuchać. I rozumie. A ty? No, a ty?! Babcia Róża jest mi od ciebie bliższa, bo rodzina to nie wpis w metryce. Rodzina to ten, kto jest z tobą w trudnych chwilach i kocha cię nawet wtedy, gdy nie jesteś idealna. To jest rodzina, słyszysz?!

Ewa Dobrosz poczuła klucie w klatce piersiowej. To samo, które doskwierało jej regularnie od kilku tygodni. Tym razem jednak silniejsze, jakby ktoś raz za razem wbijał jej szpikulec między żebra.

Czy to się dzieje naprawdę? – myślała. – Własna córka mówi mi takie rzeczy?

Przyłożyła rękę do piersi. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Tamara zauważyła gest matki.

– Tak, możesz mnie jeszcze tak szantażować. Proszę bardzo! Jakby nie wystarczyło, że ciągle słyszę, jak to ciężko pracowałaś, jak się dla mnie poświęciłaś, a ja nie spełniam oczekiwań. Ale proszę, powiedz, że cię wpędzam do grobu, że zaraz przeze mnie umrzesz. No!

Lekarka zamknęła oczy. Czowała się tak, jakby walił się jej cały, przez lata budowany, świat. I na dodatek nic nie mogła zrobić. Była bezsilna. Po raz pierwszy w życiu straciła kontrolę nad biegiem wydarzeń, a co gorsza, nie miała siły, żeby spróbować ją odzyskać.

– Wychodzę – usłyszała głos córki. – Zanim powiem jeszcze więcej. Muszę się uspokoić. Swoją listę zabieram. Do widzenia... mamó.

Ewa Dobrosz została sama. Tym razem jednak nie był to jej wybór.



Wszystkie zamówienia zostały dostarczone, klienci ugłaskani i myślący już tylko o przedświątecznych zakupach. Telefony milczały, co było miłą i przynoszącą ulgę odmianą po ciągłym brzęczeniu różnorodnych melodyjek, które rozbrzmiewały w biurze w ostatnim czasie.

Wszyscy siedzieli przy monitorach, markując pracę, ale tak naprawdę czekali, kiedy szef zdecyduje, że już czas na firmowe „jajeczko”. Po którym nareszcie będzie można iść do domu.

– Tak mi obrzydły te pisanki i bazie, że nie mam w domu ani jednej świątecznej dekoracji – westchnęła Marzena. – Już mógłby nas puścić do domu, przecież i tak dzisiaj nikt nie zadzwoni. Wszyscy placki pieką.

Tamara przytaknęła. Też miała dość. Dopóki terminy goniły, nie mieli czasu myśleć o zmęczeniu, ale dziś, kiedy zapanował spokój, zaczęła odczuwać skutki wysiłku ostatnich tygodni. Nie mogła zebrać myśli, nawet na pasjansie trudno było się skoncentrować.

Wreszcie usłyszały od strony sekretariatu sztucznie radosny głos Marka:

– Zapraszam wszystkich! Czas zacząć święta!

Z pokoi błyskawicznie zaczęli wychodzić pracownicy. Najwyraźniej nie tylko one z niecierpliwością czekały na upragniony sygnał.

Zebrali się po jednej stronie pomieszczenia, po drugiej stanął szef z Andżelą u boku. Sekretarka dostosowała chyba strój do okazji, bo miała na sobie żółtą sukienkę i czerwone szpilki, w tym samym odcieniu, co pomadka na ustach.

Sexy kurczak z czerwonym dzióbkiem – skomentował szeptem jeden z handlowców, a stojące obok niego osoby, w tym także Tamara, parsknęły tłumionym śmiechem.

– Proszę o ciszę, będę przemawiał. – Marek rzucił tradycyjny żart. I chociaż wszyscy słyszeli go przy każdej podobnej okazji, to wypadało się zaśmiać. Wiadomo, tego oczekiwał szef.

– Jestem z was dumny. Daliście radę. Nasza agencja po raz kolejny udowodniła, że jest silną siłą zespołu – ludzi, którzy są fachowcami i potrafią dobrze pracować.

– Ble, ble, ble – szepnęła Marzena wprost w ucho Tamary.

– Co prawda nie podsumowałem jeszcze wyników, więc na razie konkretów nie będzie, ale mogę obiecać, że jakieś premie się posypią. Dokładne sumy podam po świętach – kontynuował Marek.

Ta wypowiedź spotkała się z zupełnie szczerym pomrukiem zadowolenia, który sprawił, że na twarzy szefa zagościł dumny uśmiech. Lubił, gdy ludzie byli mu wdzięczni, więc i teraz wprawiło go to w dobry nastrój.

– Żeby nie przedłużać, powiem tak: dziś Wielki Piątek, więc imprezy robić nie wypada. Poprzestaniemy na życzeniach i jajeczku. Zanim jednak będziemy się całować – tu zrobił przerwę na śmiech z żartu i oczywiście pracownicy sprostali jego oczekiwaniom – dodam tylko, że kto skończy, może iść do domu.

Sięgnął po tacę z pokrojonymi w ćwiartki jajkami, którą z gracją i wyczuciem telewizyjnej hostessy podawała mu Andżela. W połowie gestu jednak zatrzymał się i ponownie zwrócił się do pracowników:

– Całkiem zapomniałem o jeszcze jednym.

– Prawdziwy mistrz budowania napięcia. – Marzena znowu nie mogła się powstrzymać od komentarza, a Tamara musiała bardzo się postarać, żeby nie zachichotać.

– Otóż pomyślałem, że nie mogłem wam dać wolnego przed świętami, bo sami wiecie, jak jest. Słyszałem, że są firmy, w których dają takie „plackowe”. Uznałem to za miły zwyczaj, ale w związku ze specyfiką firmy przesunąłem „plackowe” na wtorek. Widzimy się więc dopiero w środę. Pełni sił i energii do dalszej pracy.

Trzeba przyznać, że tym razem naprawdę zaskoczył pracowników. Radość była autentyczna i nieskrywana.

– Co mu się stało? – zdziwiła się Tamara. – Wszystkim dał wolne? Chory czy co?

– No co ty! Po prostu zabiera Sexy Doll w góry. – Ewelina z księgowości wyjaśniła nieoczekiwaną dobroć szefa. – Słyszałam przypadkiem, jak Andżela mówiła szefowi, że wszystko już zarezerwowała.

Tajemnicza dobroć Marka została więc wyjaśniona. Tamarze było w sumie wszystko jedno. Cieszyła się z wolnego i od razu postanowiła, że spędzą ten dzień u babci Róży. Marysia też nie miała zajęć, więc po prostu zanocują w poniedziałek w Borowej.

– Bardzo się spieszysz? – zapytała Marzena, układając drobiazgi na biurku.

– Nie tak bardzo. Myślałam, że dłużej nas przetrzyma. A co? Masz jakąś propozycję? – Tamara była już myślami w domu, miała jeszcze po drodze zrobić ostatnie sprawunki, ale wyczuła w głosie koleżanki coś takiego, co sprawiło, że nie mogła odpowiedzieć inaczej.

– Może poszłybyśmy do parku?

– Przedświąteczny spacer dla relaksu? Może być.

Widziała, że Marzena ucieszyła się z jej zgody.

Park miejski miały tuż przy siedzibie firmy. Wybrały podejście ulicą Kapitulną i przejście obok Katedry, przez dziedziniec Pałacu Biskupów. Nawet wczesną wiosną odnowione elewacje i zadbane klomby sprawiały, że zabytek robił wrażenie.

– Pięknie tu – stwierdziła Marzena. – Blisko centrum, a jednak tak cicho. Jakby czas się zatrzymał przed wiekami. Wszystko takie samo, na zewnątrz i w środku.

– A wiesz, matka opowiadała mi ciekawą historię związaną z pałacem – przypomniała sobie Tamara. – Podobno mieliśmy tu, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, takiego włodarza miasta, który kazał zamalować wszystkie freski z portretami biskupów.

– Co ty opowiadasz? To chyba żart! Zamalować takie dzieła sztuki? – Marzena, z wykształcenia plastyczka, żywo zareagowała na tę rewelację. – No ale nie zamalował w końcu?

– No nie zamalował. A właściwie nie on, tylko mądrzejsi podwładni. Bo widzisz, tu była po wojnie siedziba Wojewódzkiej Rady Narodowej i rezydowała nowa władza. To jak można było robić zebrania w sali, gdzie na ścianach były portrety dostojników kościelnych? Marketingowo niedopuszczalne – puściła oczko do koleżanki. – No to najłatwiej zamalować, prawda? Na szczęście ci, co mieli to wykonać, najpierw zasłonili portrety ściankami z dykty, a dopiero potem użyli farby. Nikt się nie zorientował i freski przetrwały kolejne zawirowania dziejowe.

– Nic o tym nie wiedziałam. Ciekawa historia – oceniła Marzena. – A myślałam, że dopiero współcześnie przychodzą politykom do głowy dziwne pomysły.

Zeszły w dół ulicą Zamkową, minęły urokliwy Pałacyk Tomasza Zielińskiego i niedawno odrestaurowany „Dom Praczek”. Na parkowych alejkach nie było prawie nikogo. Kilka osób spacerowało z psami, na jednej z ławek przysiadły dwie kobiety z wózkami.

– Naprawdę wszyscy już zajęci przygotowaniem do świąt – zauważyła Marzena. – Ty też pewnie masz mnóstwo do roboty, a ja cię ciągam po parku.

– Daj spokój, przyda mi się chwila oddechu. Ostatnio miałam niezłą gonitwę, przecież wiesz. A ty nie pieczesz i nie gotujesz?

– Piekę i gotuję. W tym roku to już zupełnie sama, bo mama prawie nie wstaje.

Tamara wiedziała o kłopotach zdrowotnych rodziców Marzeny. Wiekowi państwo Boreccy mieli coraz mniej sił i wymagali z każdym mijającym dniem więcej opieki. Marzena nigdy się nie skarżyła i zawsze mówiła o nich ciepło i z miłością, ale Tamara mogła się domyślać, że nie jest jej łatwo. Cóż – pomyślała.

– Każdy ma coś, co go gniece. Marzena i tak dobrze sobie radzi. Może to dzięki temu, że jest taką

optymistką?

Zdecydowały się usiąść na ławeczce pod drzewem, niedaleko wieżyczki zwanej „Plotkarką”. Obserwowały przez chwilę sikorki buszujące w pobliskich krzewach i dystygowane spacery kawek na trawnikach.

– Jakoś mnie te święta w tym roku nie cieszą – przerwała milczenie Marzena.

– Masz jakiś kłopot? – zapytała Tamara, czując, że koleżanka chce jej o czymś powiedzieć, tylko nie wie, jak to zrobić. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Pomóc to raczej nie – uśmiechnęła się kobieta, ale nie był to jej zwykły, radosny uśmiech. – Może raczej doradzić. Bo widzisz, martwię się o mamę. Mówiłam ci, jest coraz słabsza. Boje się, że... – przerwała, bo łzy napłynęły jej do oczu. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła papierosy. – Zapalisz?

– Chętnie – odparła Tamara.

– No właśnie – kontynuowała Marzena, zaciągając się mentolowym dymem. – I mama zawsze mówiła, że chciałaby doczekać mojego ślubu i wnuków. No, że chciałaby, zanim umrze, wiedzieć, że nie zostanę sama. – Zamilkła na chwilę i pociągnęła nosem. – A ostatnio już o tym nie mówi, ale ja wiem, że myśli. I nie chciałabym... żeby, wiesz... no chciałabym, żeby odeszła w spokoju...

– No i co? Zamierzasz wyjść za mąż za pierwszego lepszego i rodzić dziecko? Żeby mama była spokojna?

– No właśnie nie wiem... – Marzena otarła nos dłonią i popatrzyła pytająco na koleżankę.

Tamara podała jej chusteczkę.

– Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to uważam to za idiotyczny pomysł. Nie wiem, co ci doradzić, ale na pewno nie to, żebyś wiązała się z byle kim. I nie sądzę, żeby twoja mama tego chciała. Może właśnie dlatego już o tym nie wspomina? Może sama doszła do wniosku, że lepiej jeżeli będziesz żyła tak, jak chcesz, niż gdybyś miała być nieszczęśliwa z jakimś dupkiem, którego na dodatek nie będziesz kochała.

– No to co ja mam robić?

– Czy ja wiem? Może po prostu porozmawiaj z mamą. Przecież zawsze miałyście dobry kontakt, prawda?

– Tylko co ja mam jej powiedzieć? – Marzena wysmarkała nos. – Że nie ma na razie co liczyć na wnuki?

– Powiedz jej to samo, co mnie. No, powiedz, co czujesz. – Tamara objęła koleżankę ramieniem. – Wiesz, babcia Róża doradziła mi kiedyś, że trzeba się kierować sercem. I staram się tak robić. O dziwo, niezłe wychodzi. Nawet lepiej niż wtedy, gdy za wszelką cenę starałam się być rozsądna. No a już na pewno jest weselej – chciała jakoś poprawić nastrój Marzenie.

– Może i masz rację. Zobaczą, może się odważę. – Marzena zdeptała czubkiem buta niedopałek i przytuliła Tamarę. – Dzięki, że ze mną pogadałaś.

– Wiosna idzie, bo dziewczyny się kochają! – krzyknął z daleka przejeżdżający rowerzysta w wełnianej czapce nasuniętej na czoło tak głęboko, że można było mieć wątpliwości, czy w ogóle coś widzi. – Wesołych Świąt!

– Wesołych Świąt! – odkrzyknęły ze śmiechem, chociaż pomknął tak szybko, że nie były pewne, czy je usłyszał.



Uznała, że popołudniowy spacer będzie doskonałym odpoczynkiem po świątecznym maratonie jedzenia. Prawdę mówiąc, gdy zobaczyła, jak wygląda stół u babci Róży, w pierwszej chwili naprawdę się



zdeenerwowała.

– Babciu, miałaś się nie męczyć! Po co to wszystko? Przecież mówiłam, że przywiozę.

– Już ty mnie, dziecko, nie strofuj – upomniała ją spokojnie babcia. – Przywiozłaś, to dobrze, też się zje. A to wszystko to zasługa pani Zofii. I z radością ustąpiłam jej miejsca przy kuchni. Wcale nie dlatego, że coś mi dolega. – Zapewniła, widząc czujne spojrzenie Tamary. – Tylko dlatego, że ona doskonale gotuje. Niechętnie, ale muszę przyznać, że chyba lepiej ode mnie.

– To niemożliwe! – roześmiała się Marysia.

– Spróbujesz, to mi przyznasz rację – uśmiechnęła się babcia.

Biesiadowały pół dnia. Śmiały się i żartowały. Tak właśnie powinny wyglądać święta – pomyślała Tamara. – Zupełnie inaczej niż wczoraj.

Niechętnie wspominała niedzielę spędzoną u matki. Atmosfera między nimi była napięta. Chociaż oczywiście dzwoniła do matki i przygotowały wszystko według planu. Żadna z nich nie powróciła do ostatniej rozmowy, ale słowa, które wtedy padły, ciągle jakby wisały w powietrzu, czyniąc je gęstym i trudnym do zniesienia. Wymieniały informacje oficjalnym tonem, obie starając się nie powiedzieć nic, co mogłoby doprowadzić do kolejnego spięcia. Po powrocie do domu Tamara poczuła, że bolą ją wszystkie mięśnie, jakby cały dzień ciężko pracowała. Od całodziennego napięcia dostała migreny i nie miała ochoty nawet na wieczorną lekturę. Tak, święta z matką były w tym roku jeszcze trudniejsze niż zazwyczaj. Nie cieszyło to Tamary, ale co mogła poradzić? Od dawna jakoś nie potrafiły się dogadać i nic nie wskazywało na to, że mogłoby się to zmienić. Kochała matkę, ale równocześnie nie znała osoby, przy której czułaby się bardziej zdeenerwowana i rozdrażniona.

A w Borowej było zupełnie inaczej. Swobodniej, naturalniej, weselej. I nawet ten irytujący Łukasz pojawił się tylko rano. Niby doglądać gospodarstwa, ale Tamara wiedziała, o co naprawdę chodzi. Bez wahania przyjął wielką siatkę pełną jedzenia.

– Bierz, Łukasz, należy ci się. Tyle mi pomagasz – powiedziała babcia, kiedy wrócił z kurnika. – Może byś jednak został z nami?

– Dziękuję, pani Rózo, ale dzisiaj nie mogę. Nie będzie pani sama, goście przecież przyjechali. – Tamara wiedziała, że specjalnie użył słowa „goście”, żeby zaznaczyć, że są obce.

– Łukasz na pewno będzie biegał z wiadrem po wsi. Tak chyba robią wiejskie chłopaki?

Skoro on może mnie obrażać, to nie zamierzam pozostać dłużna – pomyślała. I dodała ze złośliwym uśmiechem:

– Aż dziw, że jeszcze się powstrzymuje i jesteście suche.

– Pani Rózo, proszę opowiedzieć gościowi o wiejskich zwyczajach. – Nawet nie spojrzał na Tamarę. – Niech usłyszy, że starszych się tutaj szanuje, a wodą polewa się tylko młode i lubiane dziewczyny. Każdy wiejski chłopak to wie.

– Sam wytłumacz, czorcie jeden! – Babcia Róża żartobliwie uderzyła go w ramię utrzymaną w ręku ściereczką. – Chociaż w święta byś się nie zachowywał jak dzikus.

– Do widzenia, pani Rózo – nie skomentował słów staruszki. Zabrał siatkę i tyle go widziały.

I dobrze – myślała Tamara, schodząc nad zalew. – Przynajmniej było swobodnie i bez złośliwych komentarzy. Tego miałam już aż nadto wczoraj.

– Pani Tamaro! – usłyszała. Rozejrzała się, żeby zobaczyć, kto ją woła.

Na pagórku, tuż przy brzegu, stał leśniczy Szymon i machał do niej. Podeszła.

– Dzień dobry! A pan nawet w świąteczny dzień pracuje?

– Nie. Dzisiaj prywatnie, żeby kondycja nie siadła.

– Jakoś inaczej pan wygląda w cywilu – stwierdziła, patrząc na ciemne sztruksy i sportową kurtkę.

– Lepiej czy gorzej?

– Na pewno mniej groźnie – roześmiała się.

– To jak nie jestem taki straszny, to może da się pani namówić na wspólny spacer dookoła – wskazał na zalew. – Poszukamy kaczek, bo się gdzieś pochowwały.

– Chętnie, ale mam dwie prośby.

– Proszę mówić, zobaczymy, co się da zrobić.

– Po pierwsze: nie będziemy tych kaczek szukać w wodzie, bo chyba za zimno jeszcze na kąpiele...

– Załatwione. – Leśniczy się uśmiechnął i Tamara zauważyła, że robią mu się takie sympatyczne zmarszczki w kącikach oczu. – A po drugie?

– Będziemy mówić sobie po imieniu.

– A to już z wielką przyjemnością.

I poszli szukać tych kaczek. Co prawda ich brak można było stwierdzić, nie ruszając się z miejsca, bo akwen nie był wcale duży, ale musiała przyznać, że miło się z leśnikiem rozmawiało. Już poprzednio, kiedy pokazywał jej Barczę, zauważyła, że ma dużą wiedzę i lubi swój zawód. Tyle że wtedy był bardziej oficjalny, a teraz w zabawny sposób opowiadał o różnych przyrodniczych ciekawostkach.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytał w pewnej chwili. – Mówię jakieś głupoty?

– Skądże! – zaprzeczyła. – Nie śmieję się, tylko uśmiecham. No, cieszę się po prostu. Nie spodziewałam się takiego miłego spaceru.

– No to kamień z serca! Bo już się bałam, że w towarzystwie takiej pięknej dziewczyny zupełnie ogłupiałem. Bo wiesz, ja po lesie raczej sam chodzę. Co najwyżej dzik się trafi.

Tamara poczuła, jak bardzo brakowało jej męskiego towarzystwa. Tak prywatnie, bo służbowo spotykała przecież mężczyzn każdego dnia. Ale byli to po prostu współpracownicy, szef, klienci. Łączyły ich wyłącznie sprawy zawodowe, nie rozmawiali prywatnie. A taki spacer i kilka komplementów to zupełnie coś innego. Poczła się ładniejsza, bardziej kobieca. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że to tylko niezobowiązujące żarty, ale mimo to była zadowolona. Jakby oprócz miłego, świątecznego dnia dostała od losu dodatkowy bonus, małą nagrodę za ostatni trudny czas.

– Podejdz tutaj – głos Szymona przerwał jej rozmyślenia. – No, bliżej, bliżej. Nie bój się.

Zawahała się, bo stał nad samym brzegiem i to na niewielkiej piaszczystej skarpie. Jeden nieuważny krok i wpadnie do wody.

– Daj rękę, pomogę ci – zachęcał Szymon.

Podala mu dłoń i ostrożnie zrobiła dwa kroki w jego kierunku.

– A teraz się pochyl – komenderował Szymon. – No, niżej jeszcze. Pokażę ci, gdzie bobry mają norę.

Pochyliła się zaciekawiona i w tym samym momencie Szymon nabrał wody w dłoń i...

– Śmigus-dyngus! – krzyknął i roześmiał się rozbawiony.

– Bardzo śmieszne! – Udała oburzenie, ale bez przekonania. Tak dla porządku. I zaraz potem odwzajemniła uśmiech.

– Naprawdę uwierzyłaś, że tu są bobry? Chciałbym, ale niestety – zaśmiewał się leśnik. – Na razie mam tylko zmokłą kurę.

– O, co ja widzę! – Na mostku, nie wiadomo skąd, pojawił się mężczyzna. – Jak to niektórzy szybko potrafią zmienić zdanie. Kilka godzin temu nie podobały się wiejskie zwyczaje, a teraz proszę, sama radość!

– A ty co? – rozłościła się kobieta. – Śledzisz mnie?

– Nie pochlebiaj sobie. – Wzruszył ramionami, wsadził ręce do kieszeni i ruszył w stronę lasu.

Że też ten człowiek musi mi wszystko popsuć! – zdenerwowała się Tamara. – Wyskakuje jak diabeł z pudełka, wszędzie go pełno, a już szczególnie, gdy nie jest do niczego potrzebny.

– Nie przejmuj się nim – powiedział Szymon, widząc jej zdenerwowanie. – Już taki jest. Dla

wszystkich.

– I zawsze taki był?

– Bo ja wiem? Nie znam go dobrze. On mieszkał z rodzicami w mieście, tutaj miał dziadków i rzadko bywał. Dopiero z pięć lat temu nagle się pojawił i zamieszkał w chałupie po Michalikach, dziadkach znaczy. Z początku to pił na umór, wszyscy mówili, że na bank się zapije. Aż raz go pani Róża przy drodze w zaspie znalazła. Już prawie nie żył. Kazała go do siebie zanieść i chodziła koło niego jak koło syna. Ludzie się nawet dziwili, tłumaczyli jej, że szkoda zdrowia na takiego pijaka, bo on zaraz to samo będzie robił. No, ale wiesz, jaka jest pani Róża. – Wciągnął Tamarę na twardy grunt i poprawił jej kołnierz od kurtki. – No i wylizał się z tego. Trochę racji ludzie mieli, bo pić nie przestał, ale już nie tak szalał jak z początku. I tak żyje – z dnia na dzień, z pani Róży pomocą. Szkoda chłopca, ale sam wybrał, nikt na to nic nie poradzi.

– Masz rację, jak wybrał, tak ma – potwierdziła Tamara. – Znam takich, co podobnie wybrali. I nic dobrego z tego nie wyszło.

Dobry nastrój gdzieś zniknął, ale Szymon nie dawał za wygraną. Namówił ją jeszcze na przejście lasem do głównej drogi, pokazując przy okazji, tym razem istniejące naprawdę, ptasie dziuple. To trochę pomogło.

– Dziękuję ci za towarzystwo – powiedziała zupełnie szczerze, kiedy zegnali się przed białym domkiem.

– Mam nadzieję, że nie zanudziłem cię na śmierć. Miałbym wyrzuty sumienia.

– Było naprawdę miło.

– W takim razie liczę, że kiedyś zgodzisz się na powtórkę. – Szymon popatrzył Tamarze prosto w oczy.

– Jeśli nadarzy się okazja. – Poczula się trochę nieswojo, bo spojrzenie Szymona było jakieś takie... taksujące. – Jeszcze raz dziękuję i do widzenia.

Sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Najlepiej nic – zdecydowała. – Ważne, że spaliłam nadmiar kalorii. Po prostu spacer dla zdrowia w towarzystwie znajomego.

– Babciu, może napijemy się herbaty z sokiem malinowym? – zapytała, wchodząc do kuchni.

– Dzisiaj to raczej mięty na dobre trawienie – uśmiechnęła się staruszka. Odłożyła szydełko i chciała wstać, ale Tamara powstrzymała ją gestem.

– Ja zaparzę. Tylko jednak herbatę, bo za miętą to akurat nie przepadam.



Marysia wyszła godzinę po matce. Wcześniej posiedziała jeszcze z babcią, bo bardzo chciała samodzielnie zrobić sobie chustkę albo szalik na szydełku. Widziała w internecie, że takie rzeczy stają się bardzo modne i pomyślała, że fajnie byłoby, gdyby udało jej się zrobić coś samodzielnie. Co prawda nie bardzo wierzyła, że da radę, ale babcia była dobrej myśli.

– Może nie od razu wielki szal, ale taki bardziej szaliczek – doradziła.

Wspólnie wyciągnęły babcine kłębki i po namyśle wybrały ciemnoczerwoną włóczkę.

– Troszkę oszukamy – powiedziała babcia. – Grubsza włóczka, grubsze szydełko, więc szybciej się robi. Pokażę ci, jak robić słupki, to wyjdzie taki jakby ażurek. A na koniec, osobno, zrobisz kilka kwiatuszków i przyszyjemy w różnych miejscach. Tak żeby płatki odstawały.

– Takie 3D, to znaczy jakby trójwymiarowe będzie – ucieszyła się Marysia i z zapalem słuchała instrukcji.

Po godzinie poczuła się trochę znużona monotonnym wbijaniem szydełka.

– Chyba muszę sobie zrobić przerwę – powiedziała. – Pójdę za mamą, może ją spotkam. Nie widziałas, babciu, w którą stronę poszła?

– Mówiła coś o zalewie, więc pewnie tam.

Marysia знаła już drogę. Przez wieś przeszła szybko, bo nie lubiła iść wśród rzędów domów po obu stronach drogi. Miała wrażenie, jakby z każdego okna ktoś ją obserwował. W mieście jakoś nie przeszkadzało jej chodzenie wśród budynków, nie zwracała na to uwagi, a tutaj było inaczej. Sama nie wiedziała dlaczego.

Nie miała zamiaru specjalnie szukać matki. Zresztą skąd mogła wiedzieć, gdzie poszła. Mogła być wszędzie. Jeżeli się spotkają, to dobrze, a jeśli nie, to pochodzi sama.

Okazało się, że nie musi wcale szukać. Zobaczyła ją z daleka, jak stoi z jakimś mężczyzną. On trzymał rękę na jej ramieniu, a drugą pokazywał w kierunku czubków drzew. Już z daleka usłyszała, że matka się śmieje. Ona i taki śmiech? Na cały głos?

A to historia! – pomyślała rozbawiona. – Ciekawe, kto ją tak potrafi wyluzować?

Podeszła bliżej i rozpoznała leśniczego, który odwiedzał je w lutym, kiedy były u babci Róży.

No i dobrze – oceniła. – Niech się zrelaksuje. Nie będę przeszkadzać.

Dokładnie pamiętała, jak jeszcze niedawno zareagowała na spotkania matki z mężczyzną. Robiła wszystko, żeby zepsuć jej każde wyjście. Nie, żeby miała coś przeciwko temu, że matka kogoś ma, po prostu wtedy była wściekła na nią. I chyba na cały świat. Wiedziała, że tamten mężczyzna to już przeszłość, że ten związek się zakończył, ale nigdy nie zapytała, z jakiego powodu. Głupio tak pytać własną matkę o sprawy sercowe – tłumaczyła sobie, ale i tak wiedziała, że boi się odpowiedzi. Miała nadzieję, że to nie z jej powodu, chociaż czuła, że trochę się do tego przyczyniła. Dlatego teraz nie chciała niczego zepsuć.

Niezauważona, wycofała się i poszła tą samą drogą, którą wybrała podczas poprzedniego spaceru. Wspomnienie dworku w lesie ciągle było świeże, a ciekawość dziewczyny nie zmaląła. Nawet przeciwnie – kilka razy przed zaśnięciem fantazjowała na temat jego historii i mieszkającej w nim staruszki. Fajnie byłoby poznać prawdę – myślała.

Mówiła też o swoim odkryciu Kamilowi i jego też zaintrygowało siedlisko wśród drzew. Planowali nawet, że wybiorą się tam razem, ale skoro nadarzyła się okazja, to Marysia postanowiła, że z niej skorzysta. Podejdzie bliżej i zrobi kilka zdjęć.

Tym razem była ostrożniejsza. Uważała, żeby nie wejść na polanę i nie znaleźć się w zasięgu wzroku staruszki z czarną laską. Obeszła otwarty teren dookoła i po drodze znalazła w kilku miejscach resztki dawnego ogrodzenia – muru z kamieni. Niewiele tego zostało, ale widać było, że kiedyś rzeczywiście mieszkał tutaj ktoś dość bogaty, skoro było go stać na tak solidną zaporę broniącą dostępu do jego domostwa.

No i wtedy pewnie las był za murem – domyśliła się Marysia. Teraz przyroda wygrała z człowiekiem – całkiem wysokie sosny, bujne jałowce i młode dęby przekroczyły wyznaczoną im sztucznie granicę i coraz śmieiej panoszyły się na terenie posiadłości, z każdym rokiem coraz bardziej zbliżając się do dworku.

Marysia podeszła najbliżej jak się dało, kryjąc się wśród pni i gałęzi. Czuła się jak bohaterka filmu szpiegowskiego. Serce biło szybciej, nawet nie zauważyła, że ostre gałązki jałowca kilkakrotnie zostawiły ślad na jej rękach.

Przystanąła za najbardziej wysuniętą sosną i z ciekawością oglądała najbliższe otoczenie dworku. Przed wejściem kiedyś był chyba okrągły klomb, bo widać było sporej wielkości kamienie ułożone w okrąg. Może to taki podjazd, jakie czasami można zobaczyć w filmach o arystokracji? – zastanawiała się nastolatka.

Z boku budynku, od strony, gdzie się ukryła, stała studnia. Cembrowina była w dobrym stanie i z daleka widziała nawet sznur na wałku z korbą, ale bała się podejść bliżej, żeby zobaczyć, czy jest w niej woda. Po drugiej stronie zauważyła jakieś zabudowania, a właściwie ich ruiny – resztki ceglanych ścian, bez dachów, zarośnięte uschniętymi łodygami zeszłorocznych traw. Wcześniej ich nie widziała, bo z daleka całkiem skrywał je już las. Wyglądało na to, że jedyną pozostałością całej posiadłości, która zachowała się we względnie dobrym stanie, był właśnie sam dworek.

Tutaj też przydałby się remont – oceniła Marysia, widząc połatany byle jak dach, ogromne połacie odpadającego ze ścian tynku i szerniałe drewniane kolumny przed wejściem. – I to szybko, bo to wszystko się lada chwila zawali. Ciekawe, czy w środku jest tak samo, czy trochę lepiej?

Tego jednak nie mogła sprawdzić. Musiało jej wystarczyć to, co zobaczyła zza pnia. Poza tym bała się stać tam zbyt długo, bo nie miała pojęcia, czy można ją dostrzec z okien domostwa. W końcu nadal nie była pewna, czy słowa staruszki o psach były prawdą, czy tylko próbą zniechęcenia jej do kolejnych wizyt.

Wyciągnęła telefon z kieszeni kurtki i szybko pstryknęła kilka fotek. Dworek, ruiny (na zbliżeniu, więc pewnie wyjdą niewyraźnie) i studnia. Na koniec niby-klomb z kamieni.

Wystarczy – stwierdziła i powoli zaczęła wycofywać się w głąb lasu.

– Aż tutaj cię przyniosło? – Prawie wpadła na stojącego za nią Łukasza. Szła tyłem, więc nie widziała go.

Położyła palec na ustach, sugerując, żeby zachował milczenie. Zdziwiony ściągnął brwi, ale nic nie powiedział. Posłusznie poszedł za Marysią aż do ścieżki.

– Włamywałaś się czy co? – zapytał wreszcie. – A może bawisz się z zającami w podchody?

Teraz zdziwiła się dziewczyna.

– To ty nie wiesz, kto tutaj mieszka?

– Kto, twoim zdaniem? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Stara zwariowana kobieta, która szczuje wszystkich psami. Sama ją widziałam.

– Ktoś cię poszczuł psami?

– No nie... w sumie nie. Nawet ich nie widziałam. Ale straszyla, że to zrobi.

Łukasz przyjrzał się uważnie Marysi.

– Masz chyba zbyt bujną wyobraźnię. I zbyt emocjonalnie reagujesz, zupełnie jak twoja matka. Lepiej wracaj do domu i skoro nie chcą cię tu widzieć, to nie przychodź i już. To chyba proste, prawda? – Odwrócił się od nastolatki i ruszył przed siebie.

– No to może mi powiesz, kto tu tak naprawdę mieszka? – krzyknęła za nim.

– Jakby chciała, żebyś wiedziała, to by się przedstawiła – odpowiedział, nawet się nie odwracając.

Marysia była rozczarowana. Liczyła na to, że właśnie od Łukasza dowie się czegoś konkretnego. Ale skoro tak – pomyślała ze złością – to odkryję to sama, bez niczyjej pomocy. Rozwikłam tę tajemnicę, o!

Wróciła do domu już mocno utwierdzona w swoim zamiarze. Oczywiście nie powiedziała o tym nikomu. Usiadła z matką i babcią, które oglądały w pokoju jakiś film i zajęła się swoją szydełkową chusteczką.



– Czy mamusia będzie może w domu w długi weekend, czy też będzie chodzić na służbę?

Zofia właśnie podawała zięciowi talerz z zupą, gdy z jego ust padło pytanie. Szczególnie podkreślił dwa słowa: „mamusia” i „służba”.

– Jeszcze nic mi nie mówili. Ale jak jestem wam potrzebna, to się dogadam. – Zofia nie chciała denerwować Jarka. Widziała, że wrócił w złym humorze, nawet nie zdjął butów, a już wyjął z lodówki piwo i wypił je duszkiem, na stojąco. W oczekiwaniu na podgrzanie obiadu opróżnił drugą butelkę, a minę miał coraz bardziej ponurą. Kobiety wiedziały, że nie wróży to nic dobrego. Wiedziały o tym i dzieci, które widząc zachowanie ojca, szybko zniknęły mu z oczu i siedziały cicho w swoich pokojach na piętrze.

– Chyba coś mu w firmie nie poszło – zaszepotała do ucha Zofii córka, gdy mijaly się w przedpokoju. – Niech mama postara się nie palnąć czegoś głupiego.

Zofia się starała, najlepiej jak umiała. Czyli nie mówiła nic. Teraz jednak nie miała wyjścia, bo zięć zwrócił się bezpośrednio do niej i nie mogła przecież nie odpowiedzieć.

– Niech ja się zastanowię? Do czego też mamusia może nam być potrzebna? Bo do tej pory, to raczej pożytku z mamusi nie ma. W ogóle słyszę, że ciągle mamusi nie ma, bo po chałupach lata. Pewnie, tak najwygodniej. W domu tylko zjeść i tyle...

Już wiedziała, że odpowiedziała źle, że palnęła tę głupotę, przed którą ostrzegala Kasia. Mieszała więc w milczeniu sos i miała nadzieję, że Jarek zaraz się uspokoii.

Zięć zjadł zupę i z głośnym szurnięciem odsunął talerz.

– Ja się prosił o pomoc nie będę, bo chyba nie muszę. Haruję na to wszystko, to chyba mi się należy jakaś wdzięczność. I wypoczynek – pociągnął łyk piwa z trzeciej butelki. – Zabieram Kasię na długi weekend w góry, do Zakopanego. Sami pojedziemy, bo z tymi dziećmiakami to prędzej bym zwariował niż odpoczął. No i wychodzi na to, że mamusia musi się nimi zająć. Skoro mamusia może obcym usługiwać, to z własnymi wnukami chyba problemu nie będzie – stwierdził. – Kiedy to jedzenie dostanę?

– Już daję – pospieszyła z odpowiedzią Zofia. Nic więcej nie dodała, bo wiedziała, że jeżeli zięć coś postanowił, to tak musiało być. I nie mówił tego wszystkiego, żeby ją pytać o zdanie, ale aby poinformować o swojej decyzji.

Patrzyła, jak Jarek pochłania ziemniaki z sosem i mięso. Cieszyła się, że mu smakuje.

Oczywiście, że zostanie z dziećmi – myślała i nawet cieszyła się, że będzie z nimi sama przez trzy dni. Kochała wnuki bardzo i opieka nad nimi nie była dla niej problemem. – To bardzo dobrze, że Kasia z Jarkiem trochę odpoczną. I to gdzie! W samym Zakopanem! – Nigdy tam nie była, ale wiedziała, że to drogie miejsce. – To chyba w tej jego firmie nie jest tak bardzo źle, jak funduje Kasi takie wczasy. Tylko on by chciał jeszcze lepiej i dlatego się denerwuje. Co za szczęście, że się mojej córki taki troskliwy i odpowiedzialny mąż trafił! A że humory ma? Jak każdy chłop.

Kiedy Jarek po skończonym obiedzie poszedł do salonu i włączył kanał sportowy, do kuchni wślizgnęła się Kasia.

– Przeszło mu trochę? – zapytała szeptem.

– A bo ja to wiem – wzruszyła ramionami Zofia. – Ale chyba tak, bo zjadł wszystko.

– Niech ma teraz spokój. – Nalała sobie coli i usiadła przy stole. – Mama, mam nadzieję, dzisiaj już nigdzie nie idzie?

– Miałam Marcie, tej od Kazika, miarę wziąć na spodnie...

– Nawet niech się mama nie wygłupia i dzisiaj w domu siedzi! Bo Jarek się strasznie wkurza o to chodzenie do Marciszowej. No, że mama robi u innych zamiast w domu. I że wszystko na mnie spada, a potem jak on wraca, to ja siły nie mam.

– Ale przecież ja i tutaj coś zawsze ogarnę. I gotuję też. – Zofia odwróciła się od zlewozmywaka i odłożyła na kuchenkę ostatni umyty garnek. – A u pani Róży za darmo nie pomagam, oddałam ci przecież dwieście złotych na koniec marca, a teraz dwa razy tyle dam, jak mi jutro ta pani Tamara zapłaci.

– No i o to też się denerwuje. – Kasia popatrzyła na dno pustej szklaneczki. – Niech mi mama poda colę

– wskazała na butelkę stojącą na szafce. – Bo mówi, że w Kielcach to za taką pracę płacą ze trzy razy tyle. I że mama powinna się o swoje upomnieć. I jak już tak bardzo chce na służbę iść, to chociaż żeby coś z tego było, a nie za darmo robić i dom zaniedbywać.

– Tu nie Kielce. – Zofia wytarła ręce i zdjęła fartuch. – A to przynajmniej stałe zajęcie, nie ma co narzekać. I więcej z tego niż z szycia. A przecież każdy grosz się przyda.

– Może i tak – przytaknęła Kasia. – Ale ja mówię tylko, co Jarek powiedział. I ja się z nim kłócić nie zamierzam, więc niech go mama nie denerwuje. A do Marty to mama jutro pójdzie, jak Jarek w robocie będzie – zdecydowała i poszła do męża.

Zofia przysiadła na swoim ulubionym taborecie. Trochę się wstydziła, że oszukała własną córkę. Chyba pierwszy raz w życiu. No ale nie mogła inaczej.

Kiedy pani Tamara zapytała ją, ile chciałaby zarabiać, powiedziała, że dwieście złotych. Długo się zastanawiała nad tą kwotą. Kiedy pomagała miejscowym, to dawali zwykle dziesięć złotych, czasami, jak cały dzień schodził, na przykład w ogrodzie, to zdarzało się dwadzieścia. Ale rzadko. No to pomyślała, że jak to bardziej stałe zajęcie, to nie może przesadzać, ale z drugiej strony to też wiedziała, że w mieście są większe stawki, więc może spróbować troszkę dodać. No i wyszło jej te dwieście. A pani Tamara na to:

– Pani Zofio, ale to tylko trzy razy w tygodniu po dwie, trzy godziny...

Więc Zofia szybko powiedziała:

– To sto pięćdziesiąt.

– Dobrze – zgodziła się kobieta.

A potem się okazało, że to ma być za tydzień, a nie za miesiąc, jak Zofia myślała. Chciała to wytłumaczyć przy pierwszej zapłacie, ale pani Tamara nawet nie chciała słuchać.

– Pani Zofio, pani sądziła, że ja chcę, żeby pani za darmo tu pracowała? Za kogo mnie pani ma?! Nie chcę nawet słyszeć takich rzeczy.

I w ten sposób Zofia poczuła się bogata jak nigdy. Miała drugą rentę! W pierwszej chwili nie mogła w to uwierzyć. Chciała od razu pochwalić się Kasi, ale w drodze do domu doszła do wniosku, że się nie przyzna, ile naprawdę zarabia. Zdecydowała, że będzie odkładać i może uda się Nikolce kupić rowerek, który widziała w sklepie w Jagodnie, albo ładny wózek dla lalek, Krzysiuowi taką grę na komputer, co je lubi, a Pawełkowi samochód na baterie, który pokazywał w takiej gazecie z hipermarketu. Jakby jeszcze jakieś szycia były, a mogło się zdarzyć, bo przed komuniami to zawsze ma dużo poprawek w sukienkach, to może dałoby się zdążyć na Dzień Dziecka.

Zofia cieszyła się ze swojego planu, wyobrażała sobie radość wnuków. Miała trochę wyrzutów sumienia, ale Kasia na pewno nie będzie się gniewać, jak się dowie, że to dla dzieci. Nie była pewna, czy Jarek nie będzie się gniewał, ale może jakoś się uda... A Nikolka będzie ślicznie wyglądać na różowym rowerku lub przy pięknym wózku dla lalek.



– Zaliczyłam!!

Zobaczyła go już z daleka. Czekał, jak zawsze punktualny. Też ją dostrzegł i pomachał. Chciała podejść spokojnie, bez emocji, poczekać na pytanie, może nawet potrzymać go w niepewności. Ale nie dała rady. Puściła się biegiem, ile sił w nogach. I krzyczała jak wariatka:

– Zaliczyłam! Zaliczyłam!!

Dobiegła do chłopaka i z rozpędu rzuciła mu się na szyję, piszcząc przy tym na cały głos. On wytrzymał

napór rozpedzonej dziewczyny, chwycił ją w pasie i okręcił dookoła.

– Gratuluję – powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Wtedy Marysia zdała sobie sprawę, że te oczy są bardzo blisko jej twarzy. I że ma ręce na ramionach Kamila, a jego dłonie czuła na swoich plecach. Odskoczyła jak oparzona. Dwa kroki w tył – odległość bezpieczna, poza zasięgiem rąk. Tak lepiej, serce zaczyna zwalniać.

Jak ja się zachowuję? – pomyślała w panice. – Jak jakaś wariatka! Co on sobie pomyśli?

Kamil nie okazał zdziwienia jej zachowaniem, nie skomentował go, w ogóle nic na ten temat nie powiedział. Po prostu zapytał, jakby nic się nie stało:

– To co ci tam jeszcze zostało?

– Ostatni dział z chemii.

– Czyli prawie koniec?

– Tak. Ale jakby nie ty, to dzisiaj matematyki na pewno bym nie zaliczyła. Mówię ci, tak mnie przemaglowała, że szok! W pewnej chwili to już nie wiedziałam, czy dobrze mówię, czy źle. No i przypomniałam sobie, jak mówiłeś, że do polskiego potrzebne są emocje, a do matematyki trzeba spokoju, bo w niej wszystko jest logiczne. – Plotła, co jej ślina na język przyniosła, żeby jak najszybciej zapomnieć o tym, co przed chwilą zrobiła. – Wzięłam głęboki oddech, uspokoiłam się, i wyobraziłam sobie, że znalazłam błąd. Poprawiłam i to mnie uratowało.

Kamil słuchał z lekkim uśmiechem.

– Co się tak cieszysz? – zapytała ostro, żeby ukryć, że nadal jest jej głupio.

– Bo tak sobie myślę, że teraz też powinnaś wziąć głęboki oddech...

– Nabijasz się ze mnie!

– Skąd! Po prostu boję się, że zemdlejesz z braku powietrza. Strzelasz słowami jak z karabinu i to na jednym wdechu. – Kamil nie starał się już zachować powagi.

– Wiesz co?! Miałam cię zaprosić na pizzę, żeby ci podziękować, ale jesteś taki okropny, że chyba się obrazę!

– No to cóż, wtedy ja ciebie będę musiał zaprosić – odpowiedział Kamil. – Dziewczyny to jednak są sprytne – dodał. – Zawsze wiedzą, jak się ustawić. Cóż – wzruszył ramionami, udając obrażonego. – Niech będzie – ja stawiam. To co? Idziemy świętować?

Marysia parsknęła śmiechem. Nie potrafiła się na niego gniewać.

– To może za chwilę? – zaproponowała. – Takie fajne słońce, posiedziałybym tutaj trochę. Przez tę szkołę to nawet nie zauważyłam, że już wiosna. A dzisiaj mogę trochę poleniuchować, nie?

– Jasne, należy ci się.

Przeszli do końca ulicy Solnej i przystanęli przy źródelku Biruty.

– Może tutaj? – zaproponował chłopak.

– OK.

Usiedli na murku okalającym rzeźbę wieńczącą kamienną obudowę źródelka. Marysia zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca.

– Jak fajnie! – westchnęła.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Marysia uchyliła powieki i zobaczyła, że Kamil wstał z murku i przykucnął przy źródelku. Dołączyła do niego.

– Co robisz?

– Patrzę – wskazał ręką na pieniądze zalegające na dnie. – I zastanawiam się, dlaczego ludzie muszą robić takie rzeczy. Przecież to prawdziwe źródelko. Gdyby go nie brudzili, można by spokojnie napić się tej wody, a tak...

– To nie wiesz dlaczego? – zdziwiła się Marysia. – Przecież to taki zwyczaj, przesąd. Jak wrzucisz



pieniązek, to tutaj wrócisz. No to wrzucają. Widocznie im się tu podobało, było miło i chcieliby przyjść jeszcze raz.

Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła pięć groszy.

– Może my też wrzucimy?

– A chciałabyś, żebyśmy tu wrócili? – zapytał Kamil i popatrzył jej w oczy.

Chciała odwrócić wzrok, ale jakoś nie mogła. Chętnie zamknęłaby oczy, ale wydało jej się to głupie. Powiedziała więc tylko:

– Chciałabym.

Poczuła, że Kamil zacisnął rękę na dłoni, w której trzymała pieniążek. Zesztywniała.

– I myślisz, że to zależy od jakiejś monety? – usłyszała pytanie, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Do głowy, zupełnie nieproszone, przyszło wspomnienie Oskara, jego rąk, dotyku... Czuła, że za chwilę zemdleje albo ucieknie.

Na szczęście Kamil puścił jej rękę i wstał. Wrócił na murek.

Udawała, że przygląda się nadal monetom leżącym w wodzie. Potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie. Wreszcie poczuła, że chyba da radę wstać, że nie będą jej się trzęsły kolana. Powoli podniosła się i podeszła do chłopaka. Ten popatrzył na nią uważnie, jakby na coś czekał, ale nic nie powiedział.

– To co? Idziemy na tę pizzę? – zapytała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy. No nie, prawdę mówiąc przyszło. I nawet zdecydowała się to powiedzieć. Co prawda dopiero wtedy, gdy odwróciła się, żeby wziąć torbę i na dodatek bardzo cicho:

– Myślę, że to zależy od nas.

Ale Kamil chyba usłyszał, bo kiedy z powrotem odwróciła się w jego stronę – uśmiechał się.

– Co się tak cieszysz? – zapytała drugi raz w ciągu godziny.

– Bo w końcu sam nie wiem, kto stawia i z jakiej okazji...

– Ty! Bo jesteś naprawdę okropny! – roześmiała się Marysia.

– Naprawdę? No ale jako nauczyciel, to się chyba sprawdzam? – Kamil wyszczerzył zęby w rozbijającym uśmiechu. Marysia nie mogła odmówić mu racji.



– Tym razem to mi nie odmówisz! – Marzena dopadła Tamarę w pokoju socjalnym. – Przed chwilą miałam telefon. Dzisiaj imprezka.

– Jaka imprezka?

– Właściwie babska, ale nie wyklucza się ewentualnych pierwiastków męskich. Oczywiście jeśli trafią się jacyś warci uwagi. Wiesz, my, piękne kobiety, jesteśmy wybredne – zrobiła śmieszny „dzióbek”.

– Marzenko, sama nie wiem...

– Ale ja wiem. Od jutra długi weekend, trzeba to uczcić. No co tak patrzysz? Każda okazja dobra. Czy ja cię muszę szantażować? – pogroziła jej żartobliwie palcem.

– A jak ty mnie niby możesz szantażować, kolezanko?

– No choćby tak, że ja zawsze jestem dla ciebie miła i wspierająca, a ty jesteś wstrętną niewdzięcznicą. I chyba poproszę, żeby cię szef posadził z Chudym z handlowego. Będiesz cały dzień słuchała o samochodach.

– Tego mi nie zrobisz! – udała wystraszoną Tamara. – Dobra, a kto będzie?

– Ja, ty... i jeszcze dwie moje znajome. Bardzo fajne babeczki, na pewno się polubicie.

– A gdzie ta imprezka?

– W „Zamkowej” – powiedziała Marzena i widząc minę Tamary, dodała szybko: – Nie nadymaj się, tam jest naprawdę w porządku. Zresztą jak będzie coś nie tak, to zawsze możemy zmienić lokal.

Tamara wzięła kubek z kawą i skierowała się do pokoju. Marzena poszła za nią, podskakując jak mała, podekscytowana dziewczynka.

– To o dwudziestej, dobrze?

– Sama nie wiem. Jutro rano jadę do Jagodna... No i Marysia...

– O, już nie przesadzaj! Nie musisz jechać skoro świt. A Marysia nie ma nic przeciwko temu, żebyś poszła.

– A skąd to niby wiesz?

– Od niej. Nie patrz tak! Wzięłam twój telefon i do niej zadzwoniłam. Życzy ci dobrej zabawy.

– Przecież zobaczę się z nią w domu...

– No właśnie chyba nie – powiedziała Marzena z miną niewiniątka. – Prosiła, żeby ci przekazać, że poszła na pizzę z jakimś kolegą, Krystianem czy Kamilem, nie pamiętam. No to jej powiedziałam, żeby poszła jeszcze do kina i że jej oddasz pieniądze za bilety. Ucieszyła się.

– Jesteś niemożliwa! I jeszcze będzie mnie to kosztowało kasę za kino. Oddasz mi w drinkach, małpo!

Marzena usiadła na biurku Tamary, machając nogami.

– Zobacz, jakie fajne buty wczoraj kupiłam. W letniej promocyjnej przedsprzedaży... – Poczekala aż koleżanka wychyli się, żeby zobaczyć nowy nabytek i jakby od niechcienia dodała: – A, Marysia jeszcze mówiła, że coś tam zaliczyła. Chyba matematykę?

Po tych słowach natychmiast zeskoczyła z blatu i schroniła się za swoim monitorem. Wiedziała, co robi. Teczka z dokumentami wylądowała w miejscu, gdzie przed chwilą siedziała.

– I nic mi nie mówisz! Przecież to wiadomość dnia! Dzielną Marysia! No, to idziemy do „Zamkowej”. Teraz to naprawdę mam co świętować!



Czuła się trochę niepewnie. Od dawna nie była w żadnym klubie i nie wiedziała, czy wygląda odpowiednio.

Już sam mój wiek jest nieodpowiedni – pomyślała. – Pewnie będą same młode dziewczyny, dla których staniemy się doskonałym materiałem do żartów. Dlaczego ja się na to zgodziłam? Ta Marzena tak mi zamieszała w głowie...

Spędziła chyba z godzinę przed lustrem. Miała kilka pomysłów dotyczących stroju, ale odrzucała po kolei każdy z nich. Patrzyła na swoje odbicie i wciąż nie była zadowolona.

Co tu kryć, nie mam dwudziestu lat – myślała rozdrażniona. – Choćbym nie wiem co zrobiła, nie będę miała – odrzuciła ze złością kolejną sukienkę. – Zresztą, co ja wyprawiam! W końcu idę pobawić się z koleżankami, prawda? Nikogo tam nie znam i nie zamierzam poznawać, więc wszystko jedno, jak będę wyglądała.

Nie chciała, żeby ktoś powiedział, że jest ubrana zbyt wyzywająco, więc zrezygnowała z krótkiej spódnicy i bluzek z większym dekoltem. Ale z drugiej strony nie chciała też wyglądać jak uboga krewna. Doprawdy, nie wiedziała już, co zrobić. Usiadła na kanapie zrezygnowana. Może napisać do Marzeny, że jednak nie przyjdzie? Dobra myśl! Obejrzy jakiś film, odpocznie, a jutro wyspana pojedzie do Borowej. Sięgnęła po telefon. W tym samym momencie zabrzączał sygnał SMS-a: *Zbieraj się. Żadnych wymówek. Zakładaj cokolwiek, w czym się dobrze czujesz i bawimy się do upadłego!* Tamara nie mogła powstrzymać uśmiechu. Skąd wiedziała? – pomyślała.

Zgodnie z sugestią Marzeny, wybrała wersję uniwersalną – czarne skinny i bokserkę w tym samym kolorze. Do tego wisiołek i kolczyki z cyrkoniami, żeby ożywić całość. I jeszcze bransoletka z zawieszka w kształcie serduszka, którą dostała od Marysi w ubiegłym roku. A dla kontrastu – wiśniowe szpilki i torebka. Popatrzyła w lustro. Było całkiem nieźle.

Zresztą lepiej nie będzie – pomyślała. – Mam nadzieję, że po kilku drinkach nikt nie będzie już na mnie zwracał uwagi. O ile wcześniej w ogóle ktoś zwróci, staruszko! – wystawiła samej sobie język.

A teraz stała kilkanaście metrów od „Zamkowej” i miała nadzieję, że Marzena z koleżankami się nie spóźnią. Trochę głupio się czuła, kiedy przechodzący i przejeżdżający mężczyźni taksowali ją wzrokiem.

– Witaj, kochana! – usłyszała wreszcie głos koleżanki. – Poznajcie się. To Tamara, a to Paulina i Magda – dokonała prezentacji. – No to co, laski? Ruszamy na podbój nocnych Kielc? – Poprawiła ognistorude, krótkie włosy, które tym razem postawiła z pomocą żelu tak, że sterczały we wszystkie strony. – Bo mi fryzura opada – roześmiała się.

Weszły do środka. Nie było jeszcze tłumu, ale na parkiecie tańczyło już kilkanaście osób.

– Cieszcie się, że mam tu znajomości, bo o rezerwację niełatwo, a bez niej nie miałybyśmy szans na miejsca siedzące wcześniej niż po północy, a i to nie na pewno... – Marzena ruchem głowy wskazała na salę. Rzeczywiście, na większości stolików stały kartki z napisem „rezerwacja”.

– A w jakiej knajpie ty nie masz znajomości? – szturchnęła ją w bok Magda.

Usiadły przy stoliku pod ścianą. Przez chwilę rozmawiały, ale głośna muzyka nie ułatwiała komunikacji. Z drugiej strony Tamara zauważyła, że DJ puszcza nie tylko najnowsze kawałki, których zresztą nie znała zbyt dobrze, ale przeplata je starymi dobrymi przebojami, także polskimi.

Paulina poszła do baru i przyniosła drinki. A kiedy w głośnikach zabrzmiał Maanam, wspólnie zdecydowały, że pora ruszyć na parkiet.

Tamara sądziła, że za chwilę wróci do stolika, ale po pierwszym tańcu nabrała ochoty na kolejne. To niesamowite, jak dawno nie tańczyłam! – uświadomiła sobie. – I jak bardzo mi tego brakowało. Obserwowała tańczących obok i zauważyła, że wcale nie są mistrzami parkietu. A kobiety nie miały dwudziestu lat, ale z pewnością więcej. To wszystko dodało jej odwagi. Naprawdę dobrze się bawie – stwierdziła ze zdziwieniem, ale nie zastanawiała się nad tym zbyt długo. Po prostu poddała się atmosferze zabawy i radości.

Marzena nie kłamała. Jej koleżanki były naprawdę fajnymi babeczkami. Szczególnie z Pauliną znalazła wspólny język. Miały podobne poczucie humoru i takie same poglądy na wiele spraw, w tym męską część ludzkości. Przekonały się o tym podczas wyjść na papierosa.

Kolejne drinki znikwały ze szklaneczek, DJ doskonale się sprawdzał. Tamara zaliczyła nawet taniec z nieznanym, ale potem szybko go spławiła, bo wyglądał na zbyt pijanego. Poza tym nie był w jej typie. Magdą zainteresował się za to dość przystojny mężczyzna, a że ona akurat leczyła złamane serce, więc bawiła się z nim z przyjemnością.

– No i co? – krzyknęła do Tamary Marzena, kiedy ze śmiechem opadły na krzeselka po zejściu z kolejnej rundy na parkiecie. – Chyba nie jest tak źle?

– Jest bardzo dobrze! – odkrzyknęła Tamara.

Nie kłamała. Naprawdę czuła się doskonale. Do dobrej zabawy wcale nie potrzeba męskiego towarzystwa – stwierdziła. – A może nawet jest ono zupełnie zbędne. Od dziś imprezy tylko w babskim gronie!

W tym momencie spojrzała na parkiet, gdzie przy dźwiękach wolnego kawałka kołysały się pary. Przez chwilę poczuła jakąś trudną do sprecyzowania tęsknotę. A może to był lekki zawrót głowy?

Czyżbym była pijana? – pomyślała. – Koniec z drinkami na dziś. Jutro mam przecież jechać. I tak nie ruszymy przed obiadem, ale jak jeszcze więcej wypiję, to nie dojedziemy do kolacji.

Wróciła do domu po drugiej. Zmęczona, spocona, ale szczęśliwa.

– Mama? – usłyszała zza drzwi pokoju córki jej zaspany głos.

– Tak, to ja. Śpij!

– Mamo, zaliczyłam matematykę...

– Wiem, kochanie. Bardzo się cieszę.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Cichutko przeszła do salonu. Zobaczyła, że Marysia rozłożyła jej pościel. Jutro jej podziękuję – obiecała sobie.

Zdjęła ubranie, ale nie chciała obudzić córki dźwiękami z łazienki, więc po prostu wsunęła się pod kołdrę. Niech więc będzie Dzień Brudasa – pomyślała i zachichotała w poduszkę. Nie ma co, jednak jestem wstawiona – pomyślała i zasnęła.



Coś ją ciągnęło w to miejsce. Pewnie, mogłaby wcale nie iść, ale z drugiej strony: dlaczego niby nie? Przecież chodzenie po lesie nie jest zabronione. A dopóki nie będzie poza granicą dawnego muru – nikt nie ma prawa jej przeganiać.

Marysia pewnym krokiem szła leśną drogą. Przemyślała sobie wszystko i stwierdziła, że nie ma zamiaru dać się zastraszyć. Nikomu nie przeszkadza, nie robi nic złego, po prostu spaceruje. I tyle.

Nikt mi nie może tego zabronić – powtarzała w myślach, ale im bliżej była dworku, tym bardziej traciła pewność siebie. Zwłaszcza że ciągle nie wiedziała, co myśleć o tych psach. Na wszelki wypadek wysłała do Kamila SMS-a: *Idę do dworku*. Odpowiedź przyszła natychmiast: *Uważaj na siebie i daj znać, jak wrócisz. Masz godzinę. Potem dzwonię*.

Pewność siebie znowu wzrosła. Teraz przynajmniej ktoś wie, gdzie jest, więc jakby co... Jakby co? Jakby zagryzły ją bestie o wielkich kłach? Albo stara wiedźma zamknęła w klatce, żeby utuczyć i zjeść?

Sama nie wiedziała, dlaczego uparła się na to miejsce. W sumie miała jeszcze wiele do obejrzenia. Cały las. Jednak nie przyciągał jej tak, jak właśnie ta polana.

– Wymyśliłaś sobie, że ten dworek kryje jakąś tajemnicę – powiedział Kamil, kiedy zastanawiała się po raz kolejny nad swoim odkryciem. – A mnie się wydaje, że to zwyczajny zrujnowany dom, w którym mieszka starsza pani. Może trochę dziwna, ale nic poza tym.

– Ale sam zobacz – podtykała mu telefon pod nos. – Czy nie jest jakiś taki dziwny? Nie czujesz tej atmosfery? Jak z jakiegoś horroru...

– Owszem, ciekawy, ale żeby zaraz horror – wruszył ramionami. – Naczytałaś się za dużo książek o wampirach. Radzę zmienić lekturę.

– Nie bądź taki mądry – prychnęła zezłoszczona.

Po namyśle nawet gotowa była przyznać chłopakowi rację, ale gdy tylko przyjechała do białego domku, zaraz poczuła, że musi iść na spacer. I to nie byle gdzie, ale właśnie TAM.

A co ja mam innego tutaj do roboty? – tłumaczyła sobie. – Z babcią zdążę się nagadać, na szydełku porobię wieczorem. I poczytam, i się pouczę, i wszystko. A, i okolicę też jeszcze obejrzę. Kiedyś.

Podeszła w to samo miejsce, z którego ostatnio obserwowała obejście. Minął prawie miesiąc. Gałęzie się zazieleniły i liście prawie zupełnie zasłoniły ruiny budynków gospodarczych. I na okrągłym klombie też pojawiło się coś zielonego, ale Marysia nie wiedziała co to, bo nie znała się na roślinach. W otoczeniu zieleni dworek wyglądał ładniej niż wcześniej, ale stracił wiele ze swojej tajemniczości.

To słońce też psuje efekt – stwierdziła lekko rozczarowana. – Zrobiło się tu całkiem przyjaźnie i miło. I tych psów, zdaje się, jednak też nie ma.

Jakby na zawołanie usłyszała dziwny pisk. A potem coś jakby szczekanie. Tylko nie takie normalne, ale jakby powielone echem. Drgnęła i lekko wystraszona obejrzała się za siebie. Pusto. Już miała odetchnąć z ulgą, gdy pisk się powtórzył. Taki przeraźliwy, jakby wyła potępiona dusza.

Może lepiej stąd zmykać? – pomyślała, coraz bardziej wystraszona.

Pisk zabrzmiał po raz trzeci, ale jakoś słabiej, bardziej prosząco. Jego źródło znajdowało się wyraźnie bliżej dworku, gdzieś w okolicy studni. Tyle że niczego tam nie było. Podejść czy uciekać – zastanawiała się Marysia. – Przecież duchy, nawet gdyby istniały, a wiadomo, że nie istnieją, nie straszyłyby w taki słoneczny dzień – starała się logicznie analizować sytuację. I głęboko oddychała.

Czwarty pisk był tak żalospny, że nie mogła się powstrzymać. Cokolwiek to jest, potrzebuje pomocy – zdecydowała. I nie przejmując się, czy ktoś ją zobaczy, ruszyła w stronę studni. Podeszła do cembrowiny, kiedy znowu usłyszała ten dźwięk. Ze środka, to pewne. Zajrzeć? Raz kozie śmierć! Zajrzała i... serce jej zamarło. Ale nie ze strachu. Z żalu.

Po lustrze wody pływało wiadro. A w wiadrze, próbujący się wydostać, czarno-brązowy szczeniak. To jego rozpaczliwe piszczenie odbijające się echem w kamiennej studni tak przestraszyło dziewczynę.

Jeżeli mu się uda wyjść z wiadra, to się przecież utopi! Trzeba go ratować!

Chwyciła korbę i ze wszystkich sił próbowała nią poruszyć. Nie miała wprawy, ale łańcuch powoli zaczął nawijać się na drewniany walec.

– Tylko nie wychodź! – mówiła do pieska, mając nadzieję, że ją usłyszy i zrozumie. – Siedź grzecznie, zaraz cię wyciągnę! – dyszała. Wiadro było coraz wyżej. Jeszcze dwa, trzy ruchy i będzie mogła je złapać. – Wytrzymaj, piesku!

Wreszcie wiadro pokazało się nad cembrowiną. Marysia ostrożnie pochyliła się, żeby je złapać, jednocześnie nie puszczając korby. Nie wiedziała, jak ją zablokować i bała się, żeby łańcuch nie zaczął się sam rozkręcać. Jedna próba nieudana, ostrożnie, żeby nie wpaść do środka, drugi raz – piesku, spokojnie! – trzeci... jest! Trzymała kurczowo uchwyt wiadra i przeniosła je, wraz z żywą zawartością, na trawę obok studni.

– Dobry piesek, dzielny... – przemawiała do szczeniaka czule. Wzięła zwierzątko na ręce i przytuliła. – Piękny jesteś, miutki... Jak ty się tam znalazłeś? Mało brakowało, a byłoby po tobie. No, ale już jesteś bezpieczny...

Piesek patrzył na nią ufnie czarnymi oczkami, jakby rozumiał, co mówi. I już nie piszczał.

– Chyba mówiłam, żeby tu nie przychodziła!

Staruszka tym razem była w jasnobezowym płaszczyku i kapeluszu z szerokim rondem. Tylko laskę miała tę samą.

Marysia tym razem się nie bała. Małe psie ciało dodawało jej odwagi. Wyciągnęła przed siebie ręce i pokazała szczeniaka staruszce.

– Wyciągnęłam go ze studni. Bardzo piszczał. Pomyślałam, że to może od tych pani psów.

– Jakich moich psów? Co opowiada za bzdury? – staruszka przyłożyła pomarszczoną dłoń do policzka i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– No tych, co pani o nich mówiła, jak byłam pierwszy raz. Pomyślałam, że im się... – nie mogła znaleźć słowa – urodził. I może jakoś się wymknął i przypadkiem wpadł do środka. Na szczęście do wiadra, to się nie utopił. Chciałam oddać, ale nie zdążyłam zapukać, bo pani już przysła.

– To myślała, że taki mały na tę wysoką cembrowinę wlaź? Dobre sobie! – Kobieta popatrzyła na Marysię, ściągając brwi. – Przecież jego utopić chcieli.

– Jak to?

– Tak to właśnie. Przychodzą i w wiadrze spuszcza ją na dół. Albo z głodu zdechnie, albo się utopi. To taka duża i nie wie, jacy ludzie są?

– Ja taka nie jestem. – Popatrzyła na pieska i znowu na staruszkę. Miała łzy w oczach. To, co usłyszała, wstrząsnęło nią. – Jak można chcieć zabić takie maleństwo? Niech pani patrzy, jaki bezbronny. I ufny. Zasnął sobie słodko.

Staruszka podeszła bliżej i Marysia poczuła nieznaną zapach – kwiatowy, lekko słodki, może nieco zbyt słodki, ale bardzo przyjemny. Nie miała jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo kobieta podniosła do góry czarną laskę.

Marysia zrobiła dwa szybkie kroki w tył, potknęła się przy tym o jakąś gałąź i ledwie zdołała utrzymać równowagę.

– Niech się nie boi. Niech pokaże to coś – zakomenderowała staruszka.

Popatrzyła na pieska, a potem na Marysię.

– Słaby jest. Bóg jeden wie, ile on w tym wiadrze siedział. Zmarzył i nie jadł. Może on wcale nie śpi, tylko już po nim?

Dziewczyna z lękiem dotknęła delikatnej różowej poduszeczki pod łapką. Poruszył się, co za ulga!

– Żyje – oznajmiła z radością i jedną ręką zaczęła niezdarnie odplątywać szalik, który miała pod szyją. Staruszka przyglądała się jej poczynaniom. Dopiero kiedy Marysia owinęła szczeniaka, zapytała:

– Nie szkoda jej tego?

– Nie szkoda – odpowiedziała stanowczo Marysia. Chociaż może powinno, bo przecież to jej pierwsza szydełkowa robótka. Namęczyła się nad szaliczkiem, ale z pomocą babci udało się uzyskać niezły efekt. Nawet kilka dziewczyn w szkole nie potrafiło się powstrzymać i pytało, gdzie kupiła. Była z niego dumna, ale w takiej sytuacji nie zastanawiała się nawet przez chwilę.

– Niech idzie za mną – nakazała staruszka i nie oglądając się nawet, żeby sprawdzić, czy dziewczyna jej posłuchała, drobnym, ale żwawym krokiem skierowała się w stronę dworku.

Stare, ciężkie drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem i Marysia, w ślad za swoją przewodniczką, przekroczyła próg.

W dużej sieni, pozbawionej okien, panowała ciemność. Staruszka zapaliła światło, ale słabe żarówki i zakurzone kłosze kinkietów dawały tak niewiele światła, że ściany pomieszczenia nadal tonęły w mroku. Dziewczyna dostrzegła jedynie zarysy kształtów tego, co zostało tu złożone – kilka beczek, jakieś nieznane z nazwy naczynia, stary rower.

Po obu stronach sieni znajdowały się drzwi do kolejnych pomieszczeń, ale wszystkie były zamknięte. Gospodyni podeszła do jednych z nich i nacisnęła klamkę. Światło dzienne rozjaśniło kawałek sieni, ukazując oczom Marysi pomalowane kiedyś na zielono, a teraz mocno przybrudzone ściany, na których wisiały obrazy przedstawiające sceny z polowań.

– Idzie czy nie idzie? – zapytała staruszka, odwracając głowę. – Bo zimno leci.

Dziewczyna pospiesznie dołączyła do kobiety. Weszły do przestronnego pokoju i Marysia miała wrażenie jakby znalazła się w zupełnie innej rzeczywistości. Tutaj ściany były białe, czyste, a okno ozdabiały wzorzyste firany i ciężkie bordowe zasłony upięte za pomocą grubych ozdobnych sznurów zakończonych chwostami. Pod ścianą stał czarny, bogato rzeźbiony kredens, obok wykonana w tym samym stylu ogromna szafa. Był też stół z rzeźbionymi nogami, krzesła tapicerowane tym samym materiałem, z którego uszyto kotary i kilka mniejszych stylowych stolików pod ścianami i w kątach pomieszczenia. Dziewczyna zwróciła uwagę na piec zbudowany z pięknych kafli w kolorze zgniłej zieleni i ogromne lustro, którego ramę ozdabiał misterny kwiatowy motyw. Całości dopełniały haftowane serwety, porcelanowe bibeloty, czarno-białe zdjęcia w srebrnych ramkach i portrety na ścianach, a pomieszczenie wypełniał ten sam zapach, który czuła wcześniej od staruszki.

– O, widzę, że mamy gościa – usłyszała głos i rozejrzała się, żeby sprawdzić, skąd dochodzi. Dopiero teraz dostrzegła, że po lewej stronie pokoju, między szafą a stolikiem, stoi wózek inwalidzki. Siedziała na nim kobieta, tak drobna i chuda, o tak bladej skórze, że wydawało się, jakby w jej żyłach nie krążyła ani jedna kropla krwi. Ubrana była w zbyt obszerny sweter z błękitnej wełny, a nogi miała okryte kocem w róże, na którym położyła szczupłe dłonie. – Kogo nam, Zuzanno, przyprowadziłaś?

Głos miała zaskakująco czysty i dźwięczny. Gdyby nie to, co widziała przed sobą, Marysia byłaby pewna, że należy do zdecydowanie młodszej osoby. No i wydawała się dużo miłsza od tej, która ją tu sprowadziła.

– Dzień dobry pani. – Marysia zupełnie mimowolnie dygnęła. Tak, jak wtedy, gdy była dzieckiem. Nauczyła ją tego babcia Ewa i teraz instynktownie wykonała ten ruch. – Znalazłam pieska w studni i z nim chyba nie jest dobrze. A ta pani – spojrzała na stojącą obok niej kobietę – była taka miła, że zgodziła się pomóc.

– Ja się na nic nie zgadzałam. Niech bzdur nie mówi – zaprotestowała staruszka, uderzając o podłogę swoją laską.

– Nie przejmuj się Zuzanną, ona zawsze udaje gorszą niż jest. Podejdź tutaj i pokaż to biedactwo. Marysia podeszła.

– Zuzanno, ten nieborak naprawdę potrzebuje pomocy. Zajmiesz się nim, duszko?

– A czy ja nie mam nic lepszego do roboty? – zagderała Zuzanna. – Zresztą i tak tu psa trzymać nie będziemy. Niech go zabiera – zwróciła się do Marysi – i idzie swoją drogą.

– Zuzanno, bardzo cię proszę. – Mimo że głos z wózka nadal był ciepły i miły, to ta prośba zabrzmiała tak kategorycznie, że nie sposób było jej odmówić.

– Proszę pani, ja znajdę mu dom. Zapytam na wsi, na pewno ktoś weźmie. Gdyby tylko mógł zostać na dzień lub dwa... – poprosiła błagalnie, licząc bardziej na dobre serce staruszki w błękitnym swetrze niż na jej towarzyszkę.

– Zuzanno, weź zwierzę do kuchni.

Zuzanna, o dziwo, już nie protestowała. Odebrała od Marysi zawiniątko i kuśtykając, wyszła z pokoju, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Dziewczyna spojrzała w ślad za nią z niepokojem.

– Nie bój się, Zuzanna naprawdę nie jest taka straszna.

Marysia pokiwała głową, ale nie była przekonana.

– Więc mieszkasz na wsi?

– Niezupełnie. Przyjechałyśmy z mamą do babci Róży.

– Róży Marcisz? – Staruszka uważniej przyjrzała się dziewczynie. – To twoja babcia?

– Nie do końca, to znaczy, nie taka prawdziwa. Tylko tak na nią mówię – tłumaczyła. – Ale jest dla mnie jak prawdziwa babcia.

– A co robiłaś sama tak daleko?

– Byłam na spacerze.

Staruszka pokiwała głową.

– A jak masz na imię?

– Marysia.

Kobieta wyraźnie drgnęła na dźwięk tego imienia. Podniosła drżącą dłoń i machnęła w stronę dziewczyny.

– Idź już. Źle się czuję.

– To może zawołam panią Zuzannę? – wystraszyła się Marysia.

– Pannę – poprawiła staruszka. – I nie wołaj. Sama zaraz przyjdzie. A ty idź.

– A piesek?

– Zajmiemy się nim. Idź! – Tym razem w głosie staruszki zabrzmiała taka stanowczość, której Marysia się nie spodziewała.

– Do widzenia – pożegnała się, ale nie otrzymała odpowiedzi. Kobieta zamknęła oczy i wyglądała jakby zasnęła.

Mam nadzieję, że nie umarła – pomyślała Marysia, wychodząc do ciemnej sieni. W półmroku odnalazła drzwi wyjściowe.

– Niech dobrze zamknie, bo zimno leci – usłyszała jeszcze za plecami zrzedliwy głos panny Zuzanny.

Stary dworek co prawda nie krył seryjnej morderczyni czy starej wiedźmy i nie wyglądał na siedlisko zła rodem z horrorów, a na dodatek Marysia na własne oczy zobaczyła, co jest w środku, ale przez to wcale nie wydał jej się mniej tajemniczy. Nawet przeciwnie – była coraz bardziej zaintrygowana. Kim są te staruszki? – myślała. – No i czy na pewno dobrze zajmą się szczeniakiem?

Żyjesz? – SMS od Kamila sprowadził ją do rzeczywistości.

Tak, żyję. Byłam tam. Nie uwierzysz, jak ci wszystko opowiem – odpowiedziała. I była przekonana, że trudno mu będzie uwierzyć w jej historię. No, ale musi wytrzymać do poniedziałku, bo przez telefon to się po prostu nie da tego dobrze opisać.



– Dzień dobry, pani Zofio! – Tamara ucieszyła się na widok znajomej twarzy. – Do nas pani idzie?

– Trochę tak i trochę nie. – Zofia podeszła do płotu. – Dzień dobry. Wnuki na spacer prowadzę, ale chciałam zająć i to zostawić – podała Tamarze reklamówkę. – Tylko ostrożnie niech pani trzyma, żeby się nie pogniosły. Musiałam luzem włożyć, bo nie miałam pudełka.

– A co tam jest? – zainteresowała się Tamara, odbierając pakunek.

– Babeczki piekłam i tak mi jakoś dużo wyszło, to pomyślałam, że dla pani Róży i dla pani do herbaty będzie.

– Ja też tloche piekłam – wtrąciła się stojąca obok Zofii dziewczynka.

– Tak? – uśmiechnęła się do niej Tamara. – Taka duża dziewczynka to na pewno bardzo babci pomogła.

Mała popatrzyła pytająco na babcię ogromnymi błękitnymi oczami.

– Pomogła, pomogła – roześmiała się kobieta. – Nikolka zawsze mi pomaga.

– A tamci chłopcy to też pani wnukowie? – wskazała na chłopców stojących w pewnej odległości od nich. Niższy przyglądał się z zaciekawieniem rozmawiającym, a wyższy kopał czubkiem buta w ziemię na poboczu, okazując w ten sposób zniecierpliwienie.

– Tak, starszy Krzysio i młodszy Pawełek – wyjaśniła Zofia. – Chłopcy, chodźcie, przywitajcie się ładnie.

Pawełek podszedł, ale Krzysio zachowywał się tak, jakby nie słyszał.

– Niezadowolony – tłumaczyła Zofia – bo chciał zostać i na komputerze grać. A nie mogłam go przecie zostawić samego. To się złości.

– Nikolka musi na spacer – znowu wtrąciła się mała.

– To może wejdziecie na chwilę? – zaproponowała Tamara. – Spróbujemy babeczek, a dla dzieci pewnie się jakieś konfitury znajdą.

– Chcem konfitulki – wyraziła swoją opinię Nikola. Pawełek nic nie powiedział, ale widać było, że też nie ma nic przeciwko odrobinie słodczy.

– Nie chcemy przeszkadzać. – Zofia wyglądała na niezdecydowaną.

– Pani Zofio, jakie przeszkadzać? Proszę nawet tak nie mówić. Zapraszam!



– Krzysio! – zawołała Zofia. – A chodźże tu!

– Nigdzie nie idę – odkrzyknął chłopiec i wbił wzrok w drogę.

– Krzysio! Co sobie pani Tamara o tobie pomyśli? Chłopcy w mieście na pewno tak się nie zachowują. Ten argument, ku zdziwieniu Tamary, podziałał na Krzysia. Powoli, ale jednak, ruszył w kierunku furtki.

– On to by w mieście chciał mieszkać – wyjaśniła Zofia.

– Ksyś nie chce być wieśniakiem – poinformowała z dziecięcą szczerością Nikola.

Tamara pokręciła głową. Dzieci to naprawdę mają dziwne pomysły – pomyślała.

Weszli do białego domku.

– Babciu, mamy gości! – poinformowała, wprowadzając całą czwórkę do kuchni.

Róża Marcisz wytarła ręce w fartuch i przywitała się z Zofią.

– A pani znowu przy kuchni. Przecież ja wszystko przygotowałam...

– Pani Zofia tak mnie pilnuje, że niedługo zapomnę, jak się ziemniaki gotuje – uśmiechnęła się babcia

Róża. – A ja tylko marchewkę obierałam na surówkę. Proszę, siadajcie.

Krzeseł wystarczyło dla wszystkich, a Nikola dostała dodatkową poduszkę na siedzenie.

– Telaz jestem duza – poinformowała wszystkich radośnie.

– Ależ te dzieci szybko rosną – pokręciła głową gospodyni. – A dopiero pani z wózkiem na spacerze jeździła... A ty jesteś chyba Krzysztof? – zwróciła się do najstarszego. – Też wyrosłeś. To chyba babcia i mama mają z ciebie dobrego pomocnika?

– E, jeszcze za mały na gospodarstwo. No i uczyć się musi – odpowiedziała za wnuka Zofia. – Może w wakacje będzie trochę w sadzie pomagał...

– Nic nie będę robił – burknął chłopak. – To głupie.

– Co głupie? – zainteresowała się Róża. – Pomagać starszym?

– Cała wieś jest głupia – wzruszył ramionami. – Kury śmierdzą i wszystko brudne. Kto tu mieszka, też jest głupi. Jak dorosnę, to wyjadę do miasta – zacisnęła usta i spojrzał wyzywająco na babcię Różę.

– Ksyś powiedział, że babcia jest głupia wieśniara – uzupełniła radosnym głosem Nikola.

– Cicho bądź! – odezwał się po raz pierwszy Pawełek, chcąc uciszyć siostrę.

– Ale tak Ksyś mówi. – Mała broniła swoich racji.

Zapadła cisza. Co za wstrętny gówniarz! – pomyślała Tamara. – Takiemu to naprawdę przydałoby się powiedzieć do słuchu. Jak można tak traktować własną babcię! Ciekawe, co na to jego rodzice?

Wreszcie odezwała się babcia Róża:

– Ja też kiedyś myślałam, że całe życie będę mieszkać w mieście...

– I co? – zainteresował się Pawełek.

– I przyszło mi żyć tutaj – odpowiedziała staruszka. – I powiem wam – uśmiechnęła się – że nie żałuję, bo tutaj jest coś, czego w mieście nie ma... – zawiesiła głos i widząc zainteresowanie w oczach dzieci, dokończyła – konfitury wiśniowe.

– Głupota – zamruczał Krzyś, ale tym razem nikt nie zwrócił już na niego uwagi. Wszyscy zajęli się próbowaniem zawartości słoika, który babcia Róża wyjęła z kredensu. Po chwili na stole znalazły się też babeczki.

– Genialne! – oceniła Tamara już po pierwszym kęsie. – Pani ma prawdziwy talent, pani Zofio!

– Mówiłam ci już kiedyś, że w kuchni niewielu pani Zofii dorównuje – powiedziała babcia Róża.

– E tam, co też! – Zofia trochę się zawstydziała, ale widać było, że jest zadowolona z pochwały. – Przecież ja się nigdzie tego nie uczyłam. Tyle, co w szkole pomagałam w kuchni, a potem na weselach albo komuniach. I resztę sama próbowałam.

Kobiecie było miło, ale uznała, że komplementy pod jej adresem to zwykła grzeczność. Oglądała przecież w telewizji różne programy o gotowaniu. Czasami, jak akurat dzieci nie miały żadnego filmu

albo gdzieś pojechały, bo tak normalnie to Jarek nie lubił. Widziała, co tam gotują. Takie wyszukane, piękne. Nawet nie wiedziała, że takie rzeczy na świecie są, jak mówili te nazwy. A ona co? Normalnie, mąka, jajka, cukier. Zwyczajnie, jak od dziecka znała i potrafiła. Nawet nie było co porównywać.

– Niech pani nie będzie taka skromna. Lepszych babeczek nigdy nie jadłam. A to nadzienie też własnej roboty?

– Tak, sama maliny w zeszłym roku zbierałam. I tylko cukrem zasypuję i wekuję. Takie najlepsze do babeczek.

– Niebo w gębie! – zachwycała się Tamara, sięgając po drugą babeczkę.

– W gębie! – roześmiała się Nikola, słysząc nowe wyrażenie. – O, kotecek! – zauważyła Barnabę, który wychylił łebek zza drzwi pokoju. – Chcę kotecka.

Zofia spojrzała pytająco na gospodynię.

– Lepiej nie – pokręciła głową babcia Róża. – Barnaba sam decyduje, kiedy ma ochotę na pieszczoty. Mógłby cię podrapać – tłumaczyła, zwracając się do dziewczynki.

Ta zrobiła smutną minę, ale nie nalegała.

– Mam swojego kotecka – powiedziała w końcu. – W domu. Jego głaskam, jak jest smutny.

– Twój kotek jest smutny? Dlaczego? – zapytała Tamara. Ta dziewczynka, w przeciwieństwie do jej najstarszego brata, budziła w niej sympatię. Mądre i wrażliwe dziecko – oceniła.

– Bo Ksyś – pokazała na brata – go bije. I kopie.

– Nikola, zamknij się! – Pawełek po raz drugi próbował powstrzymać szczere wyznania siostrzyczki.

– Ty bijesz kota? – Marysia przed chwilą stanęła w drzwiach i słyszała ostatnie zdania. Całą drogę myślała o szczeniaku w studni i o ludzkim okrucieństwie wobec zwierząt. Nie mogła tego pojąć, więc teraz nie zamierzała się powstrzymywać. – I co? Fajnie ci z tym? Słabszego bić? Zwierzę, które nie może się obronić?

Podeszła do Krzysia i złapała go za ramię.

– No co? Popatrz na mnie! Nie masz odwagi? A kota kopać to potrafisz, tak? Mnie spróbuj kopnąć, jak jesteś taki bohater!

Krzyś wyglądał na przestraszonego. Nie spodziewał się czegoś takiego. Spoglądał nerwowo to na babcię, to na Różę, jakby oczekując obrony, ale żadna z kobiet nie reagowała. Gospodyni przyglądała się spokojnie sytuacji, Zofia wpatrywała się w blat stołu, nerwowo zacierając dłonie. Tymczasem Marysia pochyliła się nad chłopakiem i z bardzo bliska popatrzyła mu w oczy.

– Jeżeli jeszcze raz usłyszę, że skrzywdziłeś jakieś zwierzę, to cię znajdę i zrobię ci dokładnie to samo. Obiecuję! – Puściła chłopaka i jak gdyby nigdy nic usiadła przy stole i wzięła do ręki babeczkę.

– Przyniosę ci szklanekę na herbatę – powiedziała Tamara.

– Dziękuję, mamo.

Tamara była dumna z córki. Doskonale się zachowała! Utarła nosa temu gówniarzowi. Należało mu się!

– To my będziemy już szli. – Zofia podniosła się z krzesła i podeszła do Nikoli, żeby pomóc jej zejść na podłogę. – Bo obiad muszę zdążyć na porę zrobić – tłumaczyła.

– Dziękujemy za odwiedziny. – Babcia Róża obdarowała Zofię swoim uspokajającym uśmiechem.

– I za pyszny podarunek – dodała Tamara.

Goście wyszli. Odeszli kilkanaście metrów w stronę lasu i dopiero wtedy Krzyś odzyskał pewność siebie. Spojrzał ze złością na babcię i powiedział:

– Zobaczysz, wszystko powiem ojcu!

– Zamknij się! – Swoją kwestię Pawełek skierował tym razem do brata.

Zofia tylko westchnęła. Już wiedziała, że Jarek się zdenerwuje. Ale postanowiła, że upiecze wieczorem jeszcze jedną porcję babeczek. Dla tej córki pani Tamary. Bo dzisiaj już prawie wszystko było zjedzone,

jak przyszła – pomyślała.

– Dostanę kwiatuska? – zapytała Nikola.

– Dostaniesz, dostaniesz, mój skarbie.



– Halo! Halo! Pan się zatrzyma!

Łukasz, jak prawie każdego dnia, obchodził swoje leśne ścieżki. Zwykle przechodził też obok starego dworku. Podobał mu się ten dom, kiedyś z pewnością było tu ładnie, ale teraz stan zarówno samego budynku, jak i jego otoczenia był opłakany. Mężczyzna czuł sympatię do dawnych mieszkańców. Fakt, że wybrali miejsce oddalone od gospodarstw, wśród lasu, sprawiał, że czuł z nimi jakąś bliskość. Nawet teraz, gdy wieś się rozrosła, tutaj było cicho i spokojnie. Nikt nie zaglądał w okna, nie rejestrował godzin wyjścia i przyjścia.

Słyszając głos od strony posiadłości, od razu wiedział, kto go woła. Między na wpół spróchniałymi kolumnkami, u szczytu schodów prowadzących do drzwi stała postać wspierająca się na hebanowej lasce.

Nie zdziwiło go to, bo znał mieszkanki dworku i często zdarzało się, że prosiły go o zrobienie zakupów albo drobną naprawę. Nie odmawiał. Żał mu było samotnych, lekko zdziwaczałych staruszek. Wiedział, że unikają kontaktów z ludźmi, ale to akurat doskonale rozumiał i nie uznawał za objaw starczej demencji. One chyba to wyczuły, bo w pewien sposób mu zaufały i Łukasz stał się ich jedynym łącznikiem z resztą świata. Oprócz starego, czarno-białego telewizora, odbierającego jedynie dwa programy, którego antenę musiał poprawiać po każdym większym wietrze, i listonosza przynoszącego im pieniądze raz w miesiącu, którego nawet nie wpuszczaly za próg.

Pewnie znowu coś odpadło – pomyślał. – Niedługo już nie będzie do czego tego wszystkiego przybijać. No, zobaczymy, co tym razem wymyśliły dla mnie hrabianki.

– Dzień dobry! Co się stało?

– Sprawa jedna jest do załatwienia – poinformowała panna Zuzanna. – Tylko nie wiem, czy pan da radę...

Łukasz już przyzwyczał się do tego, że akurat ta staruszka nie używa żadnych form grzecznościowych. Już samo to, że tytułowała go „panem”, musiało być dla niej trudne, bo słycać było, że to słowo ledwo przechodzi jej przez gardło. Łukasz uznał to za nawyk z przedwojennych czasów, takie wielkopańskie pretensje, ale wcale mu to nie przeszkadzało.

– Proszę powiedzieć, postaram się. Co się popsuło tym razem?

– Świat się popsuł – zagderała staruszka, postukując laską.

– Tak, to już słyszałem – uśmiechnął się Łukasz. – Siedemdziesiąt pięć lat temu się popsuł. Ale tego to ja nie umiem naprawić, mówiłem już. A co poza tym?

– Szczeniaka nam podrzucili.

– Jak to: podrzucili?

– Jak zawsze, w studnię.

– I nie utopił się? – Łukasz już kilka razy wyciągał stamtąd martwe zwierzęta – szczeniaki i kociaki.

– Widać nie zdążył.

– I co? Mam go zabrać?

– Zabrać.

– To gdzie on jest? Na wsi zapytam, może ktoś akurat będzie chciał. O to chodzi?

– Ja to tak uważam, ale Julii się nie da do rozumu przemówić. Ma zostać, mówi. A po co nam to? Mało mamy? Jeszcze kundla jakiegoś brakuje – narzekała staruszka.

– No to mam zabrać czy nie zabrać? – Łukasz był zdezorientowany.

– Zabrać. Do lekarza zabrać.

– Do weterynarza?

– No mówię przecież.

– Dobrze, zabiorę. Gdzie on jest, ten niby kundel?

– Zaraz przyniosę – pokuśtykała do wnętrza domu.

Łukasz wiedział, że staruszki wpuszczają go do środka tylko wtedy, kiedy było to niezbędne i nie dało się tego uniknąć. Teraz nie został zaproszony. Oparł się o ścianę dworku, zapalił papierosa i wystawił twarz do słońca.

– Tu się nie pali.

Otworzył oczy. Przed nim stała staruszka, trzymając na ręku zawiniątko z koca.

Jak ona to robi? – pomyślał. – Tu niby laska, ledwie się rusza, a potrafi pojawić się tak cicho i niespodziewanie jak duch.

Wyciągnął rękę po pakunek.

– Tylko ostrożnie. Julia prosiła, żeby krzywdą się zwierzęciu nie stała – popatrzyła na jego dłonie podejrzliwie, jakby były jakimś morderczym narzędziem.

– Oczywiście. Wszystko będzie dobrze.

Już miał odejść, gdy staruszka podniosła laskę i zagroziła mu drogę.

– Tylko jakby miało być drogo, to...

Nie pozwolił jej dokończyć.

– Wszystko załatwię. Proszę się nie martwić.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że dla hrabianek liczył się każdy grosz. Co prawda na pierwszy rzut oka wnętrze salonu robiło wrażenie, ale uważny obserwator od razu dostrzegał, że większość rzeczy była w opłakanym stanie i nie przedstawiała dużej wartości. A to było wszystko, co miały. Reszta pokoi była pusta i stała zamknięta od wielu lat. A sam dworek powoli chylił się ku upadkowi. Łukasz czasami zastanawiał się, czy staruszki zdołają w nim dożyć końca swych dni, czy też wcześniej dach zawali im się na głowy.

– Wszystko zwrócę, byle w granicach rozsądku. – Staruszka najwyraźniej chciała zachować resztki dumy.

Łukasz schylił głowę.

– Oczywiście. A jak wrócę, to pomyślę, jak tę studnię zasłonić, żeby nikt już nie miał do niej dostępu.

Staruszka nie powiedziała ani słowa, tylko przyzwalająco kiwnęła głową. Łukasz powstrzymał śmiech. Naprawdę, chwilami te arystokratyczne nawyki były zabawne. Zwłaszcza w zestawieniu z wyleniałym futerkiem i ruinami w tle.

Łukasz znał weterynarza w Jagodnie i był pewien, że zadba o psiaka jak należy i nie policzy drogo. Pan Stefan nie miał stałego cennika, mieszkał tu od lat i dobrze wiedział, kto może zapłacić według ogólnie obowiązujących stawek, a kogo trzeba potraktować ulgowo. Kochał zwierzęta i żadnego nie zostawiłby bez pomocy tylko dlatego, że jego właścicielowi brakowało pieniędzy.

Łukasz odsunął róg koca i zobaczył małe czarne ucho z delikatną różową skórką w środku. Szybko położył materiał z powrotem. Pies jak pies – pomyślał. Ale w głębi duszy wiedział, że jak będzie trzeba, to i ze swoich zapłaci. Stary jestem, a taki głupi! – skarcił się w myślach.



– Gdzie ty kupiłaś takie pyszności?! – Marzena aż oblizwała się po kolejnym kęsie babeczki z malinami.

– Nigdzie nie kupiłam.

– No nie powiesz, że sama upiekłaś! Serio?

– Nie, nie powiem. Dostałam, a właściwie to Marysia dostała w dowód wdzięczności za usadzenie jednego nieznośnego gówniarza.

– No, no, no! – Marzena spojrzała z zaciekawieniem. – Jakie wy ciekawe życie prowadzicie na tej wsi. Podasz więcej szczegółów? I jeszcze jedną babeczkę – dodała ze śmiechem.

Tamara opowiedziała koleżance o całym zdarzeniu.

– No i następnego dnia, jak Marysia szła na spacer, to pani Zofia ją zawołała i dała jej chyba ze trzydzieści tych babeczek. Że niby poprzedniego dnia nie spróbowała, ale mnie się wydaje, że chciała podziękować za utarcie nosa małemu chuliganowi – zakończyła opowieść. – Mówię ci, strasznie niewychowany smarkacz! Jak on się odnosi do tej kobiety, to szkoda gadać. Nawet mi do głowy przyszło, żeby z jego rodzicami porozmawiać... – dodała.

– A myślisz, że nie wiedzą? – Marzena tym razem nie była optymistką. – Nie wiesz, że ryba psuje się od głowy?

– Ale pani Zofia to złota kobieta!

– Co nie znaczy, że jej córka też. Różnie to bywa...

– Co macie dobrego? – Do pokoju wpadła Ewelina z księgowości. – Pachnie w całej firmie. Dawajcie kawałek, bo mnie z głodu aż ssie! – Chwyciła babeczkę i zatopiła w niej zęby. – Booszszz – jęknęła z zachwytem.

– Dobrze, nie? – spytała Marzena.

– A chto to piek? – zapytała Ewelina z pełnymi ustami.

– Znajoma Tamary.

Ewelina przełknęła i otarła okruszki z kącików ust.

– Nawet u Blikłego takich nie ma, ani w „Dorotce”. – Jednym zdaniem zepchnęła ze swojego prywatnego podium dwie najlepsze cukiernie w mieście. – A wiecie, że łasuch ze mnie i się znam.

Wiedziały. Zresztą, nie ujmując nikomu, było to widać. Koleżanka zawsze była przy tuszy, ale nie przejmowała się tym. Z uśmiechem twierdziła, że jej dodatkowe kilogramy to nic innego jak przetworzone ciasteczka, więc nie ma słodszej od niej osoby w całych Kielcach. Nie zamierzała rezygnować z tego, co dawało jej radość i przyjemność.

– Wolę być grubszą i szczęśliwą niż chudą, sfrustrowaną żołą – mówiła. I przyznać trzeba, że humor zawsze jej dopisywał. I bez pudła wyczuwała, gdy ktoś jadł coś słodkiego. Tak jak teraz.

– Tamara, skarbie, bardzo cię proszę, poproś swoją znajomą, żeby upiekła mi takie.

– No nie wiem... To starsza osoba i ma sporo zajęć. Opiekuje się wnukami i jeszcze dorabia jako pomoc domowa.

– Tak cię proszę... – Koleżanka złożyła w błagalnym geście pulchne dłonie.

– Mogę zapytać, ale nie wiem, czy się zgodzi i kiedy upiecze, naprawdę.

– Musi się zgodzić. Powiedz, że jej zapłacę. Serio mówię. Może wtedy się zgodzi, no bo jak dorabia, to może przecież i tak. Wiesz, ile takie, co ja mówię, nie takie, bo tym do pięt nie dorastają, ale wiesz, ile kosztują? Trzy, cztery, a nawet pięć złotych za sztukę. Jak upiecze mi dwadzieścia, to zapłacę po trzy złote, a jak trzydzieści to po cztery. Tak jej powiedz. – Ewelina wyglądała na bardzo zdesperowaną.

– Dobrze, powiem, ale nie obiecuję. – Tamara zgodziła się dla świętego spokoju, a gdy Ewelina poszła

opowiadać o babeczkach koleżankom z pokoju, zwróciła się do Marzeny:

– Ona naprawdę ma bzika na punkcie słodczy.

– Ty się nie śmieję. Bo chyba ta twoja pani Zofia ma żyłę złota we własnych rękach. Marketingiem się zajmujesz i tego nie widzisz? Niech ona upiecze te babeczki dla Eweliny, a potem szykuje się na kolejne zamówienia.

Tamara parsknęła śmiechem.

– Tak, a potem w dwa miesiące otworzymy fabrykę babeczek. A za rok Zofia stanie się światową babeczkową królową.

– Wspomnisz moje słowa. – Marzena podniosła palec dla podkreślenia wagi tego, co mówi. – Jak Ewelina mówi, że nie ma lepszych w całych Kielcach, to znaczy, że nie ma. A tak w ogóle, to jeszcze są?

– Jeszcze dwie – uśmiechnęła się Tamara. – Zdążyłam schować swój talerzyk, zanim go zauważyła.

– A podzielisz się? – Koleżanka zrobiła błagalną minę.

– Podzielę.

Tamara, przeglądając dokumentację do kolejnego zlecenia, zastanawiała się nad propozycją Eweliny. W pierwszej chwili chciała w ogóle nie wspominać o tym pani Zofii, a koleżance po prostu powiedzieć, że jej oferta spotkała się z odmową. Jednak po namyśle stwierdziła, że powinna pozwolić, żeby pani Zofia sama zdecydowała. Jeżeli godziła się pomagać babci Róży przez dziesięć godzin w tygodniu za sto pięćdziesiąt złotych, to sześćdziesiąt złotych za dwadzieścia babeczek może być dla niej kolejnym, a wymagającym mniej wysiłku, zastrzykiem gotówki.

Tylko musi mi obiecać, że nic za to nie kupi temu paskudnemu Krzysiowi – pomyślała. – Chyba że różgę. Na samo jego wspomnienie ręce mi się w pięści zaciskają. Naprawdę dawno nie spotkałam takiego rozwydrzonego dzieciaka. Jak będę kiedyś robić kampanię producenta smyczy i kagańców, to go wezmę na modela. Z ogromną przyjemnością.



– Czy w tym domu nigdy nie będzie spokoju? – Jarek wszedł do kuchni i od razu podszedł do lodówki. – Piwa nie ma? – zwrócił się do Zofii, która siedziała na swoim taborecie i obierała ziemniaki.

– Wszystko wypięłeś przed wyjazdem. Nie miałam jak iść z dziećmi do Jagodna.

Zięć trzasnął drzwiami lodówki.

– Ale po chałupach to mamusia miała jak chodzić? – Staął nad Zofią i położył ręce na biodrach.

No tak – pomyślała Zofia. – Krzysio już zdążył się poskarżyć.

Kiedy córka z zięciem wrócili, siedział w swoim pokoju i nawet nie zszedł się przywitać z rodzicami. Zawsze tak było, gdy włączył komputer. Zwykle Zofia dziwiła się, że Kasia nie zwraca na to uwagi, ale dzisiaj akurat się z tego ucieszyła. Pomyślała nawet, że Krzysio zapomniał o całej sprawie. Jednak myliła się.

A jeszcze tego piwa nie ma – zmartwiła się. – A on tyle godzin samochód prowadził, to teraz chce odpocząć.

Nie odpowiedziała zięciowi, czekała, co będzie dalej. Ten stał i przypatrywał się teściowej.

– Niech mamusia odłoży te ziemniaki i mi odpowie, zanim wyjdę z siebie. Syn mi mówi, że zawlokła ich mamusia do tej Marciszowej z końca wsi, chociaż wcale nie chcieli, i jakby było mało, to jeszcze jakaś miastowa dziewczucha tam na niego nawrzeszczała, a mamusia nawet go nie broniła.

Zofia odłożyła nożyk i popatrzyła w górę.

– Szliśmy na spacer. Pani Róża zaprosiła nas na herbatę, to niegrzecznie było odmówić.

– Taka tam kultura niby? A na dziecko drzeć mordę to ta grzeczność?

– Krzysio nieładnie się zachowywał. – Zofia nigdy nie skarżyła się na wnuki, ale chciała jakoś wytłumaczyć całe zajście. Bo przecież chłopak naprawdę niegrzecznie odzywał się do pani Róży.

– Jak się komuś moje dziecko nie podoba, to może do mnie przyjść i powiedzieć. I jak uznam, że coś przeszkrobał, to sam mu tyłek spiorę. Ale obcym od moich dzieci wara! Czy mamusia to rozumie?

Zofia pochyliła głowę.

– Znowu mamusia udaje, że nie słyszy?! – Jarek mówił coraz bardziej podniesionym tonem. – Jak Krzysia obrażali to też mamusia nie słyszała?! I jak zastraszała?!

Do kuchni wbiegła Kasia i chwyciła męża za ramię.

– Jarek, nie denerwuj się, proszę. Ja zaraz wsiądę w auto i skoczę po to piwo. Najprędzej to będzie na stację benzynową. Może ze mną pojedziesz, to sobie jedno już w drodze wypijesz... – Chciała zmienić temat i odciągnąć męża od matki. Jarek jednak nie zamierzał zrezygnować.

– Zostaw mnie! – Strząsnęła rękę żony ze swojego ramienia. – Mojego syna nikt nie będzie straszył! Ja się tam wybiorę i tak im powiem, że im w pięty pójdzie! Paniusie, kultura, cholera jasna! Człowiek chce trzy dni odpocząć, myśli, że zostawia dzieci pod dobrą opieką, a tu własna babcia pozwala na wnuka naskakiwać! Jak dorwę tę dziewczuchę, to... – Zamachnął się, jakby chciał kogoś uderzyć.

– Ona broniła kotecka – odezwała się niespodziewanie Nikola, która niezauważona przez dorosłych weszła do kuchni i stała teraz obok babci.

– Jakiego „kotecka”? – Jarek wyglądał na zbitego z tropu.

– Nasego kotecka, sarego. Co go Ksyś kopie ze schodów – wyjaśniła grzecznie córka.

– To jakiś sierściuch dla mamusi ważniejszy od mojego syna?! – wrzasnął mężczyzna. Nikola wystraszona przytuliła się do Zofii i zaczęła płakać.

– Jarek, lepiej pojedźmy po to piwo – próbowała po raz kolejny Kasia. – A mama dzieciom placków ziemniaczanych nasmaży...

– Nigdzie nie będę jechał. Sama jedź, byle szybko, zanim do reszty stracę cierpliwość. A jak wrócisz, to te placki zrobisz. Idę mecz obejrzeć, bo mnie szlag za chwilę trafi! – Wyszedł z kuchni, Kasia poszła za nim. Zofia usłyszała jak w przedpokoju zięć powiedział jeszcze:

– A starej to już dzisiaj na oczy oglądać nie chcę, bo jak zobaczę, to za siebie nie ręczę. Chyba jej się z wiekiem w głowie miesza. Zrób coś z nią, bo...

– Cicho, Jarek, cicho, Porozmawiam z mamą. – Żona próbowała go uciszyć, ale Zofia i tak wszystko słyszała. Pogłaskała Nikolę po blond włoskach.

– Nie płacz, Nikolka. Już dobrze.

Posadziła wnuczkę na taborecie i zdjęła fartuch. Garnek z obranymi ziemniakami wstawiła do zlewozmywaka. Miała łzy w oczach, ale nie chciała, żeby wnuczka to zobaczyła. Otarła oczy rękawem swetra.

– Zostaniesz z mamusią, a babcia pójdzie na spacer.

– Tak na ciemno? – zapytała Nikola.

– Jeszcze nie jest tak ciemno. Niedługo wrócę.

Wyszła do przedpokoju i sięgnęła po płaszcz. Wtedy zobaczyła, że na schodach siedzi Krzysio. Próbował ukryć się za szczebelkami balustrady, ale i tak go dostrzegła. A w jego oczach zobaczyła triumf i satysfakcję. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam chłopczyk, którego przewijała, kąpała i któremu opowiadała bajki do snu. I którego kochała, bo przecież był jej pierworodnym wnukiem.

Co się z nim stało? – pomyślała ze smutkiem. – Po kim on taki niedobry? I dlaczego? Przecież niczego mu nie brakuje, wszystko ma...

Założyła buty najszybciej jak mogła i wyszła. Dopiero kiedy minęła kilka sąsiednich domów, nie

wytrzymała i łzy zaczęły płynąć po naznaczonych zmarszczkami policzkach. Nie planowała, dokąd pójdzie, ale nogi same ją prowadziły. Mijała kolejne domy, ocierając policzki zniekształconymi od ciężkiej pracy palcami. „Już starej na oczy oglądać nie chcę...” – dźwięczało jej w uszach raz za razem. Przecież się starała, robiła, co mogła, żeby im pomóc i w drogę nie wchodzić. Gdybym poszła po to piwo – myślała – może byłoby inaczej.

A nogi, chociaż spuchnięte i obolałe, wiedziały, gdzie powinna iść. Biały domek był coraz bliżej. Miejsce, w którym usłyszała, że nie jest obca, że można jej zaufać, i w którym czuła się potrzebna i pożyteczna.



– Pani Zofio, co się stało?!

– Przepraszam, że zachodzę tak późno, ale spacerowałam i pomyślałam, że zajrzę i sprawdzę, czy wszystko u pani dobrze... – Chciała jakoś usprawiedliwić swoją wizytę, zwłaszcza że sama do końca nie rozumiała, dlaczego przyszła akurat tutaj.

Babcia Róża bez słowa otworzyła szerzej drzwi i wpuściła Zofię do środka.

Usiadły przy stole, Barnaba wskoczył gospodyni na kolana, a ona miarowo głaskała go po grzbiecie. W ciszy słychać było tylko tykanie ściennego zegara i kocią mruczanekę.

Jak tutaj spokojnie – pomyślała Zofia. – I cicho. Nie to, co... Łzy znowu napłynęły jej do oczu.

– Przeszkadzam pani? – zapytała Różę, nie podnosząc wzroku.

– A w czym można przeszkadzać starej samotnej kobiecie? Zresztą nigdy mi pani nie przeszkadza, pani Zofio.

– Tak się mówi – pokiwała głową kobieta. – Nie wypada inaczej, a pani jest dobrze wychowana...

– Jestem też szczerą – powiedziała babcia. – I mówię tylko to, co jest prawdą. Dzięki pani pomocy jest mi lżej, szybciej dochodzę do siebie, ale przede wszystkim czuję się mniej samotna, mam z kim porozmawiać. Naprawdę nie wiem, co zrobiłabym bez pani...

Zofia popatrzyła na babcię Różę.

– Beze mnie? Beze mnie wszystkim byłoby lepiej. Jestem tylko staruszką, która zawadza. Darmozjadem. Powinnam zejść wszystkim z oczu, nie przeszkadzać, zniknąć. Nic już dobrze nie potrafię zrobić, w niczym pomóc... – rozplakała się.

Róża Marcisz odstawiła Barnabę na podłogę i wstała.

– Widzę, że jednak coś się stało. Najlepiej będzie, jak mi pani wszystko opowie przy herbacie.

Zofia pokiwała głową.

– No więc, co się stało?

– Dzieci wróciły z Zakopanego i Jarek, zięć znaczy, od razu się zdenerwował. Krzysio mu opowiedział o..., wie pani, o tym, co wtedy, tutaj...

– Przyznaję, Marysia na niego nakrzyczała, ale uważam, że w słusznej sprawie. Zresztą, zachowanie Krzysia też pozostawiało wiele do życzenia.

– Ja też tak myślę. Ale Jarek nie lubi, jak mu obcy dzieci wychowują.

– Jarek chyba wielu rzeczy nie lubi i bardzo nerwowy jest – zauważyła babcia Róża.

– Ano jest. Może to od tej pracy? Całą firmę sam prowadzi.

– A na wszystkich się tak denerwuje, czy tylko na panią?

Zofia wzruszyła ramionami.

– Na wszystkich po trochu. Na Kasię, czasami na dzieci. A ja to po prostu sama sobie winna jestem.



Ciągle czegoś nie dopilnuję, albo zapomnę, albo, jak to Kasia mówi, palnę głupstwo... No i nerwy gotowe. Ale tak w ogóle, to przecież z Jarka dobry mąż i ojciec. Na wszystko zarabia, nawet na mnie. Bo co ja tam mam za rentę, szkoda gadać. Ja wiem, że wszystko drogie i jakbym była sama, tobym nie wyżyła. A tak to nie mogę narzekać, dbają o mnie...

– I z tego dbania ten dzisiejszy spacer? I ten płacz?

– Jakoś się tak rozkleiłam. I złość mnie wzięła... – przerwała i zacisnęła usta.

– Każdy ma prawo się zezłościć. – Róża Marcisz spokojnie podsunęła Zofii talerzyk z kruchymi ciasteczkami. – Szczególnie, kiedy jest niesprawiedliwie traktowany.

– Ale gdzie tam! – zaprotestowała Zofia. – Przecież mówię pani, że mam wszystko, co trzeba. A złość to zły doradca.

– To może i pani zięciowi niedobrze doradza?

– Młodzi to teraz ciągle są, no, zestresowani. Ciężko się żyje, harować trzeba na każdy grosz.

– A pani to nie harowała? Sama pani córkę wychowała, dom wybudowała, gospodarkę prowadziła. Pani Zofio, przecież ja nie od dziś tutaj mieszkam, prawda? I widziałam, jak pani żyje. A lekkie to życie nie było. Czasami aż się dziwiłam, skąd ma pani tyle siły, żeby temu wszystkiemu podołać.

– Może i kiedyś to tak. Ale teraz człowiek coraz starszy, to już do niczego się przydać nie mogę. I chyba dlatego ta złość, że chciałabym, a nie mogę. Najgorzej to te nogi.... – westchnęła. – A wie pani, Kasię się marzy rozbudowa i remont... i wakacje za granicą.

– Wiadomo, że młodzi mają marzenia. I dobrze. Ale nie można ich realizować kosztem innych. Pani już swoje w życiu zrobiła, pora na odpoczynek. Niech córka i zięć sami pracują na swoje. Dostali od pani wszystko, co pani miała, niejedno dziecko byłoby wdzięczne. – Babcia Róża mówiła spokojnie, ale cały czas patrzyła Zofii prosto w oczy. – Na realizację pragnień czasami musimy poczekać, znaleźć w sobie cierpliwość i siłę do ich spełnienia. Pani to wie, nie muszę pani mówić.

– Ale Kasia to cierpliwa nigdy nie była. Zawsze jak coś chciała, to już i natychmiast. Od dziecka tak miała. Ile ja się czasami musiałam natłumaczyć, a i tak bez skutku...

– No to najwyższa pora cierpliwości się nauczyć – gospodyni wzruszyła ramionami. – Kasia już nie jest dzieckiem. A pani, pani Zofio, jakie ma marzenia?

Zofia popatrzyła na rozmówczynię ze zdziwieniem.

– Ja? Marzenia? – zastanowiła się. – Chciałabym, żeby wnuki zdrowe były, żeby się dzieciom dobrze układało...

– A takie dla siebie?

– No to są przecież dla mnie.

Babcia Róża się uśmiechnęła.

– Jest pani pewna? – zapytała, ale nie czekała na odpowiedź. – Herbaty doleję – powiedziała.

– Nie trzeba, ja już będę szła. Może się martwią w domu, bo ja tak wyszłam nagle. Tylko Nikolce powiedziałam.

– Jak pani uważa. Tylko proszę pamiętać, że zawsze chętnie wypiję z panią herbatę. O każdej porze.

– Bardzo pani miła. – Zofia zdobyła się na uśmiech. – U pani to mi cała ta złość przeszła i jakoś lżej się na duszy zrobiło. Dziękuję.

– Nie ma za co. – Babcia Róża podała jej niewielką torebkę. – Proszę, to dla wnuków. Ciasteczka.

– Nie trzeba...

– Wiem, że nie trzeba. Ale można, prawda?

– A miała pani nic sama nie robić. – Zofia przypomniała sobie o swojej roli opiekunki. – Obiecała pani.

– Tak? – udała zdziwienie babcia Róża. – Zapomniałam. To chyba ta starość, sama pani wie... –

Gospodyni poklepała Zofię po ręce. – Jakby pani nie przyszła, toby pani o niczym nie wiedziała, więc zapomnijmy o tym. Nikt się nie dowie. Zresztą już ich nie ma.

– To jutro napiekę nowych.



Kielce rozkwitły. Ciepły początek maja sprawił, że nareszcie zakwitły bzy, jeszcze zółciły się forsycje, a na klombach królowały bratki. Soczysta zieleń drzew i trawników stanowiła idealne tło dla wiosennych kolorów i schronienie dla ptaków, które głośno śpiewały swoje miłosne piosenki.

Ludzie też chyba odczuwali nadejście wiosny, bo na ulicach widać było nie tylko coraz więcej gołych nóg czy ramion, ale i uśmiechów. Parkowe ławeczki oblegali zakochani, seniorzy spacerowali alejkami, a na Sienkiewicza pojawiało się coraz więcej kawiarnianych ogródków. Całe miasto budziło się do nowego życia, odradzało się po zimowym śnie, zrzucając szarą kołdrę i zamieniając ją na kolorową, powiewającą na wietrze sukienkę.

Z wiosennej radości i bez troski wyłamywały się co prawda główne ulice, na których niezmiennie królował zapach spalin i dźwięk klaksonów, ale wystarczyło odejść nieco dalej, żeby zapomnieć o korkach, tłoku w autobusach i zdenerwowanym szefie. Kielczanie chętnie korzystali z tej możliwości i już wczesnym popołudniem ukryte wśród zieleni skwerów siłownie i ścieżki rowerowe pełne były amatorów aktywnego wypoczynku, place zabaw rozbrzmiewały dziecięcym śmiechem, a kawiarniane ogródki na Rynku zapełniały się zwolennikami zimnego piwa i ciepłych słonecznych promieni.

Marysia umówiła się z Kamilem na Kadzielni, przy skateparku, z dala od miejsc, w których było można spotkać szkolną elitę. Nie chciała też, żeby przychodził pod szkołę, żeby nie dawać koleżankom powodów do komentarzy i złośliwości. Wiedziała, że dla większości z nich ideałem był raczej Oskar – starszy, bywalec siłowni, z samochodem. Zresztą wołała nadal pozostawać niezauważana.

Gdy tylko wyszła ze szkoły, ruszyła szybkim krokiem, bo nie lubiła się spóźniać, a polonistka zatrzymała ich prawie dziesięć minut dłużej. Ledwie usłyszała, a właściwie wyczuła, wibrację telefonu. Odnalazła aparat i spojrzała na wyświetlacz – Kamil.

– Co tam? Już jesteś? – wydyszała. – Gdzie? Pod pomnikiem? Przecież miał być skatepark! Dobra, zostań tam, zaraz będę.

Wrzuciła komórkę do torby i nie zwalniając, skręciła z alei Legionów w boczną alejkę, tuż za wejściem do amfiteatru. Zerknęła na kawiarniany taras, na którym o tej porze siedzieli głównie wagarowicze. Na szczęście nikt jej nie zauważył.

Z daleka zobaczyła postać Kamila stojącego u szczytu schodów prowadzących do pomnika Bojowników o Wyzwolenie Narodowe i Społeczne. Monument stał tutaj, odkąd sięgała pamięcią i zawsze kojarzył jej się z pomnikiem na Westerplatte. Coraz bardziej zdyszana pokonywała kolejne stopnie. Wreszcie dotarła na szczyt.

– Cześć – przywitał ją Kamil. – Zobacz tylko, jak tutaj pięknie.

Ze wzgórza rozciągał się widok na całą Kadzielnię. Odnowiony amfiteatr, teraz zadaszony, ale za to niedostępny dla spacerowiczów, świetnie wkomponowywał się w otaczające go skalne ściany. Dalej widok na wejście do jaskiń, które można zwiedzić z przewodnikiem i zakosztować podziemnego świata, w którym natura przez wieki tworzyła niespotykane nacieki i kształty. Powyżej tarasy widokowe, a po przeciwnej stronie Skalka geologów, gdzie wieczorami można było obserwować wspinających się zapaleńców. Wszystko to, w połączeniu z bogactwem drzew, krzewów, traw i naskalnych roślin, tworzyło obrazy naprawdę przyjemne dla oka i duszy.

Marysi jednak nie w głowie było podziwianie widoków.

– Przecież umawialiśmy się przy skateparku! – nawet nie starała się ukryć złości.

– Pomyślałem, że tutaj jest ładniej.

– Ale ja chciałam tam!

– To jakaś różnica? – Kamil był wyraźnie zdziwiony.

– Ogromna!

– No to może mi powiesz jaka?

– Nikt ze szkoły tam nie chodzi – powiedziała bez zastanowienia i zaraz tego pożałowała, bo chłopak zapytał:

– A co? Wstydzisz się mnie?

– Głupie pytanie!

– No to może lepiej jednak popatrzymy sobie na coś ładnego i poczekamy aż ci ten foch minie – zaproponował i objął ją ramieniem.

Marysia była zdenerwowana, nadal bała się, że za chwilę pojawi się ktoś znajomy. I kiedy poczuła dotyk chłopaka, jego rękę na swoich ramionach – to znowu wróciło. W głowie zapaliła się ostrzegawcza lampka, a strach ścisnął żołądek.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła. – Zabieraj te łapy!

Kamil odsunął się. Jego mina wyrażała bezbrzeżne zdumienie.

– Hej, o co chodzi? Coś źle powiedziałem? Zrobiłem?

– Wszystko! Jesteś beznadziejny! I taki sam jak... – nie dokończyła.

Odwróciła się i zaczęła zbiegać ze schodów. Uciekała, chociaż wiedziała, że nie przed tym, który został na górze. Biegła i tak bardzo chciała usłyszeć za sobą tupot nóg Kamila. Chciała, żeby ją dogonił, o nic nie pytał i żeby było jak zawsze. Ale niczego nie usłyszała. Dobiegła do ulicy, nie odwracając się ani razu. I tak czuła, że chłopak stoi na górze, pod pomnikiem, i patrzy na nią. Biegła dalej, teraz chciała uciec przed samą sobą, chociaż wiedziała, że to się nie uda.



Tamara zaplanowała na dziś spokojny wieczór. Chciała zrobić coś dobrego na kolację, może pieczone skrzydełka w miodzie i jakąś sałatkę, bo Marysia to lubiła. Usiądziemy razem – myślała. – Pogadamy, pośmiejemy się. Zaplanujemy jakiś wypad po zakupy, bo pora kupić coś na cieplejsze dni. Z poświętecznej premii jeszcze sporo zostało, więc będzie można zaszaleć.

– Cześć! – krzyknęła w przedpokoju. – Wróciłam!

Córka nie odpowiedziała. Pewnie ma słuchawki na uszach i nie słyszy – domyślała się Tamara. – Zawołam ją na kolację.

Podśpiewując pod nosem, przygotowywała posiłek. Skrzydełka skwierczały w piekarniku, a ona kroїła pomidory i oliwki do greckiej sałatki. Ciach, ciach, ciach – mruzczała pod nosem. – Ciach, ciach i już. Gotowe.

– Marysiu! Kolacja!

Postawiła salaterkę na stole, obok dzbanek z gorącą herbatą. Marysia nie wychodziła z pokoju. Tamara westchnęła i pokręciła głową z dezaprobatą. Ogłuchnie przez te słuchawki – pomyślała i poszła do pokoju córki.

– Płaczesz? – Właściwie to, co zobaczyła, wystarczyło za odpowiedź. Nastolatka leżała na łóżku z twarzą ukrytą w poduszce. – Co się stało?

Usiadła na brzegu materaca i dotknęła ramienia córki.

– Marysiu...

Dziewczyna odwróciła zapłakaną twarz w kierunku matki.

– Pokłóciłam się z Kamilem – pociągnęła nosem.

– To się przecież zdarza. O co poszło?

– Nie chciałam, żeby przychodził pod szkołę. A on przyszedł.

– Wstydzisz się go?

– Kamil powiedział tak samo. – Kolejne łzy spłynęły po policzkach Marysi.

– No bo tak to wygląda, niestety.

– Ale przecież ja się go nie wstydzę.

– A powiedziałaś mu to?

– Chyba nie do końca. – Marysia usiadła, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami.

– To może powiedz do końca, co? Kamil wygląda mi na rozsądnego chłopaka, więc powinien zrozumieć. No i wyjaśnij mu, dlaczego nie chcesz, żeby przychodził pod szkołę.

– Nie mogę! – Dziewczyna energicznie zaprotestowała.

Tamara spojrzała na córkę uważnie.

– Dlaczego?

– Bo... bo nie!

– Hmm... Mnie to nie przekonuje...

– Ale naprawdę nie mogę.

– Czy ktoś ci dokucza? Coś złego się dzieje? – Tamara wyczuła, że córka ma kłopot większy niż tylko kłótnia z Kamilem. Nie chciała zbyt mocno naciskać, ale musiała spróbować. – Może mogę coś zrobić, jakoś pomóc?

– Nie dasz rady. – Oczy córki znowu napełniły się łzami. – Nikt mi nie pomoże...

– Dziecko, teraz to już naprawdę się martwię. I chciałabym wiedzieć. – Tamara poczuła, że zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Próbowała jakoś powiązać to, co powiedziała Marysia i zrozumieć, wysnuć jakieś wnioski, ale nie potrafiła. – Czy... czy zrobiłaś coś...?

Córka odwróciła głowę w stronę okna.

– Nie ja. To Oskar...

– Nachodzi cię? Zastrasza? – Na sam dźwięk imienia tamtego chłopaka Tamara gotowa była do działania. – Przychodzi pod szkołę?

– Nie, mamo. Nie musi. Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Najlepiej wprost. Bo bardzo chcę zrozumieć, ale na razie nie potrafię.

– To trudne. I nie wiem, no nie umiem jakoś tego wyrazić... – otarła nos rękawem bluzy. – Bo on, Oskar znaczy, jakby cały czas był. Niby o nim nie myślę, ale ciągle jest.

– Nadal jesteś w nim zakochana?

– Nie! – Marysia zaprzeczyła. – Ja go nienawidzę! Tylko... to, wiesz, to wszystko ciągle mi się śni. Ale już coraz rzadziej... Tylko... ja przez tamto... no boję się, że będzie tak samo...

Tamara zaczynała rozumieć. Pogłaskała dłoń córki.

– Nie możesz zapomnieć? I przez to ciężko ci zaufać Kamilowi?

Marysia pokiwała głową. Nie było jej łatwo mówić o takich rzeczach matce, wstydziała się trochę, ale już dłużej nie mogła ukrywać, dusić w sobie tego wszystkiego.

– Widzisz, ja to rozumiem. Po rozstaniu z twoim ojcem też długo nie potrafiłam zaufać żadnemu mężczyźnie. Bardzo długo...

– To ja będę musiała też tak długo czekać?

– Tego nie wiem. Ale mam pewien pomysł. Może powinnaś porozmawiać o tym z jakimś psychologiem albo terapeutą? O ile oczywiście się zgodzisz.

– A to mi pomoże?

– Tego też nie wiem, ale chyba nie zaszkodzi spróbować?

Marysia nie wyglądała na przekonaną. Nadal miała smutne oczy. Tamara z troską patrzyła na córkę. Jaką krzywdę zrobił jej ten gnojek! – pomyślała. – Biedne dziecko...

– Zastanowię się jeszcze – powiedziała dziewczyna po chwili milczenia.

– Oczywiście. I daj mi znać, gdybyś się zdecydowała.

– A myślisz, że powinnam napisać do Kamila?

– Jeżeli czujesz, że powinnaś... I chcesz...

– Wybacz mi?

– Nie wiem, ale mówiłam ci, że wygląda na mądrego chłopaka, więc jeżeli z nim szczerze porozmawiasz, to powinien zrozumieć.

Córka przysunęła się do Tamary i położyła jej głowę na kolanach. Robiła tak w dzieciństwie, kiedy było jej źle. Wtedy matka głaskała ją po głowie, dopóki, jak mówiła, nie wygłaskała wszystkich smutków. Teraz też gładziła blond włosy Marysi. Siedziały tak, w milczeniu, ale słowa nie były im teraz potrzebne. Najważniejsza była bliskość, poczucie, że mogą na siebie liczyć, że się rozumieją i wspierają.



Ewie Dobrosz trudno było odnaleźć się w roli pacjentki. Siedziała na twardym krzeselku przed gabinetem lekarskim już drugą godzinę i zastanawiała się, ile jeszcze przed nią. Próbowwała czytać, ale nie mogła się skupić na lekturze. Świadomość, że jest w miejscu, gdzie leczy się ludzi, pobudzała w niej chęć do działania. Przyglądała się pracy rejestratorki i ledwie mogła się powstrzymać od komentarzy.

Za czasów, gdy pracowałam, takie rzeczy były nie do pomyślenia – stwierdziła. – Czy naprawdę to wszystko wina nieprzemyślanych urzędniczych decyzji?

Z każdą chwilą była coraz bardziej zniecierpliwiona. Właściwie do tej pory nie musiała korzystać z porad lekarskich. A jak się dobrze zastanović, to nigdy nie korzystała. Na drobne przeziębienia nie zwracała uwagi, po prostu brała jakiś lek przeciwgorączkowy i szła do pracy. Raz złamała nogę, w szpitalu zresztą, kiedy biegła na Izbę Przyjęć, bo przywieźli kogoś z wypadku w ciężkim stanie. Wtedy koleżanka zagipsowała, a Ewa pracowała dalej. Nie poszła nawet na zwolnienie.

– Nie pracuję nogą – stwierdziła i poprosiła tylko o krzeselko przy stole operacyjnym.

No i jeszcze usunięcie pęcherzyka żółciowego. Wtedy tak, nie było wyjścia, musiała leżeć w szpitalu. Tyle że wszyscy ją znali i na brak opieki i zainteresowania nie mogła narzekać. Czasami nawet wizyty personelu z różnych oddziałów bywały uciążliwe. Za to każda jej prośba czy polecenie były natychmiast spełniane.

Zresztą dawniej wszędzie był porządek – wspominała. – Każdy wiedział za co odpowiada i robił swoje bez gadania. A pielęgniarki nosiły czepki, wykrochmalone fartuszki, które zasłaniały więcej niż pośladki i nie miały takich pazurów...

– A co ja panu poradzę? – Młoda rejestratorka nawet nie spojrzała na starszego pana, który stał przy ladzie. – Nie mam już miejsc na dzisiaj. Zresztą rejestracja była do dziewiątej, a już jest piętnaście po.

Staruszek nie dyskutował. Powoli, krok za krokiem, skierował się do wyjścia.

Za moich czasów nie do pomyślenia. – Ewa pokręciła głową z dezaprobatą. – Czy ta panna nie widzi, że ma do czynienia ze starym i schorowanym człowiekiem?

Sama też czuła się potraktowana przedmiotowo. Nie była przyzwyczajona do takich sytuacji. Dotychczas średni i niższy personel wykonywał jej polecenia, więc niełatwo było przyjąć do wiadomości, że tutaj nie jest ordynatorem, nie jest nawet lekarzem, a tylko jednym z wielu pacjentów.

Dzisiaj i tak było lepiej. Tydzień temu, gdy zdecydowała się przyjść po raz pierwszy, czuła się jak w innej rzeczywistości. Po kilka razy musiała o wszystko pytać, a tłok przy rejestracji tak ją zaskoczył, że niewiele brakowało, a zrezygnowałaby ze swoich planów. Słyszała oczywiście o tym, że trudno dostać się do lekarza, ale sądziła, że media i ludzie jak zwykle wszystko wyolbrzymiają. Teraz przekonała się na własnej skórze, że naprawdę jest źle.

Czy nie można ludzi umawiać na konkretne godziny? – zastanawiała się. – Dlaczego muszę tu czekać tak długo? Przecież mogłabym spokojnie przyjść na dziesiątą. I nie byłoby tutaj takiego tłoku. Ludzie zdrowi siedzą obok chorych, dzieci przy dorosłych – to jakiś koszmar! I nie ma wystarczająco dużo krzesełek.

– Pani doktor! Co pani tutaj robi? – Jakiś głos wyrwał ją z zamyślenia. Przed nią stał dość młody mężczyzna w białym fartuchu. Nie przypominała sobie, żeby go znała.

– Pani Kasiu! – Mężczyzna krzyknął w kierunku rejestratorki. – Proszę zaprowadzić panią doktor do mojego gabinetu i przynieść kartę. Ja zaraz przyjdę.

– Oczywiście, panie doktorze.

Dziewczyna w różowym fartuchu natychmiast wyszła zza swojej lady. Widocznie jednak obowiązują tu jeszcze jakieś zasady – pomyślała Ewa. – Albo tej Kasiu podoba się młody lekarz.

– Proszę za mną. – Rejestratorka tym razem popatrzyła na pacjentkę, a nawet się uśmiechnęła.

Ewa Dobrosz poszła za dziewczyną, odprowadzana złym wzrokiem i cichymi komentarzami innych pacjentów. Nie zwracała jednak na nie uwagi. Wreszcie poczuła się tak, jak dawniej. Szła białym korytarzem, pewnym krokiem, była znowu uprzywilejowana i odpowiednio traktowana. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Nadal jednak nie wiedziała, skąd zna młodego lekarza.

Zapytała go o to, gdy tylko wszedł do gabinetu i zajął miejsce za biurkiem.

– Skąd pan doktor wie, że jestem lekarzem?

– Byłem na stażu w szpitalu – wyjaśnił. – I pierwszego dnia nie mogłem niczego znaleźć. Wie pani, młody i zagubiony. A jakoś chętnych do pomocy nie było. Dlatego doskonale pamiętam, że kiedy szukałem tomografii, spotkałem panią na korytarzu. I pani, jako jedyna, nie tylko mi wszystko wyjaśniła, ale nawet mnie pani tam zaprowadziła. Do tej pory się śmieję, że gdyby nie pani, to chyba nie przyszedłbym następnego dnia i nie byłbym lekarzem – roześmiał się i sięgnął po kartę Ewy.

Lekarka nie pamiętała tego spotkania. Widocznie nie zwróciła nawet uwagi na młodego stażystę. Niemniej jednak zrobiło jej się miło. Proszę – pomyślała – jeszcze mnie pamiętają. I wspominają dobrze.

– Pani doktor, wszystkie wyniki są bardzo dobre. Nie widzę powodów do niepokoju. – Lekarz raz jeszcze przeglądał karteczki z badaniami. – Widzę, że skarży się pani na ból w klatce piersiowej, tak?

Ewa Dobrosz pokiwała głową.

– EKG jest w porządku – stwierdził. – Możemy ewentualnie powtórzyć, chociaż ja nie widzę powodu. Ale jeżeli pani doktor chce... Mogę jeszcze dorzucić próbę wysiłkową.

– Chyba nie ma takiej potrzeby – powiedziała kobieta. – Jeżeli pan doktor twierdzi, że wszystko w porządku.

– A ten ból – nadal go pani odczuwa?

– Chwilami tak.

– A w której części klatki piersiowej?

– W środkowej – odpowiedziała, chociaż czuła, do czego zmierza lekarz. Najchętniej już opuściłaby gabinet. Zdecydowała się na badania, bo chciała mieć pewność, że fizycznie wszystko jest w porządku. Żeby nie mieć potem pretensji do siebie samej, że coś zlekceważyła albo zaniedbała. Dostała to, o co jej

chodziło i na tym chciała zakończyć sprawę. Jednak młody lekarz najwyraźniej postanowił zadbać o koleżankę z branży.

– A może to na tle nerwowym? Czy pani doktor ma ostatnio więcej stresu? Jakies problemy?

– Panie doktorze. – Ewa Dobrosz przyjęła ton, na dźwięk którego większość jej podwładnych czuła lęk.

– Bardzo dziękuję za poradę. Myślę, że to mi wystarczy. Jestem zdrowa, tego chciałam się dowiedzieć.

Lekarz podniósł wzrok znad karty.

– Oczywiście. Jest pani przecież lekarzem, więc mnie pani nie potrzebuje – powiedział to spokojnie, bez ironii, ale tak, że Ewie przez chwilę zrobiło się wstyd. W końcu potraktował ją dobrze, okazał szacunek.

– Źle mnie pan zrozumiał – powiedziała. – Cenię pańskie zdanie, zawsze słuchałam opinii kolegów. Czy w takim razie mógłby pan doktor wypisać mi coś na uspokojenie? – Wiedziała, że i tak nie weźmie ani jednej tabletki, ale chciała pokazać, że docenia starania lekarza.

– Oczywiście. I może odwiedzi mnie pani za miesiąc?

– Jeżeli ból nie ustąpi, to tak.

Obydwoje wiedzieli, że nie przyjdzie, ale każde z nich grało swoją rolę do końca. Ewa Dobrosz przyjęła receptę i podziękowała, a młody doktor odprowadził ją do drzwi.

– Do widzenia, pani doktor. Życzę zdrowia.

– Dziękuję. Powodzenia w pracy – odwzajemniła grzecznościowe formułki i ruszyła do wyjścia.

– Następnym razem, proszę! – usłyszała za plecami.

Receptę schowała do kieszonki w głębi torebki i natychmiast o niej zapomniała. Doskonale wiedziała, że na ten ból w klatce piersiowej żaden lek nie pomoże.



– Dzień dobry, czy zastałam panią Zofię?

Patrzyła na mężczyznę w kraciastej koszuli, która opinała się na wydatnym brzuchu i zastanawiała się, czy guziki wytrzymają ten napór i nie wystrzelą za chwilę we wszystkie strony.

– Mamusia nie ma czasu na gości. Jest zajęta w ogrodzie – powiedział, nie siląc się nawet na odwzajemnienie pozdrowienia. Zrobił ruch, jakby chciał zamknąć drzwi, ale Tamara dodała szybko:

– To wielka szkoda, bo chciałam się z nią rozliczyć.

Zadziałało. Mężczyzna cofnął rękę.

– A, to pani jest ta z miasta?

– Tak. Tamara Sokołowska.

Mężczyzna za nic miał zasady dobrego wychowania. Nie zamierzał się przedstawić. Drapiąc się po karku, powiedział:

– To niech pani idzie za dom. Tam ogród jest.

Skoro on nie musiał być uprzejmy, Tamara także zrezygnowała z kurtuazji. Odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach.

– A jak już się widzimy, to powiem, że nie życzę sobie, żeby na moje dzieci krzyczeć – usłyszała.

Odwróciła głowę.

– To ja powiem, że za znęcanie się nad zwierzętami grozi kara grzywny lub więzienia.

– Niech mnie pani więzieniem nie straszy! – Zięć Zofii skrzyżował ręce na piersi i stanął w rozkroku.

– A pan niech nie podnosi głosu. Ja nie straszę, tylko informuję. Pana syn krzywdzi kota. To karalne.

– Kotu się krzywdza nie dzieje. Jakoś dalej żyje. I myszy łapie. Tu nie miasto, tu zwierzęta nie są do

zabawy.

– Ale i nie do bicia.

– Niech mi się pani do rodziny nie wtrąca. – Mężczyzna wycelował palec w stronę Tamary. – Bo mamusi zabronię do pani chodzić i tyle z tego będzie. A jak już mowa o tym, to pani niby taka troskliwa, o kota się martwi, a ludzi wykorzystywać to pani nie żal.

Widząc minę kobiety, uśmiechnął się triumfująco.

– Ja przynajmniej swoim pracownikom dobrze płacę za robotę. Jak należy, według stawek rynkowych. A nie, za psi grosz korzystać.

Tamara chciała zaprotestować, ale pomyślała, że nie opłaci jej się otwarty konflikt z zięciem pani Zofii. A jeżeli naprawdę zabroni jej przychodzić? Nie powiedziała więc nic, zostawiając mężczyznę z poczuciem zwycięstwa.

Zofia rzeczywiście była w ogrodzie. Schylona plewiła grządki. Na widok Tamary wyprostowała się powoli, położyła rękę na plecach, a drugą poprawiła opadającą na oczy chustkę.

– Coś się stało pani Róży? – zapytała.

– Nie, wszystko w porządku – zapewniła szybko Tamara. – Przyszłam się z panią rozliczyć za poprzedni tydzień.

– Przecież nie trzeba było. Ja mogę poczekać.

– Ale ja przyniosłam jeszcze pieniądze za babeczki.

Zofia rozejrzała się niespokojnie dookoła. Tamara zrozumiała, że kobieta nie chce, żeby ktoś usłyszał. Zniżyła więc głos i podeszła bliżej.

– Mam kolejne zamówienie. Na trzydzieści. Koleżanka chciałaby na urodziny córki. Tylko że musiałyby być na pojutrze, żebym mogła zabrać, bo ta impreza jest w piątek po południu.

Zofia pokiwała głową na znak zgody.

– Dobrze, pojutrze, jak będę u pani Róży, to upiekę. Będą na świeżo.

Tamara podała jej dyskretnie banknoty.

– Ale to za dużo. Przecież to tylko jajka i mąka, i trochę cukru. Tyle nie kosztuje...

– Tu nie za składniki się płaci, tylko za pani talent – uśmiechnęła się Tamara. – Co, nie przyda się pani?

– A przyda, przyda. – Zofia odwzajemniła uśmiech, ale zaraz spoważniała. Tamara spojrzała w bok i zobaczyła, że zięć kobiety wyszedł na balkon i przygląda się ich rozmowie.

– Chyba powinnam już iść – zdecydowała. – Ale jeszcze jedno. Pani Zofio, czy ja pani za mało płacę? Proszę szczerze powiedzieć. Bo zięć mówił, że...

– On już taki jest – przerwała jej pospiesznie Zofia. – Ja nie mam żadnych pretensji.

– Pani Zofio, ja nie chcę, żeby się pani czuła wykorzystywana, naprawdę.

Zofia, swoim zwyczajem, wbiła wzrok w ziemię.

– Bo, pani Tamaro, ja im nie wszystko oddaję, i dlatego on tak. Zbieram na prezenty dla wnuków...

– Oczywiście, rozumiem. – Tamarze zrobiło się żal starszej kobiety. – To nie przeszkadzam dłużej – zerknęła na mężczyznę, który nadal stał na balkonie. – Spotkamy się pojutrze, to spokojnie porozmawiamy.

Zofia pokiwała głową.

Idąc do samochodu, Tamara zastanawiała się nad tym, co widziała. Synek najwyraźniej wdał się w tatusia – pomyślała o Krzysiu i zięciu Zofii. – Tak samo gburowaci i pozbawieni wyższych uczuć. Coś strasznego! Biedna ta pani Zofia, że musi z nimi żyć. – Przypomniała sobie schyloną nad grządki postać. – Byk sobie leży, a starsza kobieta ciężko pracuje. Patrzyć się nie da, aż serce boli.

Postanowiła, że musi porozmawiać o tym z babcią Różą.





Tego dnia las wydawał się Marysi o wiele bardziej przyjazny niż podczas poprzednich spacerów. Zielone gałęzie drzew i krzewów szumiały wesoło, a słoneczne plamy tworzyły na ścieżce ciepłe plamy. Dziewczyna przeskakiwała z jednej na drugą. Mogła sobie pozwolić na taką dziecianną zabawę, bo przecież nikt jej nie widział. Zresztą miała dobry humor i nie potrafiła tego ukryć.

Przede wszystkim pogodziła się z Kamilem. Napisała do niego, chociaż bała się, że nie odpowie. Ale odpowiedział. Przeprosiła i zaproponowała spotkanie. A on się zgodził.

Powiedziała mu szczerze, dlaczego nie chce, żeby po nią przychodził. Co prawda twierdził, że ma gdzieś docinki i komentarze na swój temat, ale ustalili, że będzie tak, jak chce Marysia.

– Trzeba było od razu powiedzieć, o co chodzi – stwierdził na koniec.

Tak szczerze mówiąc, to nie powiedziała mu wszystkiego. Zwłaszcza o Oskarze. Bo jak tu mówić chłopakowi o takich sprawach? Nie umiała i nie chciała. Miała powiedzieć, że mu nie ufa? I że nie chce, żeby ją dotykał? To nie byłaby do końca prawda. Przecież mu ufała, nawet bardzo. I z tym dotykaniem to też nie tak. Bo Kamil mógłby to zrobić. Problem w tym, że ciągle wydawało jej się, że to Oskar. No i jak to wytłumaczyć, żeby chłopak zrozumiał i żeby się nie obraził?

W końcu zdecydowała, że pójdzie jednak do psychologa. Może ktoś taki będzie wiedział, jak jej pomóc. Matka umówiła ją z panią Elżbietą i Marysia musiała przyznać, że nie było źle. Na początku trochę się bała, ale pani Ela okazała się sympatyczną osobą.

Dowiedziała się od niej, że to, co czuje jest normalne i że każdy w podobnej sytuacji może tak reagować. To przyniosło ulgę – świadomość, że nawet jeśli to przykre, to przynajmniej nie jest nienormalna. Bo czasami już tak myślała.

Pani Ela powiedziała też coś, co Marysia zapamiętała szczególnie.

– Do niczego nie musisz się zmuszać. To ty decydujesz kto, jak i kiedy może cię dotykać. Tylko ty. I nie powinnaś się do niczego zmuszać. Jeżeli potrzebujesz czasu, to go sobie daj. Tyle, ile trzeba. Sama będziesz wiedziała, poczujesz, kiedy będziesz gotowa. A druga strona, chłopak czy mężczyzna, powinien to uszanować. Nawet jeżeli nie do końca rozumie. Jeśli tego nie potrafi – nie jest wart, żeby z nim być.

Tak, da sobie czas. Nie będzie się zmuszała. W końcu zapomni o Oskarze, na pewno. Już trochę zapomniała. A Kamil na pewno nie będzie nalegał. Przecież nawet teraz nie miał pretensji, nie wypytywał i nie robił nic na siłę. A skoro pani Ela powiedziała, że kiedyś sama pocuję, że mogę, to znaczy, że tak będzie.

Nie umawiały się na kolejne spotkanie, ale Marysia wiedziała, że jeżeli będzie tego potrzebowała, to już bez obaw spotka się z panią Elżbietą. I cieszyła się, że jednak spróbowała.

I teraz, z lekkim sercem, mogła skakać po leśnej dróżce. Nawet nie wiedziała, że las może być taki piękny. Wychowywała się w mieście i rzadko miała okazję dłużej obcować z naturą. Czasem podczas wycieczek szkolnych albo wypadów za miasto z matką. Ale wtedy nie miała czasu na dłuższe obserwacje, zawsze znajdowało się coś bardziej atrakcyjnego. I nigdy też nie była sama.

Odkąd zaczęła przyjeżdżać do Borowej, doceniła samotne spacerowanie. Nic jej nie przeszkadzało, mogła spokojnie pomyśleć, niczego nie udawać. I więcej widziała. Na przykład teraz – gdyby szła z kimś, to, zajęta rozmową, na pewno nie usłyszałaby nieznanego dźwięku, nie zwróciłaby na niego uwagi, a przez to nie zobaczyłaby cudnego dzięcioła. Miał czarne skrzydełka, biały brzusek, czerwone piórka, które tworzyły na łebku jakby berecik i zawzięcie stukał dziobem w korę. Nigdy wcześniej nie widziała dzięcioła. To znaczy, widziała na zdjęciach, ale tak naprawdę, w lesie, to nie.

Celem dzisiejszego spaceru był oczywiście stary dworek. Wiele razy zastanawiała się, co się dzieje

z pieskiem. Obiecała przecież, że znajdzie mu dom. Tylko że nie powiedziała nikomu w białym domku o swoich wycieczkach do dworku, więc nie mogła nagle pytać, czy ktoś nie chce szczeniaka. A na wsi nikogo nie знаła. Martwiła się, co zrobi, ale zdecydowała, że po prostu zabierze psiaka i zanieś do babci Róży. Trudno. Będzie się tłumaczyć ze swoich tajemnic, przeprosi, ale pieskiem zaopiekować się musi. Miała tylko nadzieję, że zwierzątko ma się dobrze i że mieszkanki dworu nadal się nim opiekują.

Spieszyła się, ale nie mogła nie przystanąć. To, co zobaczyła, zachwyciło ją. Podobne widoki podziwiała tylko w sieci i zwykle sądziła, że ich wspaniałość to zasługa programów graficznych. Tymczasem przyroda pokazała jej swoje naturalne piękno, które nie wymagało żadnych poprawek.

Jak okiem sięgnąć, pod drzewami rozciągał się dywan z kwiatów. Niewielkie dzwoneczki tworzyły biały kobieriec, przetykany zielenią listków. A między nimi leniwie płynął strumyk, tworząc nieregularne zakola. Pokryte mchem kamienie zabarwiały wodę na zielonkawy kolor, a korzenie drzew, spomiędzy których woda wypłukała ziemię, tworzyły brązowo-brunatną płataninę wzdłuż brzegów. Na jednym z korzeni usiadł mały, rudawy ptaszek i głośnym trelem oznajmiał swoją obecność.

Marysia stała wpatrzona w wiosenny pejzaż. Pomyślała, że powinna zrobić zdjęcie, ale nawet nie sięgnęła po telefon. Czowała, że żadna fotografia nie odda tego, co widzi i czuje.

Schyliła się, żeby z bliska obejrzeć kwiaty. Nie miała zamiaru ich zrywać. Lepiej, żeby tutaj rosły – pomyślała. – W wazonie zwiędną i na pewno nie będą wyglądać tak pięknie.

Wciągnęła powietrze i poczuła słodki zapach. Skądś go znała, ale nie mogła sobie przypomnieć skąd. Kto tak pachniał? Nie, nie przypomni sobie teraz.

Niechętnie opuszczała malownicze miejsce, ale wiedziała, że musi załatwić sprawę szczeniaka. Obiecała sobie jednak, że wracając, znowu się tutaj zatrzyma, choćby na chwilę, żeby powąchać te białe kwiatuszki. A teraz do dworku! – zdecydowała.

Kiedy doszła do posiadłości, zobaczyła, że studnia została przykryta drewnianą pokrywą, którą przymocowano do cembrowiny. W pokrywie była kłapa, teraz zamknięta na dużą czarną kłódkę. Ciekawe, kto to zrobił – zastanawiała się dziewczyna. – Bo przecież nie te staruszki. Zresztą, nieważne kto. Przynajmniej już żadne biedne zwierzątko się tu nie utopi.

Podeszła do dwuskrzydłowych drzwi i zawahała się. Zapukać? Na pewno już wiedziały, że idzie. Przecież poprzednio ta staruszka z laską pojawiała się natychmiast, gdy tylko wchodziła na ich teren. To oznaczało, że bacznie obserwowały okolicę. A teraz nic. Nikt nie wyszedł, nie zainteresował się nią. Może nie otworzą? Może nie chcą jej wpuścić?

Czyżby nie miały już pieska, i dlatego? – zastanawiała się.

Zanim zdążyła się zdecydować, jedno ze skrzydeł uchyliło się i usłyszała głos panny Zuzanny:

– Wchodzi czy nie wchodzi?

Weszła.

– Dzień dobry.

– Niech idzie do salonu.

Bez słowa poszła, tam, gdzie kazano. Tym razem druga staruszka siedziała przy oknie. Nogi miała okryte tym samym kocem w różę, a na nim spał zwinięty w kłębek szczeniaczek.

– I jak go znajdujesz? – zapytała staruszka.

– Wygląda bardzo dobrze. Chyba jest trochę większy... i grubszy – oceniła Marysia.

– Tak, na początku zwierzęta szybko rosą. A Zuzanna dba, żeby nie był głodny. Podejź, dziecko, bliżej. O, bardzo dobrze. Zobacz, jaki zadowolony. Najadł się i teraz śpi w słonceczku.

Rzeczywiście, piesek wyglądał naprawdę słodko. Przez sen poruszał uszkami i czarnym błyszczącym noskiem.

– Chyba mu się coś śni... – powiedziała dziewczyna. – Takie maleństwo...

– Tak, maleństwo. – Od drzwi dobiegł zrzędlawy głos Zuzanny. – A lekarz powiedział, że duży urośnie. Bo łapy ma grube.

– To on jest chory? – wystraszyła się Marysia.

– Zuzanno, nie strasz naszego gościa – upomniała łagodnie druga staruszka. – Zdrowy, tylko trzeba było go obejrzyć i zaszczepić, żeby taki pozostał.

– To dobrze – ucieszyła się nastolatka i przypomniała sobie, po co przyszła. – Ja paniom bardzo dziękuję za opiekę nad nim. Zabiorę go zaraz, żeby już nie robić kłopotu.

– Dom dla niego znalazła? – zapytała Zuzanna, siadając na jednym z foteli.

– No... jeszcze nie... ale go zabiorę do babci Róży.

– To i dobrze. Nie szukaj już, dziecko, bo nie potrzeba. On zostanie u nas. – Staruszka na wózkę pogładziła czarną sierść, a piesek pod wpływem pieśczości odwrócił się na grzbiet, pokazując różowy brzuszek.

– Naprawdę?

– Julia, jak się na coś uprze, to siły nie ma. Kolejny kłopot nam na głowę ściąga. – Zuzanna nie omieszkała wyrazić swojej opinii. – Jak to urośnie, to kto da radę wykarmić? I na co nam pies?

– Zuzanno, już rozmawialiśmy na ten temat – ucięła Julia swoim ciepłym głosem i Zuzanna zamilkła.

– Zostanie u nas, jak mówiłam. Będzie się nazywał Kronos. W dzieciństwie miałam podobnego psa i tak właśnie miał na imię... – zamyśliła się, wspominając.

– Też tutaj mieszkał? – zainteresowała się Marysia.

Julia natychmiast powróciła ze świata wspomnień do rzeczywistości.

– Tutaj czy nie tutaj, co to za różnica. Ten zostaje. Nie ma o czym mówić – popatrzyła na Marysię tak, że dziewczyna natychmiast poczuła, że powinna już iść.

– A czy mogę czasami przyjść go odwiedzić? – odważyła się na pytanie. Polubiła pieska, czuła się z nim związana. W końcu uratowała mu życie, więc chyba mogłaby patrzeć jak rośnie...

Julia popatrzyła na nią przenikliwym wzrokiem.

– Czasami tak – powiedziała, a Marysia odetchnęła z ulgą.

– Byle nie za często się tu kręciła – dodała z fotela Zuzanna.

– Oczywiście.

Dziewczyna pożegnała się i wyszła. Julia, choć zamyślona, nie przestawała gładzić pieska. Wreszcie powiedziała:

– Zuzanno, czy ty wiesz, jak ona ma na imię?

– A skąd mam wiedzieć? Nie przedstawiła mi się. Taka to dzisiejsza młodzież...

– Ona ma na imię Marysia.

W dworcowym salonie zapanowała cisza. Słyszałoby tylko posapywanie śpiącego szczeniaka i tykanie zegara. Po chwili dołączył odgłos nerwowego postukiwania. To laska Zuzanny przekazywała emocje swojej właścicielki.



– Pójdę zapytać Szymona, co z tym drewnem – powiedziała Tamara do babci Róży. Chciały zacząć gotowanie, a nie miały czego dorzucić pod kuchnię. Co prawda była jeszcze kuchenka z butlą gazową, ale wystarczała, gdy babcia gotowała tylko dla siebie. Duży garnek nie mieścił się na palnikach, a na dziś zaplanowały solidną porcję bigosu, którego część chciały zamrozić, więc kuchnia była niezbędna.

Tymczasem Łukasz nie pokazywał się od kilku dni i babcia zużyła przyniesiony przez niego zapas na

opalenie domku. Noce nadal były zimne, więc jeszcze nie przestała ogrzewać pomieszczeń.

Poprzedniego dnia Tamara chciała nawet uzupełnić braki, ale okazało się, że Łukasz nie przygotował mniejszych drewn. Przy stodole były tylko duże kawałki drewna, które dopiero wymagały porąbania. Gotowa była się do tego zabrać, ale kiedy wieczorem zajrzał Szymon i opowiedziała mu o swoim zamiarze, natychmiast zadeklarował się z pomocą.

To właśnie jest różnica pomiędzy odpowiedzialnym mężczyzną a dupkiem, na którego nie można liczyć – pomyślała.

Polubiła Szymona. Przychodził właściwie w każdy weekend. Chodzili na spacer, a raz nawet zaprosił ją do swojego domu. Mieszkał sam, bo pochodził z okolic Ostrowca Świętokrzyskiego, gdzie zostali jego rodzice.

Był dumny ze swojego domu. Musiała przyznać, że miał ku temu powody. Na szczęście nie postawił piętrowego kłocka, jak inni mieszkańcy wsi, ale przyjemny w formie dom z poddaszem. Z zewnątrz wyglądał na niewielki i Tamara była zaskoczona, gdy okazało się, że ma w sumie pięć pokoi, dużą kuchnię połączoną z jadalnią i dwie łazienki.

– Po co ci taki duży dom? – zapytała i natychmiast ugryzła się w język, bo zrozumiała swoją niezręczność. – Przepraszam, nie musisz odpowiadać. Wiem, jestem niedyskretna.

– Daj spokój! – Szymon machnął ręką. – Żadna tajemnica. Cała wieś wie, więc gdybyś spytała kogokolwiek, toby ci powiedział. Po prostu kiedyś miałem tu dziewczynę. I plany. Dlatego chciałem jak najszybciej postawić ten dom. Żeby było dla żony, dla dzieci. Ale ona się rozmyśliła. Wolała zamieszkać w mieście i nie ze mną.

– Tak mi przykro.

– A mnie już nie. Wtedy to pewnie było. Chciałem wyjechać. No ale pomyślałem, że szkoda domu. Włożyłem w niego wszystko, co miałem. No to zdecydowałem, że zostaję. I tak jestem do dzisiaj.

– Bardzo tu ładnie – oceniła Tamara.

Rzeczywiście, pokoje były słoneczne i przestronne, większość, jak na dom leśniczego przystało, wykończono drewnem. Za to w kuchni nie brakowało nowoczesnego sprzętu. No i kamienny kominek w salonie, który wzbudził zachwyt Tamary. Brakowało tu tylko kobiecej ręki – dodatków, może kwiatów czy obrazków. Tego wszystkiego, co sprawia, że dom staje się ciepły, zyskuje atmosferę i powoduje, że chce się do niego wracać.

– Cieszę się, że ci się tutaj podoba. Miejsca jest dużo...

– Mieliliśmy gdzieś jechać, prawda? – przerwała mu, bo bała się, że powie coś, co mogłoby ją postawić w kłopotliwej sytuacji.

– A tak, rzeczywiście. Chciałem ci pokazać pewne miejsce.

Pojechali do lasu, a właściwie do starej piaskowni. Od lat nikt z niej nie korzystał, wjazd zagrodzono zielonym szlabanem. Las powoli brał we władanie to miejsce. Na piaszczystych ścianach wyrastały już pierwsze rośliny, utwardzając podłoże i przygotowując je na przyjęcie grubszych i mocniejszych korzeni krzewów. Młode sosenki zajmowały już przyczółki na mniej stromych zboczach, a dno tworzącego się wąwozu porastała trawa i jagodowe krzewinki.

– Urokliwe miejsce – uznała Tamara. – Dobrze, że już nikt go nie niszczy.

– Sam postawiłem ten szlaban – pochwalił się Szymon. – Chłopi przyjeżdżali i brali piach na budowę całkiem darmo. Całe ciężarówki. A ty wiesz, ile to kosztuje?

– Pojęcia nie mam – wzruszyła ramionami Tamara.

– Właśnie. Ale oni mają. Cały las by rozkradli, jakby nie pilnować.

– Na szczęście jest tu taki doskonały strażnik jak ty – zażartowała.

Szymon też się roześmiał. Wszedł na skarpe i podał jej dłoń.

– A nie możemy wyjść normalnie? – zapytała, wdrapując się na górę.

– Możemy. Ale wtedy nie mógłbym cię trzymać za rękę.

Taki właśnie był. Dowcipny i miły. I troskliwy. Tydzień wcześniej przywiózł babci Róży całą przyczepkę sztachet. Nikt go o to przecież nie prosił. I nie chciał zapłaty.

– Znajomemu zostało i chciał wziąć do palenia. To wymieniłem się z nim na takie resztki, co z wycinki zostały – powiedział babci. – Nic mnie to nie kosztowało, a na pani zarabiał nie będę. Niech Łukasz weźmie i naprawi płot od strony lasu, to w przyszłym roku zwierzęta nie narobią szkód w sadzie.

A teraz pomagał, chociaż nie musiał. Przyjechał z samego rana i zabrał się do pracy. Nawet kawy nie chciał wypić.

– Najpierw praca, potem przyjemność – żartował.

Tylko strasznie długo to trwało. A one potrzebowały chociaż trochę drewna na rozpałkę. Może nie wiedział, że nic już nie ma w domu? – pomyślała Tamara. – Pójdę i sama wezmę chociaż kilka szczap.

Wyszła na podwórko i odetchnęła głęboko. Uwielbiała to powietrze – kryształowo czyste, pachnące żywicą i lekko wilgotne. Poprawiła włosy opadające na policzki i poszła w kierunku obórki, pełniącej teraz funkcję kurnika, za którą stał pieńek do rąbania drewna. Zdziwiło ją, że nie słyszy odgłosów siekiery, ale pomyślała, że pewnie Szymon zrobił sobie przerwę.

Podchodząc bliżej, usłyszała, że leśniczy z kimś rozmawia. Zatrzymała się. Drugi głos też wydawał jej się znajomy. Tak, to był Łukasz. Zrobiła ostrożnie jeszcze kilka kroków i przystanęła przy ścianie obórki. Zaczęła nasłuchiwać.

– Żeby ci to szybko szło, to nie można powiedzieć. – Łukasz mówił ze spokojem, jakby po prostu stwierdzał fakt.

– Nie mam takiej wprawy jak ty. Na co dzień używam raczej mózgu niż mięśni. – W głosie Szymona słychać było złość.

– O tak, trzeba się nieźle nagłówkować, żeby tak kombinować jak ty i nie wpaść.

– Nie twój interes.

– Na szczęście. A tutaj nie twój, więc możesz już iść.

– Ja nie dla ciebie to robię, tylko dla Tamary. – Szymon był coraz bardziej zdenerwowany, słyszała wyraźnie, zwłaszcza że mówił coraz głośniejsze.

– To jest pani Róży. Tamara nic do tego nie ma. – Łukasz wciąż wydawał się zupełnie spokojny.

– Ale kiedyś będzie miała. To chyba oczywiste.

– A, więc o to ci chodzi – drwiąco roześmiał się Łukasz. – Że niby wszystko odziedziczy, tak? A tobie już się marzy gospodarka i las, i hektary. Już wszystko zaplanowałaś? Wznieć się w to chcesz?

– Nic ci do tego. – Szymon chyba wbił siekiere w pieńek, bo Tamara usłyszała głuchy odgłos. – I w ogóle co cię to obchodzi? Z tego, co widziałem, to raczej za nią nie przepadasz.

– Ale nie aż tak, żeby czekać aż skończy jak Gośka.

– Jeżeli coś jej powiesz...

Tamara usłyszała odgłosy szamotaniny. Co tam się dzieje? – pomyślała. Wychyliła się delikatnie zza rogu i zobaczyła, że Szymon przyparł Łukasza do ściany stodoły i trzyma go za poły kurtki. Pora interweniować – stwierdziła i już miała wyjść zza budynku, gdy usłyszała głos Łukasza:

– Jestem raczej małowówny.

– Widzę, że zrozumiałeś – odpowiedział Szymon z zadowoleniem w głosie.

– A ja widzę, że ty nie zrozumiałeś. Nie będę się odzywał, tylko się przyglądał. Więc nie przeginaj. A teraz stąd spadaj, to moja robota.

– To trzeba było nie chlać trzy dni i ją zrobić. Pani Róża palić nie ma czym – próbował jeszcze odgryźć się Szymon.

– Zaraz będzie miała. Zjeżdżaj!

Nigdy nie słyszała takiej stanowczości w głosie Łukasza. I jeszcze czegoś, czego nie umiała nazwać. W ogóle cała sytuacja była dla niej nieco niejasna. Kim była Gośka, o której mówili? Jak niby skończyła i co miał z tym wspólnego Szymon? A już najbardziej zabolą ją sugestie Łukasza, że Szymon był nią zainteresowany wyłącznie dlatego, że liczył na spadek po babci Róży. Sama nigdy nawet nie pomyślała o czymś takim. Nie interesowało ją, czego i ile ma babcia. Nie przyjeżdżała tu dla domu czy pola, ale do osoby, którą pokochała jak własną rodzinę. Czy Łukasz widział w niej łowczynię spadków? A Szymon? Nie zaprzeczył, gdy usłyszał słowa Łukasza.

Nie mogła zebrać myśli. W głowie miała chaos. Usłyszała, że Szymon wkłada drewno do wiaderka, a to oznaczało, że za chwilę będzie szedł do domu.

Nie może mnie tutaj zobaczyć – pomyślała w popłochu. – Nie mogą wiedzieć, że słyszałam ich rozmowę.

Chwyciła koszyk, z którym przyszła i starając się nie robić hałasu, wycofała się w stronę domu. W połowie drogi, gdy była już pewna, że jej nie usłyszą, odwróciła się i szybko pokonała ostatnie metry.

– A gdzie drewno? – zapytała babcia, widząc Tamarę w drzwiach.

– Szymon zaraz przyniesie. Ja idę na spacer. – Rzuciła koszyk obok kuchni.

– Sama?

– Sama – potwierdziła i wybiegła.

Po chwili do kuchni wszedł Szymon z wiaderkiem pełnym drew.

– A gdzie Tamara?

– Poszła na spacer.

– Sama?

– Sama – potwierdziła babcia. – A tam kto rąbie, jak pan tutaj jest?

– Łukasz się pojawił. – Szymon skończył układanie drew przy kuchni i odstawił wiaderko do kąta. – Skoro Tamary nie ma, to ja już pójdę do swoich zajęć.

– Może pan się kawy napije, panie leśniczy – zaproponowała babcia Róża. – W podziękowaniu za pomoc.

– Nie trzeba. Ja tam niczego w zamian nie chcę. Sąsiadom bezinteresownie pomagam.

– To już jak pan uważa. – Róża Marcisz spojrzała spod oka na Szymona, ale nic więcej nie powiedziała.

– Gdybym był potrzebny, to Tamara wie, gdzie mnie szukać. Do widzenia.

– Do widzenia, panie leśniczy.



Tamara szła przed siebie. Chciała jakoś poukładać sobie w głowie to, co usłyszała. Zeszła nad zalew i stanęła na wzniesieniu przy brzegu. Nikogo oprócz niej nie było. Woda falowała spokojnie, skrzyła się od słonecznych promieni. Kaczki wygrzewały się na piaszczystej łasze przy mostku.

Kobieta zeszła niżej i kucnęła przy samym brzegu. Obserwowała fale zalewające piasek i unoszące się na wodzie liście. Z każdą chwilą emocje opadały, a rozpalone policzki chłodził lekki wiatr. Spokój i cisza pozwalały odzyskać równowagę i spojrzeć na niedawne wydarzenia z dystansem.

Co mnie to właściwie obchodzi? – pomyślała. – To są ich porachunki i ja nie mam z tym nic wspólnego. Przecież to tylko moi znajomi. Zdanie Łukasza to już w ogóle mnie nie interesuje. Wiadomo, co taki człowiek może sobie wymyślać podczas pijackich nocy? Pewnie dlatego Szymon nie wchodził z nim

w żadne dyskusje.

Obraz kłócących się mężczyzn zbladł i zubożał. Nie będzie zwracała sobie głowy tym, co myślą na jej temat. Z Szymonem chętnie pospaceruje po lesie, zresztą nigdy żadne z nich nie wspominało o czymkolwiek poza miłym wspólnym spędzaniem czasu. Nie ma o czym rozmyślać i psuć sobie weekendu.

Wyłowiała z wody nadpływający patyk i zaczęła nim kreślić wzorki na piasku. Jej rysunki trwały zaledwie chwilę, bo kolejne fale zmywały je, robiąc miejsce na następne fantazyjne kształty.

Jak w życiu – pomyślała Tamara. – Przeżywasz coś i wydaje ci się to ważne, a po chwili staje się mniej wyraźne, mało istotne, aż wreszcie całkiem znika. Takie rysowanie na piasku. Nie ma szans przetrwać. I dobrze. Jak coś jest ważne, to nie znika. Istotne sprawy zapisują się w sercu na długo i nie odchodzą w zapomnienie. Tak jak inicjały zakochanych wydrapane na drzewach, żeby miłość przetrwała.

Odrzuciła patyk daleko od brzegu i otrzepała dłonie z piasku. Pora wracać – pomyślała. – I pomóc babci przy obiedzie. Bo Marysia to pewnie będzie spała do południa, jak to w weekendy.



– Ja przyjadę jak zawsze, we wtorek.

Niedzielne popołudnie było ciepłe, więc Tamara wyniosła do sadu niewielki stolik, który znalazła w stodole. Wymyła go i oczyściła z największych kawałków odpadającej farby. Błat nakryła obrusem i uznała, że wygląda całkiem nieźle. W następny weekend go pomaluję i będzie jak nowy – zdecydowała. Podzieliła się tym pomysłem z babcią Różą, która nie miała nic przeciwko, jak to określiła Tamara, zorganizowaniu letniego kompletu wypoczynkowego.

– Nie musisz. Naprawdę. – Babcia siedziała w swoim fotelu, który Tamara z Marysią wspólnymi siłami wyniosły i ustawiły na trawie. Na głowie miała słomkowy kapelusz, w ręku szydełko i, jak zawsze w wolnej chwili, tworzyła kolejne cudo zamówione przez sąsiadki. – Pani Zofia przychodzi właściwie każdego dnia. Nie wiem, ile ty jej płacisz, ale chyba dużo, bo widać, że czuje się bardzo zobowiązana.

– Babciu, skąd ty wiesz, że jej płacisz? – zdziwiła się Tamara. – To miała być tajemnica!

– Dziecko kochane, jaka tajemnica! Kobieta przychodzi codziennie, wrywa mi wszystko z rąk, nie da się do niczego dotknąć i jeszcze grosza nie pozwoli sobie wcisnąć. Ja wiem, że ona ma dobre serce, ale nawet najlepsza sąsiadka pomoc ma jakieś granice. Już po kilku dniach się domyśliłam.

– To dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Widziałam tę twoją zadowoloną minę i miałam z tego mnóstwo radości – uśmiechnęła się babcia Róża. – A w moim wieku śmiech to najlepsze lekarstwo.

– Teraz to jesteś złośliwa. – Tamara udawała, że robi obrażoną minę.

– Jak to stare kobiety. A tak już szczerze mówiąc, to pomyślałam, że nie będę protestować, bo jak znam ciebie, to i tak sprowadziłabyś tutaj kogoś. Skoro nie dałoby ci się tego wyperswadować, to pani Zofia wydała mi się najlepszym wyborem. Lepszej osoby na pewno byś nie znalazła. I wiedziałam, że ona nie wyduci z ciebie ostatniego grosza, a inne by próbowały. No a pani Zofii też przyda się trochę pieniędzy. – Odłożyła robótkę i sięgnęła po szklanę z herbatą. – Tak mi z tych przemyśleń wyszło. Wiesz, takie mniejsze zło. Chociaż na początku to jej pomoc rzeczywiście mi się przydała. Tak się stawiałam, ale jak przyszło do palenia pod kuchnią, to już się męczyłam...

– A nic babcia nie mówiła – powiedziała z wyrzutem Tamara.

– Jakbym powiedziała, tobyś mnie z tych Kielc nie puściła. Ale teraz już jest dobrze, więc się nie martw.

– Jeżeli chcesz mi powiedzieć, żeby pani Zofia już nie przychodziła, to nawet się nie trudź. Mowy nie ma.

– Ja się obawiam, że nawet gdybyś ty się dała do tego przekonać, to ona już niekoniecznie. Chyba lubi tu przychodzić... Popatrz no, dziecko, to równo jest? – Rozłożyła swoją pracę, pokazując kobiecie ażurowy wzorek w romby. – Bo coś mi się chyba nie zgadza.

– Tu z prawej strony coś nie tak z tym wzorkiem – pokazała Tamara.

– A widzisz, tak czułam! Będę musiała spruć kilka rzędów. Zagadujesz mnie i proszę, co z tego wynika!

– Wiesz, babciu, ja się cały czas zastanawiam, jak to jest z tą panią Zofią. Przecież mieszka z dziećmi. Byłam tam i widziałam, że dom całkiem spory, może nie piękny, ale niemały. Na podwórku dobry samochód, zięć nie wygląda na zagłodzonego, zresztą te wnuki też całkiem pulchne. No i nie najgorzej im się chyba powodzi, skoro na długi weekend pojechali do Zakopanego. Tak myślę.

– I chyba dobrze myślisz – pokiwała babcia głową znad robótki.

– No to po co ona tak u ludzi pracuje? I to za marne grosze. A jeszcze mi powiedziała, że dzieciom to oddaje. I wstyd jej było, że nie wszystko. Aż nie chciałam drażnić tematu, bo mnie było głupio. Babcia coś o tym wie?

– Coś tam wiem. Przecież tu żyję. Nie da się nie wiedzieć.

– No to niech mi to babcia wyjaśni, bo mnie szlag trafia, jak widzę starszą kobietę plewiącą na słońcu, a byka w pełni sił wypoczywającego w chłodnym mieszkaniu! Czy ona nie ma tam nic do powiedzenia?

– Wygląda na to, że nie ma – westchnęła ze smutkiem babcia Róża. – Bo widzisz, dziecko, pani Zofia bardzo kocha swoją córkę. Całe życie ją tak kochała. Aż do przesady, tak bez umiaru. Nieba by jej przychyliła. Niby w tym nic złego nie ma, że się własne dzieci kocha, ale nawet to powinno się robić mądrze. A miłość pani Zofii to zupełnie mądra nie była. Chociaż co ja się tam znam, sama dzieci nie mam... – Skończyła prucie i zaczęła nawijać nitkę na kłębek. – Pani Zofia długo nie miała dzieci. Pamiętam, że we wsi gadali już, że bezpłodna jest. I z jej męża też się podśmiewali. Wiesz, dawniej było inaczej. Jak się ludzie pobrali, to zaraz się dzieci sypały jak z rękawa. Nikt się antykoncepcją nie zajmował. A jak dzieci nie było, to zaraz się wszyscy dziwili. No, ale w końcu pani Zofia zaszła w ciążę. I urodziła córkę. Taka była szczęśliwa, że chyba nie widziałam szczęśliwszej matki. Chciała dla dziecka jak najlepiej, traktowała córkę jak księżniczkę. Harowała jak wół, żeby Kasi niczego nie brakowało. Od męża wsparcia miała niewiele, bo prawdę mówiąc, to on wolał się napić niż gospodarstwa pilnować. W końcu zmarł na polu i mówią, że z butelką w ręku, ale ja tego na pewno nie wiem. No, w każdym razie, pani Zofia na głowie miała wszystko. Ale dawała sobie radę, aż dziw czasami brał. Ta miłość do dziecka chyba ją tak napędzała. Chciała, żeby Kasia miała wszystko – ładny dom, nowe sukienki i zabawki.

– I ona sama ten dom wybudowała?

– Ano tak. Wiesz, dawniej to na wsi jeden drugiemu pomagał. Ten się znał na murarce, ten na stolarce i nawzajem u siebie robili. A materiały też się różnie załatwiało. Nie zawsze legalnie, ale taniej. Pani Zofia dorabiała, gdzie mogła i kupowała po trochu. A robili jej w zamian za szyć, zwłaszcza komunijnych i weselnych sukienek. Bo wtedy to ciężko było kupić, a pani Zofia szyć się nauczyła, żeby córka miała coraz to nowe ubrania. A że miała do tego dryg, to szybko się na niej kobiety poznały. No i wymiana usług się rozwijała. A dom wreszcie stanął.

– No to chyba była z siebie dumna, prawda?

– Powinna być. Ale nie była.

– A to dlaczego? Przecież nawet teraz budowa domu to wyzwanie.

– Tylko że, jak ci mówiłam, pani Zofia nie żyła dla siebie. Żyła dla Kasi. Chciała, żeby córka była szczęśliwa, żeby miała dobre życie, lepsze niż ona.

– Każda matka chyba tego chce.



– Tak, tylko że Kasię uszczęśliwiały jedynie pieniądze i kolejne rzeczy. Miała jednak wiele sprytu i na męża wybrała sobie Jarka. Pani Zofia pochwałała ten wybór, bo chociaż chłopak nie był może urodziwy, ale miał smykałkę do interesów. Nie wiem, czy połączyła ich miłość do siebie, czy do pieniędzy, w każdym razie pobrali się. – Spojrzała na Tamarę i widząc jej zdziwienie, wyjaśniła:

– Tak, jestem złośliwa, wiem. Ale wierz mi, trudno się powstrzymać. Zresztą sama zaraz ocenisz – poprawiła się na fotelu i zsunęła słomkowy kapelusz na tył głowy. – Na początku zięć był miły. Nawet bardzo. Pani Zofia nachwalić się nie mogła – Jarek to, Jarek tamto. I pewnego dnia z tego zachwytu przepisała na córkę wszystko. Dom, ziemię, wszystko, co miała.

Tamara pokiwała głową.

– I wtedy Jarek zaczął się robić nerwowy? – zapytała, dolewając babci herbaty.

– Chyba tak, chociaż pani Zofia nigdy się nie skarżyła. Teraz też złego słowa nie da na nich powiedzieć. Ale sama widzisz, jak to wygląda. A wiesz, co jest najgorsze?

– To jest coś jeszcze gorszego? – zdziwiła się Tamara. – Gorszego od dziecka, które tak pozwala traktować matkę?

– Tak. Najgorsze jest to, że pani Zofia uważa, że na to wszystko zasługuje. Że to jej wina. Wyrzuca sobie, że dom jest mało nowoczesny, że za mało im pomaga. W ogóle nie myśli o sobie.

– Zasmuciłaś mnie babciu tą opowieścią – wyznała Tamara.

– Tak, dziecko, wiem. Mnie też to zasmuca. Taka dobra kobieta. Całe życie starała się zadowolić własną córkę, a nigdy nie doczekała się choćby słowa podziękowania.

– Może powinna porozmawiać z tą Kasią?

– To się nie uda. – Babcia pokręciła głową. – Mówiłam ci, że ta jej miłość do dziecka jest jak choroba. A człowiek chory widzi świat inaczej. Dostrzega tylko to, co chce i jak chce. Żeby coś zmienić, musiałaby wyzdrowieć. A na taką chorą miłość nie ma lekarstwa. Wiesz, jak pokochasz nieodpowiedniego mężczyznę, to jeszcze jest szansa, że kiedyś się z tego wyleczysz, ale niemądra miłość do dziecka jest nieuleczalna. Chociaż chciałabym się mylić...

– Szkoda tej pani Zofii – stwierdziła Tamara. – Chciałabym, żeby była szczęśliwa.

– Do szczęścia potrzebne są dwie rzeczy: najpierw trzeba pomyśleć, co cię uszczęśliwi, a potem pozwolić sobie na to, żeby to zrobić i poczuć. A pani Zofia... – nie dokończyła, ale obie wiedziały, co chciała powiedzieć.

– No to niewesoło – westchnęła Tamara. – To może chociaż możemy zrobić coś, żeby jej było lżej?

– Właśnie robimy, dziecko – uśmiechnęła się babcia Róża. – Dajemy jej to, czego potrzebuje.

– Pieniądze? – zdziwiła się Tamara.

– Ej, bo pomyślę, że cię w tej twojej agencji już całkiem przerobili – pogroziła palcem babcia Róża. – Nie pieniądze. Poczucie, że jest potrzebna i że potrafi zrobić coś dobrze.

– Ale przecież to prawda.

– Ja to wiem i ty to wiesz, ale pani Zofia do tej pory nie wiedziała. Nikt jej tego nie mówił, nie dał odczuć. Na szczęście jesteśmy my. – Znowu odłożyła robótkę. – Oczy mi się zmęczyły i kości całkiem zastały od tego siedzenia. Może pójdziemy się przejść?



Zazwyczaj nie zdarzało jej się sypiać w ciągu dnia. Nawet gdy schodziła po nocnym dyżurze, podczas którego nie zmrużyła oka, i tak przez cały dzień znajdowała sobie zajęcie. Zresztą nie musiała nawet specjalnie szukać. W domu zawsze było coś do zrobienia, a dziecko także wymagało kontroli, chociażby

postępów w nauce. O drzemce nawet nie myślała. Organizm przyzwyczała do takiego trybu funkcjonowania i nie odczuwała żadnego dyskomfortu, nawet gdy musiała obyć się bez snu ponad trzydzieści godzin.

Od czasu przejścia na emeryturę miała więcej czasu i mogła bez wyrzutów sumienia odpoczywać, wylegając się w łóżku, ale teraz z kolei wydawało jej się, że popołudniowy sen to domena staruszek, a za nic nie chciała już zaliczać się do ich grona. Starła się więc wstawać rano, najczęściej po szóstej, i nie kładła się w ciągu dnia.

A dzisiaj zasnęła na siedząco. W fotelu. I miała sen. Była w nim małą dziewczynką. I czuła się taka beztroska. Nie miała żadnych zmartwień. A powietrze pachniało świeżością.

I wiedziała, że może się nie przejmować, bo jest bezpieczna. Czuła, że ma dom, w którym czeka na nią rodzina. Ludzie, którzy ją kochają. Dla których jest ważna. To dodawało jej skrzydeł, odwagi i pewności siebie. Mogła wszystko, wierzyła, że jej się uda. Radość wypełniała całe ciało...

Nagle sen się urwał. Ewa Dobrosz przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Radość zniknęła, skurczyła się, nie wypełniała już jej całej. Pozostała tylko mała cząstka, która osiadła w okolicy serca i zamiast przyjemności, sprawiała ból.

Nie wiedziała, co powinna zrobić. Z jednej strony wiele oddałaby za to, żeby powrócić do sennej krainy, gdzie nie czuła żadnych trosk, ale z drugiej – wiedziała, że to niemożliwe i dla własnego dobra powinna o śnie jak najszybciej zapomnieć. Wpatrywała się w przeciwległą ścianę i starała się oddychać powoli i głęboko. Odruchowo chwyciła się za nadgarstek i sprawdziła tętno. Było miarowe, zupełnie dobre.

Co się ze mną dzieje? – myślała. – Skąd te wahania nastroju, skąd wahania w ogóle? Czy to początek starości, tej dziwacznej, psychicznej? Czy niedługo zaczniesz zapominać o sprawach bieżących i pograży się w przeszłości? To była jedyna rzecz, jakiej obawiała się przez całe życie. I nie dlatego, że stanie się dla kogoś ciężarem, osobą wymagającą stałej opieki. Z tego przecież i tak nie będzie zdawała sobie sprawy. Bała się, że wróci do tamtych lat, o których całe życie chciała zapomnieć. Że jej własny mózg uwięzi ją w minionym i niechcianym czasie. Że nie będzie mogła nad tym zapanować, chociaż przez tyle lat jej się udawało. Właśnie taka obawa prześladowała Ewę Dobrosz, a im więcej lat przybywało, tym częściej o tym rozmyślała.

Miała nadzieję, że może tak skutecznie zepchnęła wszystkie wspomnienia na dno świadomości, że nawet psujący się mózg nie odsłoni tych fragmentów. Że wymazała je na zawsze, zupełnie, a w ich miejscu pozostało coś w rodzaju białych plam. Niestety, pojawienie się Róży Marcisz zachwiało tym przekonaniem, a uczucia, których doświadczała, sprawiały, że nadzieja na białe plamy po wspomnieniach była coraz mniejsza.

Dzisiejszy sen jeszcze bardziej ją osłabił. Wspomnienia istniały, nadal znajdowały się w jej głowie i mogły powrócić w każdej chwili. Na przykład tak jak teraz – we śnie. Nie miała na to najmniejszego wpływu, nie mogła kontrolować. Czuła wielką złość i żal. Dlaczego? – myślała. – Dlaczego nie mogę się od tego uwolnić? Co mam jeszcze zrobić, żebym w końcu poczuła spokój?

Nie wykupiła lekarstwa, które zapisał młody lekarz. Nigdy nie uznawała farmakologii jako sposobu na rozwiązanie problemów. Uważała, że leki tylko ogłupiają i nie pozwalają jasno i racjonalnie myśleć. Jej zdaniem wszystko powinno się załatwiać siłą woli.

– Wystarczy wiedzieć, czego się chce. Wyznaczyć sobie cel i do niego dążyć – mawiała. – Wtedy od razu wiadomo, co jest potrzebne i ważne, a co należy odrzucić bez sentymentów.

Tym razem jej własna metoda zawodziła. Może nie mam już tyle siły, co dawniej? – zastanawiała się. Stwierdziła, że powinna coś zrobić. Zacząć działać, żeby nie myśleć. To też zawsze dawało dobre rezultaty. I zupełnie nieoczekiwanie przyszła jej do głowy Krysia. Nie kontaktowały się od czasu

przedświątecznej wizyty. Chociaż ciężko było Ewie się do tego przyznać, brakowało jej koleżanki. Co prawda nie widywały się zbyt często, to jednak zawsze wiedziała, że Krysia jest. Że ma osobę, do której w razie czego może zawsze zadzwonić. Do tej pory to „w razie czego” się nie zdarzało, ale sama świadomość była cenna. A teraz? Czy teraz był ten czas, to „w razie czego”? A jeśli tak, to czy nadal mogła zadzwonić do koleżanki?

Bała się. Naprawdę czuła lęk. Większy nawet niż przed najtrudniejszą operacją. Ale czuła, że musi spróbować, że powinna to sprawdzić, bo tego potrzebuje. Potrzebuje drugiego człowieka.

Przez chwilę trzymała telefon w dłoni, wpatrując się w klawiaturę. Wreszcie wybrała imię koleżanki w książce adresowej i przycisnęła zieloną słuchawkę.

– Słucham – usłyszała po drugiej stronie głos znany od lat.

– Dzień dobry, Krysiu – powiedziała.

– Dzień dobry, Ewciu. Cieszę się, że dzwonisz. Już się za tobą stęskniłam. – Krysia swoim zwyczajem zaczęła świergolić do słuchawki. Zupełnie jakby nic się nie stało, jakby ostatnim razem rozstali się w najlepszej zgodzie, jakby nie pamiętała o zachowaniu Ewy.

Doktor Dobrosz poczuła wielką ulgę. Wzruszenie ścisnęło jej gardło.

– Ewciu, jesteś tam? – W głosie Krysi usłyszała zaniepokojenie. – Czy coś się stało? Mam przyjechać? Potrzebujesz pomocy?

Ewa przełknęła ślinę.

– Nic się nie stało, Krysiu – starała się ukryć wzruszenie. – Po prostu dzwonię, żeby zapytać, czy miałabyś ochotę mnie jutro odwiedzić. Chciałam cię zaprosić na sernik z brzoskwinia. I przeprosić – dodała nieco ciszej.

– Oczywiście, bardzo chętnie. A może być po południu? Bo rano jedziemy z Józikiem na działkę. A może chcesz pojechać z nami?

– Ale nie zdążę...

– Sernik kupimy po drodze. Nie będzie taki dobry jak twój, ale za to zjemy w pięknych okolicznościach przyrody.

Takie spontaniczne decyzje nie były w stylu Ewy Dobrosz i Krysia spodziewała się odmowy. Jakież było jej zdziwienie, gdy usłyszała w słuchawce:

– Dobrze, bardzo chętnie.

– W takim razie pojedziemy po ciebie o dziewiątej.

Kiedy Ewa rozłączyła się, Krysia także odłożyła telefon i powiedziała do siedzącego obok Józika:

– Chyba moja kropla wydrążyła wreszcie coś w tym kamiennym murze.

W tym czasie Ewa Dobrosz gorączkowo sprawdzała, czy ma może w kuchennych szafkach wszystkie składniki. Bo miała zamiar jednak osobiście upiec ten sernik. Nie dla siebie, dla własnej satysfakcji, ale dla Krysi. Dla drugiego człowieka.



Zofia z niecierpliwością czekała na ten dzień. Wszystko było przygotowane i musiała tylko rano przynieść pakunki od pani Róży. Zostawiła prezenty u niej, żeby wnuki nie znalazły ich za wcześnie. Szczególnie Nikolka lubiła myszkować po całym domu i nic nie mogło ukryć się przed jej bystrym wzrokiem. Już przed Mikołajkami był problem, bo wyciągnęła z dna szafy mówiącą lalkę, którą zamówiła u świętego i cała rodzina musiała niezłe się namęczyć, żeby jakoś to wyjaśnić. Co prawda Krzysio powiedział siostrzyczce bez ogródek, że Mikołaj nie istnieje, ale Jarek bardzo się na niego

zdenerwował, bo Nikolka miała u ojca szczególnie względy. No i Krzysio musiał przeproszać i zapewniać, że żartował.

Pamiętając o tamtych wydarzeniach, Zofia nie chciała ryzykować. Miała nadzieję, że na Dzień Dziecka wnuki będą miały prawdziwą niespodziankę. Bo przecież nikt nie wiedział, że odkłada pieniądze i że stać ją będzie na takie wspianałości. Co prawda martwiła się, jak je kupi i przywiezie do Borowej, zwłaszcza ten wózek dla wnuczki. Myślała też o rowerku, ale stwierdziła, że wnuczkę bardziej ucieszy pojazd dla lalek. Miała nawet w kieszeni płaszcza jego zdjęcie wyrwane ze starej gazetki z hipermarketu, ale sklep był w Kielcach i Zofia zastanawiała się, jak wytłumaczy w domu konieczność wyjazdu do miasta. W jej przypadku to była wyprawa na wiele godzin, bo musiała dojechać busem, a potem dojść spory kawałek, co, biorąc pod uwagę bolące nogi, musiało trochę potrwać. Nie uda się tego zrobić, żeby nikt w domu nie zauważył.

Bardzo się ucieszyła, kiedy pani Tamara zaproponowała, że ją zawiezie. Usłyszała jak Zofia rozmawia o swoich planach z panią Różą. Musiała jej powiedzieć, bo przez wyjazd do Kielc nie mogłaby przyjść do niej. Poza tym chciała prosić o zgodę na przechowanie prezentów.

– Pani Rózo, słyszałam, co pani mówiła i pomyślałam, że może zgodziłaby się pani pojechać ze mną. Mam większe zakupy do zrobienia, a w hipermarkecie zawsze taniej. Obrócimy w dwie godzinki. Co pani na to?

Oczywiście się zgodziła. Ta okazja spadła jej z nieba. Nie widziała, że niebo nie miało z tym nic wspólnego, a za jej plecami Tamara porozumiewawczo uśmiecha się do babci Róży.

Wjechały na podziemny parking. Nie trzeba było nigdzie chodzić, chociaż sam sklep był ogromny i Zofia pomyślała, że nie dałaby rady go obejść. W ogóle cieszyła się, że jest z nią pani Tamara, która wiedziała, jak znaleźć to, co Zofia chciała kupić.

– Ja już za stara jestem na takie coś – powiedziała zawstydzona. – Mogłabym się tutaj zgubić.

– Sama się czasem gubię – roześmiała się Tamara. – To specjalnie tak jest, żeby więcej kupić.

Trochę to Zofię pocieszyło. Ale najważniejsze było to, że kupiła wszystkie prezenty. Nie było co prawda takiego samego wózka, jak ten w gazetce, za to sprzedawczyni doradziła inny, podobno z najnowszej dostawy. Też różowy, ale posiadał te, funkcje – grał melodyjki, zmieniał się w spacerowy i miał wyjmowane nosidełko. Zofia nie mogła się nadziwić, bo kiedy wnuczka była mała, to taki wózek dla dzieci nie każdy miał, a teraz dla lalek to robią. Nikolka na pewno będzie zadowolona.

Pawełkowi kupiła samochód, co sam jeździ. A kieruje się nim takim pudełeczkiem z przyciskami, podobnym do pilota. Miała kupić na baterie, ale pani Tamara powiedziała, że to się nie opłaca, bo się szybko wyczerpują i ciągle trzeba kupować nowe. I że lepiej dołożyć i kupić na akumulator, co można go ładować w kontakcie. Było drożej, ale Zofia miała sporo oszczędności i wystarczyło.

Z prezentem dla Krzysia był największy kłopot. Chciała kupić grę, ale nie знаła się na tym i nie wiedziała, jakie już chłopczyk ma. Sprzedawca powiedział jej też, że nie wszystkie gry są dobre dla dzieci. Zofia musiała kupić odpowiednią, żeby wnukowi nie szkodzić i żeby nie zdenerwować Jarka. Patrzyła na pudełka i żadna jej się nie podobała, bo na wszystkich były jakieś potwory albo krew. Wreszcie, za radą sprzedawcy, zdecydowała się na coś, co młody człowiek za ladą nazwał „dobra, ale niezbyt brutalna strzelanka w edycji limitowanej, z wieloma dodatkami”.

Teraz niosła pudła owinięte w kolorowy papier i już widziała w myślach radość wnuków. W kieszeni spódnicy miała jeszcze kopertę, a w niej pieniądze dla Kasi. To przecież jej dziecko i nigdy nim być nie przestanie. Nie wiedziała, co jej kupić, więc postanowiła, że da gotówkę, a córka sama zdecyduje, na co wydać pieniądze.

Wnosząc paczki do domu, słyszała dobiegający z salonu śmiech wnuczki i podniesione głosy chłopców. Wyglądało na to, że rodzice już dali im swoje prezenty. Zaraz ucieszą się jeszcze bardziej – pomyślała.

– Babciu, babciu, mam lalecke, co wygląda jak dzidzia – pochwaliła się Nikolka, wyciągając w stronę Zofii swój prezent. Rzeczywiście, lalka była tak ładnie podobna do żywego dziecka, że w pierwszej chwili trudno byłoby odróżnić ją od prawdziwego niemowlęcia.

– To będziesz jeszcze miała w czym ją wozić – pogłaskała wnuczkę po główce.

Córka i zięć ze zdziwieniem patrzyli na to, co robi. A jeszcze bardziej zaskoczyła ich zawartość pudeł. Kasia raz po raz zerknęła na męża, jakby czekając na jego reakcję, a Jarek zacisnął szczęki tak, że mimo pełnych policzków, widać było napinające się mięśnie.

Zofia, przejęta sytuacją, nie dostrzegła ich reakcji. Wręczała wnukom prezenty i czekała, co powiedzą.

Pawełek wypakował samochód i od razu rozpoczął rajd po pokoju i korytarzu. Głośne buczenie silnika wypełniło pomieszczenie, a pojazd skręcał raz po raz, piszcząc przy tym oponami jak prawdziwe auto. Zofia z radości aż klasnęła w dłonie. Udał się prezent – pomyślała.

Krzysio odpakował grę i popatrzył na opakowanie.

– Podoba ci się, Krzysiu?

– Może być – wzruszył ramionami.

– Pan w sklepie powiedział, że to jakiś limit jest, ale ja nie wiem, co to takiego.

– Edycja limitowana – poprawił wnuk. – Ale i tak nie zrozumiesz.

Odłożył grę na kanapę i zajął się oglądaniem tabletu, który podarowali mu rodzice.

– Mama, pacz! Lala w wózecku śpi. – Nikola chciała podzielić się radością z Kasią i ciągnęła ją za rękaw do rogu pokoju, gdzie rozłożyła swoje nowe skarby. – Tata, dzidzia ma wózecek, widzisz? – Podskakiwała wokół ojca, który jednak nie zwracał na nią uwagi.

– Dzieci, zabierzcie prezenty i do pokoi – powiedział nieznośnym sprzeciwu tonem. – Kaśka, pomóż małej wnieść... – zawahał się, jakby nazwanie prezentu od Zofii nie mogło mu przejść przez gardło – wnieść to po schodach.

Żona bez słowa spełniła polecenie Jarka.

– Chłopcy, na górę – popędzała synów.

Kiedy tylko dzieci zniknęły z pola widzenia, Jarek od razu przystąpił do ataku:

– Czy mamusia okradła bank? Albo, nie daj Boże, wzięła jakąś chwilówkę, którą będziemy spłacać z bandyckim oprocentowaniem?

Zofia od razu zaprzeczyła.

– Ależ skąd! Przecież nie jestem taka głupia!

– To za co to wszystko? Co, niby ja nie wiem, ile to kosztuje?

– Zaoszczędziłam. Chciałam, żeby miały radość... – Zofia nie rozumiała złości zięcia. Przecież powinien się cieszyć razem z nimi. Sam kupował dzieciom prezenty, w końcu to ich święto.

– Kaśka, przynieś mi piwo, bo zaraz wyjdę z siebie! – Wydał polecenie, nawet nie patrząc na żonę. – A z czego niby mamusia zaoszczędziła? – Usiadł na kanapie i zaczął stukać palcami w blat ławy. – No, słucham?!

– Pracuję... – zaczęła Zofia, ale nie dał jej dokończyć.

– Mamusia pracuje?! Dobre sobie! I tyle mamusi płacą, że wystarcza na takie ekscesy?! To dlaczego ja nic o tym nie wiem?! Zaharowuję się jak głupi, mamusia sobie żyje z mojej ciężkiej roboty i odkłada po kryjomu! Kaśka, czy ty to słyszałaś?! – wrzasnął w stronę kuchni.

Żona weszła z butelką piwa, którą postawiła na ławie przed mężem. Ten złapał ją za ramię i pociągnął w dół, aż jęknęła.

– Karmię twoją matkę, daję jej dach nad głową, a jej nawet do głowy nie przyjdzie, żeby coś dołożyć! Bo oszczędza!

Zofia na widok skrzywionej z bólu twarzy córki poczuła, że ściska ją w żołądku. Jej dziecko cierpiało!

– Puść ją! – krzyknęła, dziwiąc się skąd ma tyle odwagi, żeby przeciwstawić się Jarkowi. On chyba też był zaskoczony, bo puścił Kasię i spojrzał ze zdumieniem i złością na teściową.

– Taka mamusia odważna?! To może mamusia tyle zaoszczędziła, że wystarczy na nowe życie?! Bo ja dłużej nie pozwolę wała z siebie robić! – Wstał i podszedł do teściowej. Nachylił się i spojrzał Zofii prosto w oczy. – Niech mamusia zapamięta: ja tu rządzę! I w moim domu nikt mnie wykorzystywał nie będzie! Albo mamusia zacznie dokładać do utrzymania, albo... – podniósł rękę i zacisnął pięść...

– Jarek, uspokój się! – krzyknęła z lękiem Kasia. – Piwa się napij – zachęcała drżącym głosem. Stała między mężem a matką z butelką w dłoni. – A mama niech idzie na spacer – rzuciła przez ramię. – Niech mama idzie! – powtórzyła stanowczo.

Zofia popatrzyła, jak zięć siada z powrotem na kanapie i duszkiem opróżnia butelkę. Kasia usiadła przy nim i gładziła go po umięśnionym przedramieniu. Wzrokiem pokazywała matce, żeby wyszła. Nie było na co czekać.



– Marysiu, proszę za mną. – Wolska nawet nie popatrzyła, czy uczennica jej posłuchała. To było oczywiste.

Dziewczyna szła za wychowawczynią, wpatrując się w obcasy beżowych szpilek stukające miarowo o parkiet. Zastanawiała się, o co może chodzić? Nie liczyła na miłą pogawędkę, ale nie zrobiła niczego, co wymagałoby interwencji nauczycielki.

Doszły do pokoju nauczycielskiego i Wolska gestem zaprosiła Marysię do środka. Najpierw sama usiadła, dopiero potem wskazała krzeselko po przeciwnej stronie.

– Usiądź.

Marysia usiadła i czekała na ciąg dalszy.

– Rozmawiałam z profesorem od chemii i profesorką od matematyki. Podobno wszystko zaliczyłaś – stwierdziła i nie czekając na potwierdzenie, mówiła dalej. – Za to niezbyt dobrze idzie ci z biologią. U mnie też nie osiągasz wyników, które dobrze prognozowałyby na przyszłość. Co prawda nie ma zagrożenia, ale trzeba szczerze powiedzieć, że na tle klasy nie wygląda to dobrze.

Marysia nic nie mówiła, bo co niby miałyby powiedzieć? Że ciężko nadrabiać zaległości i mieć dobre wyniki z bieżącego materiału? Wolskiej to nie interesowało, dziewczyna wiedziała o tym doskonale. Najważniejsza była średnia klasy, a ona tę średnią zaniżała.

– Zastanawiałam się, co z tobą zrobić... – zawiesiła głos nauczycielka i chłodno popatrzyła na uczennicę. – Doszłam do wniosku, że powinnaś pomyśleć o zmianie szkoły albo przynajmniej klasy. Jeżeli się zdecydujesz, nie będziemy robić problemów z uzyskaniem promocji. Ale jeśli nadal zechcesz zdawać międzynarodową maturę, to sama zasugeruję powtarzanie roku. Uważam, że bez opanowania podstaw na odpowiednim poziomie, nie poradzisz sobie dalej. Dlatego cię tutaj wezwałam. Czy jasno się wyrażam?

– Tak – odpowiedziała Marysia i w myślach dodała: Jaśniej nie można. Chyba że miałyby broń.

– Cieszę się, że mnie zrozumiałaś. Przemyśl więc tę propozycję i podejmij decyzję. Myślę, że kilka dni ci wystarczy.

– Zmienię szkołę – powiedziała spokojnie Marysia.

– Nie musisz odpowiadać już teraz. Możesz skonsultować się z matką.

– Zmienię szkołę – powtórzyła dziewczyna.

– Czy jesteś pewna swojej decyzji? Nie chcę, żeby potem ktoś zarzucił mi, że nie dałam ci czasu na

spokojne przemyślenie...

Marysia popatrzyła na twarz wychowawczynie – gładką, pozbawioną jakichkolwiek emocji. Kilka razy odetchnęła głęboko i poczuła, że wypełnia ją spokój i pewność siebie. Spojrzała nauczycielce prosto w oczy.

– Niczego w życiu nie byłam taka pewna – powiedziała.

A potem wstała i wyszła z pokoju nauczycielskiego. Wiedziała, że zrobiła dobrze i że ani przez sekundę nie będzie żałowała podjętej decyzji.



Róża Marcisz przez cały dzień obserwowała Zofię. Rano kobieta tryskała energią i radością, zabrała prezenty dla wnuków i prawie biegnąc, wracała do domu. Róża pomyślała wtedy, że pewnie tego dnia jej nie zobaczy. Jakież było jej zdziwienie, gdy Zofia pojawiła się niecałe dwie godziny później i zaczęła przygotowywać obiad.

Nic nie mówiła, ale nie musiała. Wystarczyło na nią popatrzeć. Ani śladu porannej radości, opuszczone ramiona i smutne spojrzenie mówiły więcej niż słowa. Róża nie pytała, ale i tak wiedziała, że coś się stało. Nie zadała żadnego pytania także wtedy, gdy Zofia pozmywała po obiedzie i zrobiła popołudniową herbatę. Ani wtedy, gdy usiadła razem z nią i oglądała serial o sułtankach. Potem wypiły kolejną herbatę i zjadły kolację. Rozmawiały normalnie, jak zwykle. O tym, co u sąsiadów, o kampanii prezydenckiej, która opanowała media.

Dopiero gdy zaczęło się ściemniać, Róża pomyślała, że dłużej nie można czekać.

– Pani Zofio, czy ja dzisiaj jakoś źle wyglądam?

– Nie, dlaczego? – zapytała kobieta. – A niedobrze się pani czuje? Może trzeba wezwać lekarza?

– Czuję się doskonale, ale pani jakoś nie zbiera się do domu, więc pomyślałam, że może boi się pani mnie zostawić...

Zofia, zaskoczona, zamrugła oczami, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pani Zofio, może jednak chce mi pani opowiedzieć, co się stało?

– Nic się nie stało. – Zofia odwróciła się do babci Róży plecami i zaczęła szukać czegoś w szufladzie kredensu.

– Tam są tylko stare rachunki – uśmiechnęła się gospodyni. – I na pewno nie uda się tam pani schować.

– Ja się nie chowam – zaprotestowała kobieta.

– I dobrze. Bo chowanie się niczego nie zmieni. Mnie tam życie nauczyło, że lepiej się zmierzyć z tym, czego się boimy, niż uciekać. Nawet jak się nie uda, to przynajmniej człowiek wie, że próbował. A jak ucieka, to potem zostaje tylko zawstydzenie.

– Łatwo pani mówić! – Zofia odwróciła się i Róża zobaczyła, że ma łzy w oczach. – Bo nawet pani nie wie, o co chodzi!

– No nie wiem. I dlatego proszę, żeby mi pani powiedziała.

I Zofia opowiedziała. O radości Nikoli i Pawełka, o obojętności Krzysia, o tym, że Kasia na pewno ma siniaki po mężowskim uścisku. A na koniec o zaciśniętej pięści i strachu, który czuła, widząc ją nad głową.

– Zosiu, nie możesz tam wrócić – powiedziała stanowczo Róża Marcisz. – Nikt nie ma prawa ci grozić, nie możesz żyć w ciągłym strachu.

– Naprawdę mogłabym u pani dzisiaj zostać, pani Różo? – zapytała z nadzieją Zofia.

– Różo, bez tej pani – uśmiechnęła się staruszka. – Mogłabyś zostać. I nie tylko dzisiaj. Jutro, i pojutrze,

i zawsze. Jeżeli zechcesz.

– Ale...

– Żadnego „ale”. Dwóm starym kobietom będzie łatwiej niż każdej w pojedynkę. – Róża Marcisz wstała i podeszła do kredensu. Otworzyła dolną szafkę i wyciągnęła niewielki słoiczek. – To trzeba było znaleźć – uśmiechnęła się do Zofii. – Zamiast w papierach grzebać. Konfitury z fiołków – wyjaśniła. – Lekarstwo na każdy smutek. Sama słodycz. Na szczęście nie musimy dbać o linię i możemy zjeść cały słoik. A jutro spokojnie zastanowimy się, co dalej.

Podeszła do Zofii i poklepała ją po ramieniu.

– No, Zosiu, koniec marudzenia. Weź sobie z szafy świeżą pościel i zajmij łóżko Tamary. A ja w tym czasie przygotuję talerzyki.

Zofia wyszła do pokoju. Po chwili wróciła i podeszła do gospodyni.

– Kochana pani... – zaczęła i machnęła ręką z przepraszającym uśmiechem. – Kochana Różo – poprawiła się – bardzo ci dziękuję.

I objęła Różę Marcisz. Ta odwzajemniła uścisk. Kot Barnaba przyglądał się temu z wysokości kredensu zupełnie obojętnym wzrokiem. Nie interesowały go ludzkie pieszczoty. Czekał cierpliwie na wieczorną porcję mięsa z kurczaka.



– Jak się dowiedziałam, że ten utuczony chamski wieprzek podniósł na nią rękę, to miałam ochotę od razu dzwonić na policję. – Tamara, gestykulując, opowiadała Marzenie o nowinach z Borowej.

– Wcale ci się nie dziwię. – Koleżanka podzielała emocje Tamary. – Młody, silny chłop i do starszej kobiety doskakuje! Co za typ! I jak ma być dobrze na tym świecie!

– Tylko ona za nic nie chce tego zgłaszać. Nie mogłam jej przekonać, że bydlak powinien się przynajmniej przestraszyć. Ale nie, nie dało rady. No to sama rozumiesz, że jak mi babcia powiedziała, że pani Zofia z nią zamieszka, to się ucieszyłam, jak nie wiem co!

– No i bardzo dobrze. Przynajmniej będzie miała spokój.

– Gorzej, że teraz ona nie chce ode mnie brać pieniędzy za opiekę nad babcią. Powiedziała, że mieszka za darmo, że wszystkiego korzysta, to będzie się odwdzięczała pomocą. I siedzą, zadowolone obie, herbatkę piją. Miło popatrzeć.

– No to powinnaś się cieszyć. Babcia nie będzie samotna, opiekę ma całodobową, a tobie w kieszeni trochę grosza jednak zostanie, prawda?

– W sumie tak, ale nie wiem, jak one sobie poradzą. Ani babcia, ani pani Zofia nie mają zbyt wielkich emerytur. Prawdę mówiąc, to bardzo małe, po kilkaset złotych. A wiesz, same leki kosztują...

Marzena popatrzyła na koleżankę z błyskiem w oku.

– Nie przejmuj się za bardzo – powiedziała. – Jakoś to będzie.

Tamara знаła ten wyraz twarzy koleżanki.

– Masz jakiś pomysł?

– Może mam, a może nie. Zobaczymy. Najpierw muszę coś sprawdzić. Na razie nie ma o czym gadać.

Tamara wzruszyła ramionami.

– Jak chcesz. A jak tam u ciebie? Z mamą lepiej? I jak tata to znosi?

Matka Marzeny miała kilka dni temu problemy z oddychaniem i pogotowie zabrało ją do szpitala. Co prawda lekarze szybko poradzili sobie z dusznością i pani Borecka miała wkrótce wrócić do domu, ale Marzena nadal martwiła się stanem rodziców. Zwłaszcza ojca, który tak przeżył widok żony na noszach,



że przez dwa dni ciągle ją wołał, jakby nie mógł sobie przypomnieć, że jego Stasia jest w szpitalu.

– Tata jakby lepiej. Nocuję u rodziców, bo jeszcze w nocy, jak się obudzi, to zanim zorientuje się, co i jak, woła mamę. Boję się pomyśleć, co byłoby, gdyby ona... Wiesz, przeżyli ze sobą ponad sześćdziesiąt lat. I chyba nadal bardzo się kochają...

– Pozazdrościć takiego uczucia. Że też nam się taka miłość nie przytrafia – uśmiechnęła się smutno Tamara.

– Może dawniej ludzie mieli więcej czasu na miłość?

– Więcej czasu?

– No tak. Nie spieszyli się. Powoli poznawali, musieli się dłużej starać, czekać na pocałunek czy seks. A potem nie spieszyli się tak ciągle, mieli czas na rozmowy, na przyjrzenie się drugiej osobie, zauważenie jej. A teraz – wszystko szybko – od razu do łóżka, potem ciągnęła gonitwa, bo przecież praca i zarobić trzeba na tyle rzeczy, nie? No i nie ma kiedy popatrzeć na tego, obok kogo się budzisz. Zresztą po co? Zawsze można zmienić na inną osobę. Tak jak z ciuchami – wiesz, że jakość kiepska, tu odstaje, tu uciska, ale ważne, że na początku dobrze wygląda, bo i tak w kolejnym sezonie spodoba ci się coś innego. A dawniej kupowało się rzeczy na lata, więc trzeba było dobrze wybrać, dopasować i dbać.

Tamara zamyśliła się nad słowami koleżanki. Z pozoru irracjonalne porównanie, ale jak się głębiej zastanowić, to było w nim sporo prawdy.

Pomyślała o Szymonie, który zadzwonił do niej dwa dni temu. Umówili się w Kielcach, byli razem na zakupach. Pomogła mu wybrać kilka T-shirtów i letnią koszulę, sama kupiła sandały i spodnie. Potem poszli na Żółtą, na najlepsze lody w mieście. Było miło, a Szymon naprawdę starał się, żeby była zadowolona. Musiała przyznać, że lubi tego mężczyznę, chociaż ani u siebie, ani u niego nie dostrzegała żadnych sygnałów świadczących o większym niż zwykła znajomości zainteresowaniu. Może tak było nawet lepiej? Po prostu spędzić wesołe chwile z dobrym znajomym, zamiast szarpać się z własnym trzepocącym sercem i walczyć z tęsknotą? Może to właśnie jest to powolne dopasowanie, zamiast szybkiego i nieprzemyślanego wyboru? Czas pokaże...



Tym razem Marysia od razu zapukała do drzwi. Czekwała cierpliwie aż ktoś jej otworzy i rozglądała się po obejściu. Kiedyś musiało tu być naprawdę pięknie – stwierdziła. – Szkoda, że wszystko tak zarosło. Już nawet jakieś kwiaty na tym klombie zmieniłyby wiele na lepsze.

– Niech wejdzie – usłyszała zza pleców.

– Dzień dobry, panno Zuzanno – przywitała się, wchodząc do środka. Odpowiedzi nie było, ale nie przejęła się tym. Poznała już styl bycia staruszki i nie spodziewała się po niej niczego innego.

Kiedy otworzyła drzwi do salonu, u jej nóg natychmiast pojawił się Kronos. Bieganie nie szło mu jeszcze zbyt dobrze, potykał się o własne łapy, ale za to próbował z dużym zaangażowaniem szczekać. Wyglądał jak duża pluszowa zabawka na baterie.

Marysia kucnęła, żeby się z nim przywitać.

– Dzień dobry, ale on szybko rośnie! – powiedziała do panny Julii.

– I coraz bardziej psoci – odpowiedziała staruszka. – Zuzanna się denerwuje, bo wczoraj pogryzł jej ulubiony trzewik.

– Przyniosłam dla niego takie przysmaki do gryzienia. – Marysia sięgnęła do torebki. – Kupiłam u weterynarza, u nas w Kielcach. Tam mi pani doktor powiedziała, że będą dobre. Są z witaminami i z wapnem, żeby miał mocne kości.

– Połóż to, duszko, na stoliku. Zuzanna potem zabierze.

Dziewczyna podeszła do mebla i zauważyła u panny Julii na kolanach kawałek materiału, igłę i nici.

– Co to będzie? – zapytała z zaciekawiona.

– Nic wielkiego. Taka drobna słabostka, która sprawia, że czas szybciej mija...

– Jakaś robótka, tak?

– Owszem. Serwetka. Haft richelieu – odpowiedziała panna Julia.

– O, to ja nie wiem, co to jest – zmartwiła się Marysia. – Bo robienie na drutach to widziałam. A na szydełku sama się uczę od babci Róży. Ale to, ten risz...

– Richelieu – podpowiedziała staruszka.

– Tak, richelieu. Nigdy nie widziałam.

Panna Julia rozłożyła robótkę. Na białym tle haftowane kwiaty z ażurowymi listkami tworzyły piękny, misterny wzór.

– Cudne! I takie eleganckie. Wygląda jak delikatna koronka.

– Teraz oczy już nie te, co dawniej, to i wzory robię mniej skomplikowane. Kiedyś robiłam duże serwety i kuchenne zasłonki. Całe szuflady zostały tym wypełnione. – Panna Julia miała dużo mniej zachwyty dla swojego dzieła niż jej młody gość. – Więc mówisz, że ty też potrafisz coś zrobić?

– Chyba na razie niewiele – roześmiała się Marysia. – Dopiero się uczę. Zrobiłam sobie taką chusteczkę, namęczyłam się nad tym bardzo, ale...

– Nie wyszła?

– Wyszła, tylko zawinęłam w nią Kronosa. Wtedy jak go wyciągnęłam ze studni. Żeby się zagrzał, bo panna Zuzanna mówiła, że może umrzeć.

Panna Julia nic nie powiedziała, więc Marysia oddała jej robótkę i wróciła do zabawy z Kronosem. Piesek za wszelką cenę starał się wcisnąć w nogawkę jej spodni, zabawnie przy tym posapując i drapiąc.

– Skaranie boskie z tym psem. – Panna Zuzanna weszła do pokoju postukując laską. – Niech idzie i przyniesie tacę z herbatą – zwróciła się do Marysi. – W sieni postawiłam, bo mnie bez laski ciężko...

– Oczywiście.

Wniosła do pokoju ciężką srebrną tacę, na której ustawiony był porcelanowy dzbanek i trzy filiżanki. Delikatne, białe, ze złotym obrzeżem, malowane w różę. Postawiła tacę na stole.

– Nalać paniom od razu? – zapytała.

– A co myślisz? Że będziemy czekać aż wystygnie?

– Zuzanno, nie zawstydzaj naszego gościa – upomniała Julia. – Marysia może nie wiedzieć takich rzeczy. Teraz są inne czasy, nie przywiązuje się już takiej wagi do pewnych zasad. Lepiej podaj mi to, o co prosiłam.

Zuzanna kilkakrotnie zastukała laską, chcąc wyrazić swoją dezaprobatę, ale nie zaprotestowała. Wstała z fotela, wyjęła coś z szuflady rzeźbionej komody i podała Julii, która pokiwała głową i zwróciła się do Marysi podającej jej herbatę:

– Filiżankę postaw tutaj, duszko – wskazała na stolik. – A weź to.

Dziewczyna od razu rozpoznała swój szaliczek. Był czysty i starannie złożony.

– To chyba o tym mi mówiłaś?

– Tak, właśnie o tym – ucieszyła się Marysia. – Bardzo dziękuję!

– Tyle zachodu o taką szmatkę – zamruczała Zuzanna.

– Zuzanno! – przywołała ją do porządku Julia.

Marysia naprawdę ucieszyła się z odzyskanej chusteczki. Może nie była cenna, ale dla niej miała znaczenie. W końcu to jej pierwsza samodzielna praca.

– Jeszcze to weź. – Julia podała jej kolejną rzecz.

– A co to jest? – zapytała dziewczyna ze zdziwieniem.

– Taki drobiazg. Można powiedzieć, że Kronos ci dziękuje za uratowanie życia, duszko.

Marysia rozwinęła pakunek i zobaczyła, że prezentem była beżowa owalna serwetka ozdobiona haftem przedstawiającym owoce – jabłka i gruszki – połączone ozdobnym splotem listków i gałązek. Pogłodziła materiał delikatnie, żeby niczego nie zniszczyć.

– Dziękuję, ale ja nie...

– Dziękuję zupełnie wystarczy – ucięła Julia.

Panna Julia jest naprawdę miła i dobra – pomyślała Marysia, nalewając herbatę. Naraz dostrzegła, że brzeg jednej z filiżanek jest wyszczerbiony. W pierwszej chwili wystraszyła się, że staruszki mogą posądzić ją o uszkodzenie cennej pamiątki i już chciała powiedzieć o swoim spostrzeżeniu, gdy jej wzrok padł na dzbanek. Naczynie miało wyraźne pęknięcie, rysę biegnącą od pokrywki aż do samej podstawy. Co prawda dzbanek postawiony był tak, że pęknięcie znajdowało się z drugiej strony, ale nie udało się go do końca ukryć. Marysia, wiedziona jakimś impulsem, dyskretnie rozejrzała się dookoła. Popatrzyła na pokój uważnie, dokładnie, chcąc dostrzec każdy szczegół.

Jak to się stało, że nie widziała wcześniej zmechaceń na kotarach, miejsc po kilku brakujących kafkach na piecu, zniszczonych blatów na stolikach i innych meblach, ubytków w rzeźbionych ornamentach kredensu? Sądziła, że znalazła się w innym świecie, gdzie czas zatrzymał się kilkadziesiąt lat wcześniej, a tymczasem te staruszki żyły w resztkach swoich wspomnień, próbując zachować choć namiastkę świata, który znały i pamiętały z młodości.

Marysi zrobiło się żal mieszkańek dworu. Do tej pory nie pomyślała o tym, ale przecież one były po prostu biedne. Gdyby miały pieniądze, to klomb nie zarastałby chwastami, a dach dworku byłby nowy, a nie połatany kawałkami papy. Te kobiety nie miały już nawet siły, żeby dobrze posprzątać. Nic dziwnego – pomyślała. – Jedna jest zupełnie unieruchomiona, a druga porusza się z pomocą laski. O, rany, przecież im potrzebna jest pomoc! – pomyślała. – A ja, głupia, jeszcze psa im podrzuciłam!

– Poda mi tę herbatę wreszcie? – Panna Zuzanna głośno popędziła Marysię.

– Już podaję, panno Zuzanno – odpowiedziała szybko dziewczyna i nalała napój do drugiej filiżanki, tej, która nie miała wyszczerbienia. Myślała przy tym intensywnie, jak mogłaby coś zrobić dla staruszek. Nie zastanawiając się, postanowiła skorzystać z pierwszego pomysłu, jaki przyszedł jej do głowy.

– Tak sobie pomyślałam, że panie okazały wielkie serce, przygarniając Kronosa...

– Ja tam nic nie okazywałam – zaburczała Zuzanna. – To Julia się uparła. A teraz tylko kłopot...

– No właśnie, ja trochę o tym chciałam... Panie go przygarnęły, ale ja ciągle czuję, jakby był trochę mój. W końcu to ja go z tej studni wyciągnęłam, prawda? To trochę mój jest?

– Co ty, duszko, chcesz nam powiedzieć? – Julia podjechała wózkiem bliżej dziewczyny i przyjrzała jej się podejrzliwie. – Chyba nie chcesz go zabrać?

– Nie, nie – zapewniła Marysia.

– No i wielka szkoda.

– Zuzanno! – Julia znowu uciszyła staruszkę. – A ty, duszko, mów, o co chodzi.

– Bardzo chciałabym jakoś pomagać w jego wychowywaniu. Sama nie mogę za często przyjeżdżać, tylko z mamą na weekendy, ale pomyślałam, że może mogłabym kupować mu jedzenie. No nie sama, bo nie wiem, co panie mu dają, ale zostawiłabym pieniądze i to byłoby jakby ode mnie.

– Nie chcę nawet słyszeć podobnych bzdur! – Głos Julii był, jak zawsze, miły, ale tak stanowczy, że Marysia natychmiast zamilkła. – Jeszcze stać nas na wykarmienie tego biednego zwierzęcia. Nie potrzeba nam wsparcia. Nigdy niczego od ludzi nie brałyśmy i brać nie zamierzamy. – Wózek gwałtownie obrócił się i odjechał pod okno. Siedząca na nim staruszka ostentacyjnie dała do zrozumienia, że zakończyła rozmowę z Marysią.

Dziewczyna spojrzała na pannę Zuzannę, ale ta też nic nie powiedziała.

– To ja już pójdę. – Marysia schyliła się, żeby pogłaskać Kronosa. – Do widzenia i przepraszam. Nie chciałam nic złego.

– Niech mi tacę jeszcze wyniesie do sieni – zadysponowała Zuzanna i pokuśtykała za dziewczyną.

W korytarzu zatrzymała Marysię, łapiąc ją za rękaw sweterka.

– Niech da te pieniądze. Tylko niech Julii nic nie mówi – powiedziała swoim zrędlwym tonem. – I niech nie myśli, że nam czegoś brakuje. Ale jak to zwierzę przyniosła, to niech teraz ma nauczkę.

Marysia oddała staruszce trzydzieści złotych, wszystko, co miała przy sobie.

– Następnym razem też przyniosę – obiecała.

– Dla psa na jedzenie – uściśliła Zuzanna.

– Tak. Dla Kronosa, mojego psa.

Staruszka pokiwała głową, a Marysia poczuła się tak, jakby zawarła z tą kobietą jakiś tajny pakt, o którym nikt nie może się dowiedzieć.



– Czy ty wyjeżdżasz w ten weekend do tej swojej Borowej?

– A co? Planujesz kolejną babską imprezę z dochodzącym męskim towarzystwem? – Tamara miała naprawdę dobry nastrój. W pracy już czuć było wakacje, klienci nie myśleli o reklamie, tylko już planowali urlopy, więc nie miała wiele do roboty. A odkąd pani Zofia zamieszkała w białym domku, jeździła tam tylko raz w tygodniu, żeby zawieźć większe zakupy i na weekendy. Dzięki temu miała więcej czasu dla Marysi, chociaż córka coraz częściej spotykała się z Kamilem. Tamara to rozumiała i nie miała nic przeciwko temu. Po kilku trudnych miesiącach bardziej doceniała chwile, które miała tylko dla siebie. Nareszcie mogła poczytać, czy po prostu zrobić sobie maseczkę. Pomyśleć, że kiedyś narzekałam na samotność – uśmiechała się do siebie.

Nawet matka mile ją zaskoczyła. Tamara zadzwoniła, jak zawsze, i nawet myślała o tym, żeby zaprosić matkę do siebie na sobotni lub niedzielny obiad. Skoro babcia Róża miała zapewnioną opiekę, to nie musiała przecież spędzać w Borowej całego weekendu. Poza tym miała wyrzuty sumienia, że od Wielkanocy nie spędziły ze sobą więcej czasu, poza krótkimi wizytami i wypiciem kawy.

– Dziękuję ci bardzo za zaproszenie, ale jestem już umówiona – odpowiedziała matka, a głos miała zupełnie inny niż zawsze. Jakiś taki... radosny? – Jadę z Krysią i Józikiem do nich na działkę. Będziemy sadzić aksamitki i dalie, a wieczorem pić nalewkę.

– Jak uważasz, mamó.

– Tak uważam. A wy bawcie się dobrze. Do widzenia, idę piec rogaliki.

Co miała robić? Przecież nie martwić się tym, że matka wreszcie postanowiła się z kimś spotkać. Poszła więc za radą matki i spędziła kolejny weekend w Borowej.

Kilka razy spotkała się też z Szymonem. Byli nawet w kinie i na obiedzie. Fajerwerków emocjonalnych nadal nie odczuwała, ale chyba za nimi nie tęskniła. Za dużo ostatnimi czasy miała emocji i obecny spokój był jej bardzo na rękę.

Z zadowoleniem patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Spacerzy i pobyt na świeżym powietrzu najwyraźniej jej służyły, a wiosenne słońce zabarwiło twarz i ręce na przyjemny, jasnobrązowy kolor. W Borowej chyba nawet zmarszczki się wygładzają – żartowała w myślach.

– No? Impreza? – powtórzyła pytanie. – Jeżeli w piątek, to nie ma sprawy. Chętnie się pobawię.

– No to siły możesz zbierać – parsknęła śmiechem Marzena. – Ale chyba do zagniatania ciasta!

- Nie rozumiem?
- Już zapomniałaś, że miałam pomysł, jak pomóc pani Zofii?
- Aż boję się zapytać. Wystarczy, że widzę twój szalony wzrok.
- Rzeczywiście, trochę to szalone, ale może się udać.
- Słucham więc, co planujesz?
- Jest zamówienie na sześćdziesiąt babeczek. Tylko każde dwadzieścia musi być inne. Jedne waniliowe, drugie czekoladowe, a trzecie mają mieć w środku wróżbę.
- Jaką wróżbę?
- Byle jaką. No, taką karteczkę z jakimś tekstem. Na przykład: „rozejrzyj się, bo ktoś cię kocha”, albo „jutro spotka cię szczęście”.
- Po co ci to, wariatko?
- Jak się uda, to odszczekasz tę wariatkę. A babeczki są dla zaprzyjaźnionych kawiarni. Na razie udało mi się namówić trzy na mały eksperyment. Będą dodawać babeczkę jako gratis do kawy albo herbaty. Jak się ludziom spodoba, to wezmą więcej i będą stałe zamówienia. Tylko – dodała, robiąc zasmuconą minę – na razie płacą jedynie dwa złote za sztukę. Nie udało mi się więcej wynegocjować, nie jestem tak dobra jak gwiazda naszej agencji, Tamara Sokołowska.
- Naprawdę jesteś wariatką. – Tamara pokręciła głową. – Ale pomysł niezły, serio. To może chwycić.
- Zupełnie automatycznie weszła w zawodowy tok myślenia. – Poranna kawa albo romantyczna randka i do tego babeczka z wróżbą...
- Ktoś tu mówił o babeczkach? – Ewelina pojawiła się w drzwiach niespodziewanie i nie czekając na odpowiedź, rzuciła:
- Jakby co, to ja chętnie w poniedziałek wezmę ze dwadzieścia. No, a teraz pa pa, do zobaczenia po weekendzie. Nie wiem jak wy, ale ja nie zamierzam siedzieć po godzinach – pomachała koleżankom i wyszła.
- Ona ma chyba jakiś radar, który ją naprowadza na słodycze – roześmiała się Tamara.
- A ty jednak szykuj się na to zagniatanie ciasta. Osiemdziesiąt babeczek to nie lada wyzwanie!



Nie żałowała ani przez chwilę, że zadzwoniła do Krysi. Spędziły razem bardzo miły dzień. Pobyt w Świętej Katarzynie, gdzie Józikowie od lat mieli domek letniskowy, dobrze jej zrobił. Dawno nie spędziła całego dnia na świeżym powietrzu.

Wiedziała, że Krysia kocha kwiaty i swój ogród, ale nie miała pojęcia, że zobaczy coś tak pięknego. Kwitnące azalie i rododendrony tworzyły na tle zieleni liści całą paletę kolorowych plam – od jasnożółtej, przez pomarańczową i fioletową, aż po nasyconą czerwień. Tawuły rosnące wzdłuż ogrodzenia pokryte były ogromnymi kiściami białego kwiecia, od którego gałęzie aż chyliły się ku ziemi. Doskonale dobrane iglaki zarastały powierzchnię pod drzewami, a igły w różnych odcieniach zieleni: żółtawym, ciemnozielonym i niebieskawym tworzyły miłą dla oka kompozycję, którą ożywiały jeszcze fioletowe kwiaty barwinka.

Ewa Dobrosz doceniała wysiłek koleżanki, która na piaszczystej glebie Gór Świętokrzyskich potrafiła stworzyć tak wspaniałą oazę zieleni, w której odpoczywało nie tylko ciało, ale i dusza.

Józik wypił z nimi kawę i zniknął w swoim warsztacie, gdzie stukał i wiercił aż do obiadu.

– Ja naprawdę nie wiem, co on tam robi. Jeszcze nigdy nie widziałam konkretnego efektu tych odgłosów – wyznała Krysia. – Ale mu nie przeszkadza. Skoro to lubi, niech stuka.

Ewie też zupełnie to nie przeszkadzało, szczególnie że dzięki temu mogły swobodnie rozmawiać.

– Krysiu, chciałabym cię przeprosić. – Chociaż rozmowa toczyła się zupełnie normalnie, to Ewa poczuła, że dłużej nie wytrzyma napięcia i zdecydowała się powiedzieć to, co leżało jej na sercu. – Zachowałam się w sposób niedopuszczalny. – Widząc, że koleżanka chce coś powiedzieć, powstrzymała ją gestem. – Proszę, pozwól mi dokończyć, bo jeżeli przerwę, to nie wiem, czy drugi raz uda mi się to z siebie wydusić. Znasz mnie od lat i wiesz, jaka jestem.

Krysia pokiwała głową.

– No właśnie – kontynuowała Ewa. – Wiem, że to wszystko, co mówiłaś, było szczere i że zrobiłaś to dla mojego dobra. Co gorsza, dla mnie oczywiście, po przemyśleniu doszłam do wniosku, że wiele z tego jest prawdą. Nie wszystko, nie do końca, ale naprawdę wiele. Nie zasłużyłaś na takie traktowanie. Naprawdę bardzo sobie cenię naszą... – chciała powiedzieć „znajomość”, ale to słowo niespodziewanie wydało jej się zbyt oficjalne, zupełnie nieodpowiednie do ich relacji, więc dokończyła tak, jak podpowiadało jej serce – przyjaźń. I nie chciałabym jej stracić. Dlatego przepraszam i mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Ewuniu, naprawdę nie ma o czym mówić! Jak mogłabym się na ciebie gniewać? Sama mówisz, że znamy się tyle lat, więc drobna niezgoda nie może tego popsuć.

– No to kamień spadł mi z serca – ucieszyła się Ewa.

Teraz już spokojna, mogła wygodniej rozsiaść się w ogrodowym fotelu i rozkoszować pięknem ogrodu. Od dawna nie czuła się tak dobrze i swobodnie. To było zupełnie nowe uczucie – być sobą w obecności drugiej osoby, przyznać się do swojej omyłki i nie czuć, że traci się przez to autorytet.

Rozmawiały o ogrodzie, trochę o zbliżających się wakacjach, Krysia opowiedziała, co słychać u jej dzieci. Ot, zwykła rozmowa w ciepły czerwcowy dzień. Niby nic, ale dla Ewy taka sytuacja była niezwykła. Zdała sobie sprawę, że właściwie nigdy z nikim w taki sposób nie rozmawiała. Tak niby o niczym, ale bez obawy o ocenę, swobodnie...

– A Tamara pojechała znowu do tej pani na wieś? – zapytała Krysia.

Tym razem pytanie o Borową i Różę Marcisz wydało się Ewie zupełnie naturalne. Nie odebrała go jako wtrącanie się w jej sprawy, nie poczuła napięcia i lęku. Czy to magia przyrody, czy świadomość, że pyta ją o to... przyjaciółka?

– Tak, pojechała – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Wiesz, nawet chciała zostać i zaprosić mnie na obiad, ale odmówiłam.

– Żeby jej zrobić na złość? – Krysia spojrzała na koleżankę uważnie.

– Wyobraź sobie, że nie. – Ewa sięgnęła po słomkowy kapelusz, bo słońce zaczynało przygrzewać coraz mocniej. – Po prostu wolałam przyjechać do ciebie. A poza tym, po co mam je tu trzymać na siłę?

– Może naprawdę chciała...

– Mam taką nadzieję, ale przyjemniej spędzi czas na wsi. Zresztą... ja muszę się jeszcze trochę nad sobą zastanowić...

Krysia nie odpowiedziała, ale czuła, że Ewa jest jakaś inna. Nie chciała jednak zmuszać koleżanki do zwierzeń. Zresztą wiedziała, że z Ewy Dobrosz nie da się wyciągnąć żadnych informacji, o ile sama nie zechce się nimi podzielić. Postanowiła czekać.

Wspólnie przygotowały prosty obiad – zsiadłe mleko z ziemniakami posypanymi koperkiem.

– Skąd ty wzięłaś mleko, które się zsiada? – nie posiadała się z zachwytu Ewa. – Nie jadłam go od lat, bo to ze sklepu to się tylko zepsuć może.

– Mam dojście do ostatniej krowy w gminie – roześmiała się Krysia. – Nie wiadomo, jak długo będą jeszcze żyć – krowa i jej właścicielka – więc korzystam, póki się da.

– Pamiętam takie jedzenie z dzieciństwa. Zajadałam się młodymi ziemniakami z koperkiem prosto

z ogródka i... – Ewa bez namysłu podzieliła się wspomnieniem, ale w połowie zdania zamilkła. Odsunęła talerz, bąknęła:

– Przepraszam...

I wyszła z kuchni.

Krysia odczekała chwilę, żeby dać jej czas na opanowanie emocji. Potem poszła sprawdzić, co dzieje się z koleżanką. Znalazła Ewę w samym końcu ogrodu. Stała oparta o pień jabłoni, zatopiona w myślach.

– Ewuniu, ja nie nalegam. – Krysia delikatnie dotknęła ramienia koleżanki. – Ale widzę, że coś cię dręczy. Gdybyś chciała...

– Tak, wiem – odpowiedziała krótko Ewa.

Stały w milczeniu. Wreszcie gospodyni zdecydowała.

– Widzę, że wolisz zostać sama. Poczekam w kuchni. Ziemniaki będą gotowe za dziesięć minut.

Nie musiała czekać aż tak długo. Ewa wróciła tuż po niej.

– Krysiu, nie zrozum mnie źle, ale każdy ma coś takiego, o czym nie chce albo nie potrafi mówić. Zresztą, sama dobrze o tym wiesz. I co tu kryć, ja też mam swoją tajemnicę.

– Domyślam się, że ma to jakiś związek z tą kobietą, do której jeździ Tamara? – W pytaniu Krysi nie było natrętnej ciekawości i Ewa o tym wiedziała.

– Tak, dobrze się domyślasz. To wszystko jest bardzo skomplikowane i trudne. Wolałabym o tym nie myśleć. I nawet próbowałam zapomnieć...

– O pewnych rzeczach nie da się zapomnieć, choćby się bardzo chciało – westchnęła Krysia.

– Właśnie. Nie da się. A ja całe życie wierzyłam, że mi się uda. A teraz... teraz sama nie wiem, co robić...

– Nie wiem, Ewuś, co ci powiedzieć. Mogę tylko to, co sama przeżyłam. Trzeba się pogodzić. Z tym, co było też, ale przede wszystkim ze sobą. Zaakceptować, bo przeszłości nie da się zmienić. To bardzo trudne, wiem. – Usiadła na drewnianej ławie obok koleżanki i objęła ją ramieniem. – Trudne i boli. Ale potem jest ulga. Ogromna.

– Nie jestem pewna...

– A ja jestem, bo mam to już za sobą. Nie zapomnisz, takie próby to tylko strata czasu. Lepiej pomyśl, co z tym zrobić teraz. Czego byś chciała. I zrób to. Bo inaczej braknie ci sił na walkę z samą sobą.

– Krysiu, ja naprawdę nie czuję się na siłach, żeby stawić temu czoła jeszcze raz.

– A masz siły, żeby się dalej dręczyć?

Ewa Dobrosz nie odpowiedziała. Znowu poczuła znajome klucie w okolicach serca. Westchnęła. Potrzebowała czasu, żeby to przemyśleć. Na szczęście koleżanka była nie tylko sympatyczną, ale i mądrą osobą.

– No, odcedzaj ziemniaki – szturchnęła Ewę w bok. – A ja zawołam Józika.

Wyszła i po chwili Ewa usłyszała jej radosny szczebiot:

– Józiku, ziemniaczki stygną. Wyjdź już z tej szopy i zapewnij nam męskie towarzystwo przy pysznym obiadku.

Słyszając takie słodkie słówka, można było pomyśleć, że Krysia to mała bezradna kobietka, która nie potrafi samodzielnie niczego zrobić. Ewa uśmiechnęła się do siebie. Doskonale wiedziała, że to tylko pozory. Krysia potrafiła być precyzyjna i zorganizowana, a dzisiaj pokazała, że ma także wielkie serce i ogromną mądrość. Mieć taką przyjaciółkę to prawdziwe szczęście – pomyślała Ewa Dobrosz. – Jak ona ze mną wytrzymała przez te wszystkie lata?

Resztę dnia spędzili spacerując po Puszczy Jodłowej. Zajrzeli na chwilę do klasztoru i doszli do źródelka przy kapliczce św. Franciszka. Łysica, najwyższy szczyt Gór Świętokrzyskich, tym razem nie została zdobyta. Wybrali relaks w ogrodzie zamiast turystycznych wyzwań, zwłaszcza że Józik nie mógł

się doczekać przywiezionego przez Ewę sernika.

Zaczynało się już ściemniać, gdy Krysia dała sygnał do powrotu. Szybko zebrały swoje rzeczy i wsiadły do samochodu.

– Józiku, gdzie ty się podziewasz – krzyknęła gospodyni. – Co to za maniery?! Kobiety czekają!

Mężczyzna wyszedł zza rogu domu z papierową torebką, którą po wejściu do samochodu podał Ewie.

– Wiśniówka sprzed dwóch lat – powiedział tylko.

Krysia odwróciła się w stronę koleżanki i wzruszając ramionami, zrobiła zdziwioną minę, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia, z jakiego powodu ten prezent.

Ewa miała łzy w oczach. Tak dobrze było spędzić dzień w towarzystwie i poczuć, że jest się dla kogoś ważną. Była wdzięczna koleżance i jej mężowi za okazaną sympatię. Nie zdawała sobie sprawy, że okazywali ją zawsze, ale dziś to właśnie ona po raz pierwszy się na nią otworzyła.



– Mamo! Mamoo!

Wołanie dochodziło od strony drogi. Róża Marcisz odłożyła robótkę i podniosła się z fotela.

– Mamo!

A któż tam tak krzyczy? – zastanawiała się.

Podeszła do okna i nie odsuwając firanki, wyjrzała na zewnątrz. Na drodze, tuż przy płocie stała Kasia, córka pani Zofii. Róża przez chwilę zastanawiała się, co robić.

– Mamo! Proszę cię, wyjdź!

Wyglądało na to, że Kasia nie zamierza odejść. A może stało się coś ważnego? – zastanawiała się Róża.

Pani Zofia poszła na poszukiwania jednej z kur, którą o poranku tak wystraszył Barnaba, że z głośnym gdakaniem uciekła w stronę lasu. Kot urządzał sobie czasami taką zabawę – udawał polowanie i z zaskoczenia wyskakiwał na upatrzonego ptaka. Żadnemu dotąd jeszcze krzywdy nie zrobił i niektóre już zobojeźniały na te figle, ale od czasu do czasu znajdowała się jakaś bardziej nerwowa kura, której potem trzeba było szukać po okolicznych polach. Barnaba dostawał burę, którą w ogóle się nie przejmował, a odnaleziony ptak wracał do kurnika. Zwykle zajmował się tym Łukasz, ale dzisiaj pani Zofia stwierdziła, że ma ochotę na spacer i poszła w stronę lasu, żeby sprowadzić uciekinierkę z powrotem.

Róża popatrzyła na stojącą przy płocie kobietę, szukając w niej małej dziewczynki, którą pamiętała sprzed lat. Niewiele odnalazła, może jedynie oczy się nie zmieniły – nadal były duże i niebieskie, chociaż mocny makijaż bardziej je szpecił niż podkreślał. Blond loczki Kasia zamieniła na czarne proste włosy do ramion, szczupła talia także należała do przeszłości. Kto tutaj przyszedł? – myślała Róża. – Córka, która tęskni za matką, czy żona Jarka, który ma ciężką rękę i jest bardzo nerwowy? Cóż, zobaczymy...

Otworzyła okno i zawołała:

– Pani Katarzyno, niestety Zofii nie ma!

– Proszę mnie nie oszukiwać! Ja muszę się zobaczyć z matką! – odkrzyknęła kobieta.

– Dlaczego miałabym kłamać?

– Proszę jej powiedzieć, że muszę z nią porozmawiać.

– Powiedziałabym, nawet chętnie, ale powtarzam pani, że jej nie ma.

– Mamooo! – Kasia najwyraźniej nie przyjmowała do wiadomości słów Róży. – Mamo! Wyjdź do mnie!

– Nie ma sensu, żeby pani krzyczała, to nic nie da. Zofii nie ma – powtórzyła Róża po raz trzeci.



– Nie wierzę pani!

– W takim razie zapraszam do środka. Sama pani sprawdzi.

Kasia jakby tylko na to czekała. Natychmiast podeszła do furtki i po chwili była już w kuchni.

Rozglądała się po pomieszczeniu, z zaciekawieniem zerkała na drzwi do pokoju.

– Tam też się nie ukryła – powiedziała spokojnie Róża. – Może pani zobaczyć.

– Nie, nie trzeba – zreflektowała się w końcu kobieta. – Przepraszam, że ja tak... ale naprawdę muszę się zobaczyć z mamą. To ważne.

– Dla kogo?

Kasia spojrzała ze zdziwieniem na gospodynię.

– Nie rozumiem? Ważne, po prostu.

– Skoro pani tak mówi. Proszę usiąść – wskazała na krzesło. – Napije się pani czegoś?

– Tak, chętnie. Ma pani może colę?

– Niestety nie. Ale mogę zaproponować kompot.

– A z czego?

– Z rabarbaru. Pani mama robiła, więc jest wyśmienity.

– To poproszę.

Wzięła z rąk Róży szklanekę i popijając kompot, bez skrupowania rozglądała się po kuchni.

– Podoba się tutaj pani? – zapytała prowokacyjnie staruszka.

– Czy ja wiem? – Kasia wydeła pomalowane na różowo wargi. – Komfortowo to tutaj nie jest...

– Ale za to spokojnie – powiedziała Róża, patrząc gościowi prosto w oczy.

Kasia chyba zrozumiała sugestię, bo próbowała zmienić temat.

– A mama gdzie poszła?

– Szuka kury, która nam rano uciekła.

– To pani mamę wysłała, żeby biegała po polach?

– Nikogo nigdzie nie wysłałam.

– Naprawdę? – zapytała Kasia ironicznym tonem. – A ja myślałam, że mama jest u pani służącą.

– Zofia nie jest i nigdy nie była dla mnie służącą. A teraz jest tu domownikiem.

– I dlatego łapie kury? Przecież ona ma chore nogi!

– Naprawdę? – zapytała Róża, naśladując Kasię.

– A domownikiem to mama tu nie musi być. Ma swój dom.

Róża bez słowa podeszła do okna. Spojrzała na drogę i zobaczyła Zofię z kurą pod pachą.

– Człowiek sam decyduje, gdzie jest jego dom. To się czuje – popatrzyła na Kasię i pokiwała głową. –

A gdzie jest dom Zofii, to już ona sama pani powie.

– Różo, czy ty wiesz, gdzie... – zaczęła Zofia, wchodząc do kuchni, ale widząc córkę, przerwała w pół zdania. – Co ty tutaj robisz?

– Co ja robię? Raczej powinnam zapytać, co mama wyprawia. – Kasia na widok matki odzyskała pewność siebie. – Poszła sobie mama nie wiadomo gdzie. Zdenerwowałam się, że coś się mamie stało!

– Po dwóch tygodniach? – zapytała Róża.

– Czy my możemy porozmawiać sam na sam? – zapytała matkę Kasia, zupełnie lekceważąc komentarz gospodyni.

Zofia spojrzała na Różę niepewnie, ale ta uśmiechnęła się, dodając Zofii otuchy.

– Będę w sadzie – powiedziała. – Jak skończycie, to przyjdź do mnie, Zofio. Odpoczniemy na słoneczku.

Kiedy za Różą zamknęły się drzwi, Kasia natychmiast oznajmiła matce:

– Wracamy do domu.

– Kiedy mnie tutaj dobrze – powiedziała Zofia. – Dlaczego miałabym wracać?

– Mamo, czy mama rozum straciła? Najpierw ta afera z chowaniem pieniędzy, a potem mama wychodzi i nie wraca. Co ja się nerwów najadłam przez mamę! Jarek to dostał furii! I nic dziwnego, bo to przecież wstyd na całą wieś. Będą sobie nami gęby wycierać do końca życia. – Kasia naprawdę była zdenerwowana. Szklanka, którą trzymała, drżała wraz z ręką tak mocno, że kobieta gwałtownie odstawiła ją na stół.

– Przecież sam mi kazał zejść mu z oczu. I ty też – powiedziała ze smutkiem Zofia.

– To w nerwach było, przecież mama dobrze wie. I chyba się nie dziwi, bo naprawdę mama przesadziła.

– Z czym niby? Że prezenty wnukom kupiłam?

– No właśnie. Tak je mama kocha, a teraz to się mama nie martwi, kto się nimi zajmie?

– Mają matkę i ojca. Na co im babka, która się nimi nawet dobrze zaopiekować nie potrafi?

Kasia podeszła do matki i ze złością popatrzyła jej w oczy.

– Czy mama nie rozumie, że ja nie daję rady? Dzieciaki się nie słuchają, a Jarek to już taki nerwowy, że strach się odezwać. Niech mama wraca, niech się ten wstyd już skończy i niech ja mam trochę spokoju, bo zwariuję. To co? Idziemy – stwierdziła, jakby uznając sprawę za załatwioną.

Zofia przyjrzała się córce. Słuchała tego, co mówi i miała wrażenie, że stoi przed nią obca osoba. To nie była jej mała córeczka, to słodkie dziecko, które nosiła na rękach. Kiedy zobaczyła ją kilka minut wcześniej, serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi – tak się ucieszyła. Odkąd spędziła pierwszą noc u Róży, nieustannie na to czekała. Była pewna, że córka przyjdzie już następnego dnia. Ale nie przyszła. Tak samo jak przez następny tydzień, i kolejne dni. Zofia nadal czekała, nadal wierzyła.

Tak bardzo pragnęła zobaczyć ukochaną córkę. I usłyszeć, że chce jej powrotu, bo ją kocha i tęskni za nią. Wyobrażała sobie, jak się przytulają, jak razem płaczą ze szczęścia.

Wreszcie się doczekała. Kasia przyszła. I nawet chciała jej powrotu. Tyle że nie obchodziło jej wcale, co matka czuje. Nie widziała nic złego w tym wszystkim, co się wydarzyło, a jeżeli już, to jedyną winną była jej zdaniem Zofia. A tym, co ją obchodziło najbardziej, była własna wygoda, darmowa opiekunka do dzieci i to, co ludzie powiedzą.

Czy ja ją tak wychowałam? – pomyślała Zofia. – Dlaczego ona taka jest?

Z drugiej strony to była jej córka, jej jedyne dziecko. I mówiła, że sobie nie radzi. To tak, jakby prosiła o pomoc. Może nie umie inaczej powiedzieć, może się wstydzi? Ona zawsze, od dziecka, nie lubiła okazywać słabości. Miała dobre serduszko, ale udawała, że jest inaczej...

– Niech się mama pospieszy. – Głos Kasi wyrwał ją z zamyślenia. Córka niecierpliwie postukiwała dłonią w oparcie krzesła. – Obiad nawet nieruszony, a ja mam za godzinę kosmetyczkę w Jagodnie. Przecież trójki dzieciaków nie będę ze sobą ciągnąć...

– Nigdzie nie idę. – Zofia w jednej chwili podjęła decyzję. Najtrudniejszą w życiu.

– Jak to?! Musi mama wrócić do domu! Nie ma innej możliwości! – Kasi puściły nerwy. – Przecież Jarek się wścieknie, jak mamy nie przyprowadzę!

Zofia pomyślała o zdenerwowanym Jarku, patrzącym na nią z góry, o krzyczącej córce i o niegrzecznym Krzysiu.

– Tutaj jest mój dom – powiedziała z przekonaniem, chociaż w sercu miała ogromny smutek i żal. – I nie krzycz na mnie, córciu. – Postawiła na plastikowej tacy dzbanek z kompotem i dwie szklanki. – A teraz już idź, bo się spóźnisz do tej kosmetyczki. Ja muszę odpocząć, bo bolą mnie nogi.

Kasia chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Zaciśnęła usta i zamaszystym gestem zarzuciła torebkę na ramię. Wyszła, nawet nie mówiąc „do widzenia”. Zofia otarła brzegiem podomki łzę, która spłynęła jej po policzku. Wzięła tacę do rąk i powoli, bo nogi naprawdę trochę bolały po długim spacerze, poszła

do sadu.



– Kasia już poszła?

– Ano poszła. – Zofia usiadła na rattanowym fotelu. Podłożyła sobie pod plecy poduszkę, a nogi wyciągnęła przed siebie.

– A ty zostałeś – stwierdziła Róża.

– Ano zostałam – potwierdziła Zofia.

Zamilkły. Chociaż lato zaczynało się dopiero za dwa tygodnie, to pogoda nic sobie nie robiła z ustalonych przez człowieka dat i pokazywała prawdziwie wakacyjne oblicze. Miło było siedzieć w cieniu gruszy i wystawiać twarz do ciepłych promyków, którym udało się przecisnąć między liśćmi. Pola zieleniły się od ziemniaczanych krzaków, a na łące falowały trawy, których jednolitą barwę rozświetlały barwne punkciki – maki, chabry i kończące już kwitnienie podbiały. Bzyczenie pracowitych owadów, które mimo upału nie przeoczyły żadnego kwiatu, i szum liści tworzyły naturalną melodię, pozwalającą naprawdę odpocząć.

– Lada dzień sianokosy...

– Jak się pogoda utrzyma, to może i za dwa dni już zaczną – ożywiła się Zofia. – Ja to zawsze lubiłam do siana chodzić. Namachał się człowiek grabiami, ale za to zapach taki, że piękniejszego nie ma.

– Tak, ja też lubię jak świeżo skoszona trawa pachnie – zgodziła się Róża. – Kiedyś, jak jeszcze młoda byłam, to uwielbiałam na takim sianie spać. Tylko prześcieradło się rozłożyło, żeby za bardzo nie kłuło. A w nocy, przez dziury w dachu stodoły, gwiazdy było widać...

– Mnie to się i w stogu zdarzało spać – uśmiechnęła się Zofia do swoich wspomnień. – Tylko noce chyba były cieplejsze niż teraz, bo nawet nad ranem nie czuło się zimna.

– Człowiek był młody, to nie odczuwał. – Róża zamyśliła się i szydełko w jej rękę znieruchomiło. – Pamiętam jak z Kielc wyjeżdżałam, to też w czerwcu było, i wcale nie myślałam, że wojna, że uciekam, tylko cieszyłam się, że tak tu pięknie i z chabrów sobie zrobiłam wianek... A chłopci siano zbierali jak gdyby nigdy nic...

– Bo wojna, nie wojna, a zebrać trzeba – powiedziała z przekonaniem Zofia. – Ja tych czasów nie pamiętam, ale ojciec zawsze mówił, że co by się na świecie nie działo, to jedzenie potrzebne. I ziemię uprawiać trzeba. Tak zawsze było. Dopiero teraz mówią, że się nie opłaca. – Sięgnęła po dzbanek z kompotem i napełniła obie szklanki. – Dawniej się jakoś opłacało, nawet na kawałku pola ziemniaki posadzić albo żyto. Zawsze to coś swojego było. I za darmo, tyle co własna robota. A teraz? Kasia z Jarkiem to już dawno w polu nic nie robią. I mówią, że w sklepie kupować to taniej wychodzi. Ja tego nie rozumiem. No ale przecież oni mają rozum i lepiej wiedzą, jak powinno być.

– Tak uważasz?

– Do końca to ja nie wiem, ale się nie wtrącam. Stara już jestem, nie znam się na tym nowoczesnym życiu, to co będę gadać.

– Na nowoczesnym to może i się nie znasz, ale o dobrym, uczciwym i pracowitym to chyba coś wiesz?

– A i owszem, starałam się nikogo nie krzywdzić. Chciałam, żeby było uczciwie.

– I było.

– Teraz to ja sama nie wiem. – Zofia wzruszyła ramionami. – Bo to się wszystko jakoś pozmieniało.

– Zofio, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Dobry człowiek to dobry człowiek. A zło to zło.

– Może i tak. Tylko jeśli tak patrzeć, to ze mnie zła matka. Dzisiaj na swoje dziecko patrzyłam i jakbym

kogoś obcego widziała. Nie poszłam z Kasią, pomocy odmówiłam...

– I ciężko ci teraz na sercu?

– Ano ciężko. Ale i trochę lekko. Bo ja od dawna myślałam, że ja tam do nich już nie pasuję. A dzisiaj tak jakoś wyraźnie to zobaczyłam. Kasia nawet za mną nie tęskniła, tylko dzieci nie miała z kim zostawić. Tylko po to do matki przyszła po dwóch tygodniach. Tylko po to... – nie potrafiła ukryć łez żalu i rozczarowania.

Róża Marcisz zastanowiła się przez chwilę, a potem powiedziała:

– Czasami już tak jest, że najdroższe sercu osoby nas zawiodą albo rozczarują. Może właśnie dlatego tak to boli, że je kochamy. Jeżeli ktoś obcy nas skrzywdzi, to łatwiej się z tym uporać, ale z żalem do najbliższych dużo trudniej. Ja myślę, że najlepiej wybaczyć. I wierzę, że nikt nie robi źle z rozmysłem, że zawsze ma jakieś ważne powody. A czasem nawet nie wie, jak bardzo nas rani. Więc tym bardziej trzeba wybaczyć. Dla niego i dla siebie. To przynosi ulgę.

Zofia, słuchając, kiwała głową. Słowa Róży Marcisz łagodziły ból, który czuła.

– A może powinnam była zapomnieć o tym, co było i wrócić z Kasią? – zapytała.

– Tego nie wiem. I nie mogę ci doradzić, bo sama musisz zdecydować. Za to wiem, że każdy ma prawo do godnego życia. I nie można pozwolić, żeby ktoś nam je odbierał. Nawet w imię miłości. Bo miłość powinna przynosić szczęście, a nie cierpienie. Ty zostałam tutaj, Zofio. To chyba już jest jakaś decyzja?

– Może zbyt szybko, bez pomyślunku...

– Zawsze możesz ją zmienić.

– Muszę o tym wszystkim spokojnie pomyśleć.

– Oczywiście – szydełko w jej ręku znowu zaczęło poruszać się miarowo.

Przez chwilę obie siedziały pogrążone we własnych myślach. Wysoko na niebie śpiewał skowronek, a jaskółki raz po raz wlatywały pod dach obórki, nosząc swoim wiecznie głodnym piskłom kolejne złowione łupy.

– Tak sobie myślę o tym, co mówiłaś. Że nie pasujesz do nowoczesnego życia, do życia swoich dzieci. I przyszło mi do głowy, że dopasowywanie się do czyjegoś życia to nie jest dobry pomysł. Ale porównanie to ci się akurat udało.

– Nie rozumiem...

– Bo ty przecież szyjesz, prawda? I jesteś doskonałą krawcową.

– Coś tam potrafię, ale żeby zaraz doskonałą, to nie. – Zofia zaprotestowała, jak zawsze, gdy ktoś mówił, że coś potrafi.

– W każdym razie z tym dopasowaniem to tak, jak przy szyciu. Trudno dopasować człowieka do ubrania. Nawet jak niby rozmiar odpowiedni, to i tak zawsze coś odstaje albo się marszczy.

– O, tu masz rację – pokiwała głową Zofia. – Niby szyją według wymiaru, ale zawsze coś jest inaczej. Poza tym jeszcze nie spotkałam, żeby ktoś był dopasowany pod rozmiar. Albo ma w pasie za dużo, albo za wysoki...

– No i z życiem jest tak samo. Jak weźmiesz takie, które ktoś inny wymyślił, to zawsze nie będzie pasowało. Jak ubranie.

– Bo trzeba odwrotnie – ubranie na osobę szyć. Wiedzieć, czego chce, jak to ma wyglądać. No i miarę dobrze zdjąć.

– Oczywiście – uśmiechnęła się Róża. – I życie też. Musisz wiedzieć, czego chcesz. Co ci pasuje, co lubisz. I wtedy dopiero je tworzyć, uszyć najlepsze dla siebie. Wymarzyć sobie i potem te marzenia zrealizować. Swoje, nie czyjeś.

– Takie marzenia szyte na miarę? – Zofia spojrzała z zaciekawieniem na Różę.

– Ładnie to powiedziałaś. Właśnie tak, o to mi chodziło.

– To myślisz, że ja żyłam w takim niedopasowanym życiu?

– Przecież sama powiedziałaś, że tak czujesz. No to, jak już o tym szyciu mówimy, chyba gdzieś cię uwierało i gdzieś się popruło...

– Ale jak się popruje, to zawsze można coś poradzić.

– Ja się na tym nie znam. To ty jesteś krawcową – uśmiechnęła się znowu Róża. – To się zastanawiaj, czy lepiej stare zszywać, czy z tego materiału skroić coś nowego. Na miarę.



Tym razem Marysi zależało, żeby znaleźć się sam na sam z panną Zuzanną. Miała nadzieję, że staruszka jej otworzy albo odprowadzi ją do drzwi, bo chociaż oczywiście bardzo chciała zobaczyć Kronosa, była też inna ważna sprawa, którą mogła omówić jedynie z panną Zuzanną. I też nie miała żadnej gwarancji, że uda jej się przekonać staruszkę do swojego konceptu.

Właściwie to na pomysł wpadł Kamil. Bo oczywiście opowiedziała mu o wizycie w dworku. I o tym, że tam wszystko jest piękne, ale tylko na pierwszy rzut oka. Bo tak naprawdę każda rzecz jest stara i zniszczona, a staruszki żyją bardzo biednie.

– Może trzeba im jakoś pomóc? – zapytał Kamil.

– Ale jak? One niczego nie przyjmą. Wiesz, są bardzo honorowe. Ta Julia to zachowuje się jak prawdziwa dama. Tylko chyba nie chce zrozumieć, że wszystko się zmieniło. A panna Zuzanna może nie jest taka arystokratyczna, za to przynajmniej nie tak uparta.

– No to trzeba jakoś tak, żeby mogły przyjąć. No, żeby nie czuły się z tym źle. Coś podobnego jak z tym dokarmianiem psa. To był niezły pomysł.

– Samo jakoś tak wyszło – stwierdziła Marysia. – No i będę im zawoziła kieszonkowe, bo teraz nie mam za bardzo żadnych wydatków. Ciuchy i tak mi mama kupuje, a inne rzeczy to, wiesz, już mnie nie kręca.

– No to już im jakoś pomożesz.

– Ale co to jest! Ty nie widziałaś, więc nie wiesz. Tam się wszystko wali, nawet krzesła mają powycierane siedzenia, a dzbanek na herbatę jest pęknięty! A one siedzą, jakby nic się nie zmieniło od siedemdziesięciu lat. O, patrz, Julia siedzi na wózku, haftuje takie cudowności i nie zastanawia się, co będzie jutro jadła.

– Może się zastanawia, tylko przed tobą tak udaje? – powiedział chłopak. – Nie chce pokazać, że jest źle.

– Może... No to tym bardziej mi ich żal. Sam pomysł – zostać na starość w takiej ruinie. Mają nawet gorzej niż było u babci Róży. No mówię ci, dramat!

Kamil spojrzął na leżącą na fotelu serwetkę.

– A może to?

– Co?

– No to haftowanie. Jak one to ciągle robią, to może sprzedawać? Babcia Róża robi tym, no, szydełkiem i ludzie to chcą, prawda? A takiego to by nie chcieli?

– Dobra myśl! – ucieszyła się Marysia. – Zaraz zobaczymy, czy to coś warte – włączyła komputer i weszła na Allegro. Wpisała hasło: haft richelieu.

A teraz prawie biegła do dworku. Bo okazało się, że nawet niewielkie haftowane serwetki można sprzedać za całkiem niezłą kasę. Zwłaszcza za granicą. A przecież staruszki mają tego dużo, Julia sama mówiła. Może zgodziłyby się na wystawienie ich robótek na serwisie aukcyjnym? To przecież nie jest

poniżające ani niehonorowe. Wiele kobiet tak sobie dorabia.

Czuła, że Julia może się nie zgodzić, ale liczyła na rozsądek panny Zuzanny. I bardzo się ucieszyła, kiedy zobaczyła, że staruszka akurat chodzi wokół okrągłego klombu.

– Dzień dobry! – zakrzyknęła z daleka.

– I czego się tak wydziera? – Panna Zuzanna, jak zawsze, sprawiała wrażenie niezadowolonej. – Dla kogo dobry, to dobry.

– A coś się stało?

– Ten gałgan znowu gdzieś uciekł. Jak ja mam za nim nadążyć z tą laską?

– Kronos?

– Taki z niego Kronos, jak ze mnie baletnica. Tylko szczeka, podgryza i robi mi kałuże na parkiecie. Może i lepiej, że gdzieś poleciał, przynajmniej spokój będzie – zrzędziła, ale nie przestawała się rozglądać i rozgarniać końcem laski co większe trawy.

– To ja poszukam, bo może bardziej do lasu pobiegł? – zaproponowała Marysia.

– Aż taki głupi to on nie jest. A szkoda. Specjalnie się chowa, zabawy sobie urządza... Wracaj, gałganie! – podniosła głos i zastukała laską w jeden z kamieni otaczających klomb.

Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, spomiędzy gęstych liści, z samego środka klombu, wyszedł, machając ogonem, Kronos. Podbiegł w podskokach do staruszki i położył się na grzbiecie, oczekując pieszczot.

Panna Zuzanna udała, że nie widzi zachowania psa.

– O, niech patrzy, jeszcze trochę a całkiem tu zarośniemy. Nie tylko psa, ale i człowieka niedługo nie będzie przez to widać.

– Warto byłoby to uporządkować – zgodziła się Marysia.

– Warto to może i by było, tylko kto na to siłę ma? Julia z wózka nie wstanie, ja też już niemłoda, widać chyba. A jakby kogoś nająć, to takie pieniądze chcą, że aż strach! Dobrobyt chyba nastał na wsi, bo im do pracy się nie spieszy. – Wreszcie schyliła się do Kronosa i sękatą ręką pogłaskała go po różowym brzuszku. – Wstawaj, łobuzie! Wracamy do domu. A jak jeszcze raz mi na parkiet napaskudzisz, to będzie lanie!

Pies chyba doskonale znał już tę spacerową procedurę, bo natychmiast pobiegł w stronę dworku. Poszczekiwał przy tym wesoło, nic sobie nie robiąc z pogrózek panny Zuzanny.

Staruszka udawała zezłoszczoną, ale Marysia czuła, że to tylko poza, rodzaj gry, której zasady obie strony znają doskonale. I była całkiem spokojna o los małej znajdy.

– Panno Zuzanno, ja mam do pani sprawę... – zaczęła nieśmiało.

– Czego chce? Może jednak to zwierzę zabrać?

– Nie, nie o to chodzi. Tylko mam pewien pomysł, ale nie wiem, czy się paniom spodoba. I dlatego najpierw chciałam z panną Zuzanną porozmawiać, poradzić się...

– Ja tam porad nie udzielam – burknęła staruszka, ale przystanęła, więc Marysia uznała, że jest zainteresowana.

– Panno Zuzanno, niech się pani nie obraża, tutaj jest bardzo pięknie, ale ja widzę, że paniom się ciężko żyje.

– Ale się żyje. I nikomu nic do tego – przerwała jej panna Zuzanna. – I nigdzie się stąd nie damy ruszyć, niech sobie to z głowy wybije – wycelowała w Marysię laskę. – Nie ma nawet o czym gadać!

– Ale ja wcale nie o tym myślałam – zaprzeczyła szybko Marysia. – Tylko o tych serwetkach.

– Jakich serwetkach?

– Takich jak ta, co dostałam ostatnio. Bo ja sprawdziłam, że można je sprzedać. I zarobić. No, a jak u pań leżą w szufladzie, to może lepiej spróbować. Zawsze to jakieś dodatkowe pieniądze. Nie wiem,

czy bardzo dużo, ale... – mówiła szybko, żeby staruszka nie zdążyła jej przerwać. – Babcia Róża robi chustki i szaliki na szydełku albo swetry. Sprzedaje i dorabia do emerytury. – Panna Zuzanna nic nie mówiła, tylko patrzyła na dziewczynę zmrużonymi oczami. Marysia pomyślała, że nic z tego nie będzie i zaczęła tracić nadzieję. – Ja rozumiem, że trudno zrobić taką serwetę i że panie nie chcecie ich oddawać. Tylko tak zaproponowałam. I chciałam powiedzieć, że jakby co, to ja mogę pomóc to sprzedać. – Dokończyła bardziej z rozpędu niż z przekonania.

Panna Zuzanna powoli odwróciła się, weszła po schodkach i podeszła do drzwi. Marysia nie ruszyła się z miejsca. Teraz się obrażą – pomyślała z żalem. – I już nigdy nie wpuszczą mnie do Kronosa.

Zrobiło jej się smutno.

– Przepraszam – powiedziała cicho przez ściśnięte gardło, wpatrując się w ziemię. – Ja chciałam dobrze. Naprawdę.

– Niech przyjdzie jutro – usłyszała głos staruszki i trzask zamykanych drzwi.

Nie wiedziała, czy to oznacza, że panna Zuzanna chce porozmawiać z Julią, czy po prostu dała do zrozumienia, że nie chce więcej rozmawiać na temat sprzedaży serwetek, ale najważniejsze było to, że zaprosiła ją na kolejną wizytę.

Nawet jeżeli się nie zgodzą, to przynajmniej będę mogła nadal tutaj przychodzić – stwierdziła dziewczyna. – No i może wymyślę coś innego.

Wracała do Borowej w nieco gorszym nastroju niż wychodziła, ale nadziei całkiem nie straciła. Nie wiedziała, że świadkiem jej spotkania z panną Zuzanną był nie tylko Kronos.

Kiedy dziewczyna zniknęła z pola widzenia, Łukasz wyrzucił papierosa na ściółkę i przydepnął niedopałek czubkiem buta. A potem ruszył w przeciwnym kierunku.



Tamara lubiła ogródek babci Róży. Niczym nie przypominał przydomowych ogrodów jej koleżanek, które wyprowadziły się z miasta do nowych domów zbudowanych w podkieleckich miejscowościach. Dziewczyny, wzorując się jedna na drugiej, obsadzały ogrodzenia szpalerami podciętych pod linijkę tui, przy wyłożonych kostką brukową alejkach sadziły rzędem bratki, murki ozdabiały kulistymi berberysami w donicach, a trawniki krzewami magnolii, które otaczały ceglany obrzeżem, żeby łatwiej było utrzymać nienaganną zielenią trawy. Tamara nie widziała w tym nic poza sztywnością i bała się zrobić choćby krok poza kamienną alejkę.

Tutaj było zupełnie inaczej. Przy płocie słoneczniki i malwy wyciągały się ku słońcu, dziewanny rozsiewały się same i pojawiały w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, z których nikt ich nie wyrzucał. Przy ścianie białego domku pięła się dzika róża, która już teraz pokryła się blad różowymi kwiatami. W prawej części ogródka, gdzie królowały zioła, pachniało lubczykiem i miętą, a po lewej stronie znalazło się miejsce na maciejkę, nagietki, maki i pachnący groszek. Między nimi na swój czas czekały różnokolorowe floksy. W tym pozornym chaosie był jakiś naturalny porządek. Każda roślina wiedziała, gdzie jej dobrze, nie wchodziła w drogę innym. Współistniały w zgodzie, rozwijały się, kwitły. Człowiek nie musiał im pomagać, wystarczyło, że nie przeszkadzał, a one wynagradzały mu to feerią barw i zapachów. Można było stać bez końca, najlepiej z zamkniętymi oczami, i nasycać duszę kontaktem z naturą. Tak właśnie robiła Tamara.

– Lunatykujesz czy wyrzucili cię z domu i starasz się dospać?

Przy płocie stał Szymon.

– Wącham – wyjaśniła.

– A może masz ochotę powąchać dla odmiany żywicę i jałowiec?

– To propozycja?

– Jak na to wpadłaś? – roześmiał się. – Propozycja spaceru.

– I naprawdę chcesz iść do lasu w tej białej koszulce?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Raczej tak. No chyba że każesz mi się przebrać.

– Tak tylko pytam. W sumie mnie tam wszystko jedno. Prać tego nie muszę, więc...

– Ale rozumiem, że na spacer się zgadzasz?

– Czemu nie. Poczekaj, powiem tylko babci... – Mówiąc to, zauważyła, że babcia Róża macha do niej z kuchennego okna. Pokazała na migi, że idzie z Szymonem, a staruszka pokiwała głową na znak, że rozumie. – Już nie muszę. Wiadomość dotarła.

– Tak, u nas w ten sposób przekazuje się wszystko. A informacje biegną z domu do domu szybciej niż mailem – zażartował mężczyzna. – Idziesz drogą, a na drugim końcu wsi już o tym wiedzą. Czasami to aż niewiarygodne.

– Nie przesadzasz trochę? – Tamara nie do końca zgadzała się z Szymonem, ale odruchowo przyspieszyła kroku, żeby jak najprędzej znaleźć się w lesie. – Jeszcze mnie tutaj nie spotkało nic nieprzyjemnego. No, może poza starciem z zięciem pani Zofii, ale to na własne życzenie. Cała reszta wydaje mi się tutaj bardzo miła.

– Nawet ja?

– Nawet ty – roześmiała się.

Poczuła, że Szymon na nią patrzy, ale nie odwzajemniła spojrzenia.

Jak zawsze, najpierw obeszli zalew, sprawdzając, co słychać u kaczek i czy kijanki mają jeszcze ogonki, czy już całkiem nie. Potem weszli do lasu i piaszczystą drogą szli wśród wysokich sosen, młodych dąbków, krzaków jałowca i jagodowych krzewinek.

– Lada chwila będą dojrzewać. – Szymon pochylił się nad krzaczkiem.

– Jak będzie słońce, to chyba szybciej?

– Tak, ale za dużo słońca to też niedobrze. Będą schły już na krzakach. Zobacz – zgarnął w dłoń trochę igieł leżących przy dróżce – już jest bardzo sucho. Jak tak dalej pójdzie, to będzie zakaz wstępu do lasu.

– A kto tego dopilnuje? – roześmiała się Tamara.

– Tutaj to chyba ja.

– Nie wierzę.

– Niektórzy też nie wierzyli. Dopiero jak dostali mandaty, to zmienili zdanie.

– Mnie też mandat wypiszesz?

– Zastanowię się. Może wyznaczę inną karę.

Doszli do miejsca, gdzie krzyżowały się dwie leśne drogi. Na środku niewielkiej polanki rósł ogromny dąb. Tamara zatrzymała się przy drzewie i podniosła głowę, starając się ogarnąć wzrokiem wielką zieloną koronę. Była pod wrażeniem tej potęgi i siły natury, jaką poczuła, zbliżając się do niego.

– Pewnie rośnie kilkaset lat – westchnęła.

– Bartek to to nie jest – stwierdził Szymon. – Ale rzeczywiście, mamy już na co popatrzeć.

– Dla ciebie to może nic szczególnego, masz to każdego dnia, ale ja cały czas odkrywam w lesie coś nowego, więc nie dziw się...

– I podoba ci się tutaj?

– W lesie?

– W lesie. I na wsi.

– Oczywiście. Jestem zachwycona.



– A nie myślałaś, żeby się tutaj przeprowadzić?

– No coś ty! – Była naprawdę zaskoczona pytaniem Szymona. – Przecież ja mam w Kielcach pracę, Marysia szkołę...

– Masz też samochód. Do Kielc jedzie się kwadrans. Zresztą, co ja ci mówię, przecież sama wiesz.

– Wiem. I przyznam ci się, że nawet przyszedł mi do głowy taki pomysł.

– I?

– I odszedł – uśmiechnęła się. Podeszła do dębu i zaczęła gładzić chropowatą korę. – Pewnie, że wiosną i latem, nawet jesienią, jest tu przyjemnie i bezproblemowo. Ale zima? Śliskie drogi, można nie dojechać... Poza tym sam wiesz, jakie warunki są u babci Róży. Dwa małe pokoiki, a teraz, kiedy zamieszkała z nią pani Zofia, to już naprawdę jest niewiele miejsca. Na weekendy może być, ale na stałe? Nie, to nie wchodzi w grę – pokręciła głową dla podkreślenia swoich przemyśleń. – A przede wszystkim zapominasz, że babcia Róża nie jest moją prawdziwą rodziną. Tak ją traktuję, ale fakty są takie, że to jej dom. I niby co? Miałabym powiedzieć: „Babciu, postanowiłam się do ciebie wprowadzić?” Jestem jej wdzięczna, że pozwala nam przyjeżdżać tak często, ale i tak czasami mam poczucie, że nadużywam jej gościnności i wykorzystuję dobroć.

– Nie przesadzaj. Przecież dzięki twoim pieniądzom pani Róży żyje się dużo lepiej. Wszyscy to widzą. I chyba jakoś powinna ci się odwdziżyć. A już szczególnie, że, jak sama mówisz, nie jesteś jej rodziną i nie masz obowiązku jej pomagać.

Tamara odwróciła się gwałtownie. Przypomniała sobie rozmowę, którą podsłuchiwała.

– Co ty sugerujesz? Że ja pomagam babci, żeby w zamian dostać jej dom?

– Nic nie sugeruję. To po prostu wydaje się logiczne.

– No wiesz! Za kogo ty mnie masz! Ja tu nie przyjeżdżam, żeby wyłudzić cokolwiek od starszej osoby!

Mężczyzna podszedł bliżej i położył jej ręce na ramionach.

– Nie denerwuj się. Źle mnie zrozumiałaś. Zresztą, nie mówmy o tym. Są tutaj inne domy, w których mogłabyś zamieszkać. Większe, komfortowe...

– O czym ty mówisz? – Chciała się cofnąć, ale za plecami miała dębowy pień.

– Mówię o tym, że możesz zamieszkać u mnie. Oczywiście razem z Marysią. Będzie miała własny pokój, a dojazdy do szkoły jakoś się zorganizuje. – Coraz mocniej zaciskał ręce na jej ramionach. – Wszystko obmyśliłem. Wiem, że dużo pracujesz, więc możemy wziąć kogoś do pomocy. Ugotuje, posprząta. Stać mnie na to.

Przerwał, żeby zaczerpnąć oddechu, a Tamara wykorzystała ten moment i starając się zachować spokój, zapytała:

– A w jakim charakterze miałabym u ciebie zamieszkać?

Popatrzył tak, jakby zdziwiło go jej pytanie.

– Na razie narzeczonej. Żeby nie było gadania. A potem żony.

– Szymon, to niemożliwe. – Patrząc na determinację w oczach mężczyzny, czuła, że zaczyna ogarniać ją panika. Starła się jednak zachować spokój.

– Dlaczego? – usłyszała nutki zdenerwowania w jego głosie i zaczęła się bać.

– Dlatego, że ja cię nie kocham.

– Ale na pewno pokochasz. Dzisiaj powiedziałaś, że mnie lubisz, a to na początek wystarczy. Przecież miałaś już męża, takiego z miłości, prawda? I wiesz, że to nie daje żadnej gwarancji. A my możemy wszystko spokojnie ustalić, dogadać się. Będiesz miała wszystko – dom, ogródek, służącą i co tam jeszcze zechcesz. – Zbliżył twarz do jej twarzy tak, że ich czoła prawie się dotykały. – Ze mną będziesz szczęśliwa, zobaczysz. A potem mnie pokochasz.

Chciał ją pocałować. Próbowwała się wyrwać, ale był silniejszy. Próbowwała odwracać głowę.

– Nie chcę! Uspokój się i natychmiast mnie puść! – krzyknęła, ale Szymon nie zwracał na to uwagi. Szarpała się, ale czuła, że nie uda jej się wygrać z tym mężczyzną, który jeszcze chwilę temu wydawał się miły i spokojny, a teraz miał w oczach jakieś szaleństwo i determinację, żeby zrealizować swój wymyślony cel.

Nagle Szymon jakby odskoczył od niej. W pierwszej chwili nie wiedziała, co się dzieje. Wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Tamara zobaczyła, że ktoś odwraca Szymona, potem zarejestrowała szybki cios i leśniczy upadł na piaszczystą drogę.

– Nic mu nie będzie – usłyszała głos Łukasza. – Zaraz się pozbiera.

I ruszył w las.

Nie wiedziała, co ma zrobić. Na przemian rozcierała bolące ramiona i poprawiała włosy. Zobaczyła, że Szymon zaczyna wstawać i poczuła paniczny strach. Niewiele myśląc, pobiegła za mężczyzną, który przed chwilą odszedł.

– Łukaszu, poczeka! – krzyknęła, widząc jego sylwetkę. Biegła pod górę, potykając się o wystające korzenie drzew i leżące na ściółce gałęzie. – Poczeka na mnie!

Ale on się nie zatrzymał, nawet nie zwolnił.

Wreszcie go dogoniła. Mogła chociaż wyrównać oddech.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy wreszcie bicie jej serca powróciło do normalnego rytmu.

Nie odpowiedział.

– Naprawdę jestem ci wdzięczna. Uratowałeś mnie.

Zatrzymał się gwałtownie.

– Każdy zrobiłby to samo na moim miejscu – powiedział.

– Nie każdy. On, jak widać, nie. Dobrze, że akurat przechodziłeś. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie ty...

– Nie wiesz? Naprawdę? Taka niewinna jesteś? – Wykrzywił twarz w ironicznym grymasie. – Idziesz z gościem, o którym nic nie wiesz do lasu i jesteś zdziwiona? Tak bardzo potrzebujesz faceta? A może ja jednak przeszkodziłem? Może nie powinienem się wtrącać?

Nie rozumiała tego ataku. Nie potrafiła się obronić. Ciągle jeszcze czuła strach, widziała twarz Szymona przy swojej, jego dziwne oczy... A teraz jeszcze to. Mam dość – pomyślała. Usiadła na ziemi i ukryła twarz w dłoniach.

– A teraz będziesz się mazała? – usłyszała głos Łukasza. – Weź się, kobieto, w garść. Lepiej się zainteresuj, gdzie twoja córka chodzi. – Widząc, że podniosła głowę i patrzy ze zdziwieniem, dodał:

– Tak, zdziwiona jesteś. Normalne. A zresztą, mnie to nic nie obchodzi. Nie moja sprawa.

I swoim zwyczajem chciał odejść.

Tamara zerwała się i podbiegła do niego.

– Natychmiast powiedz, co wiesz o Marysi!

– Nie szarp mnie. – Oderwał jej dłoń od rękawa swojej koszuli. – Sama z nią porozmawiaj. I dam ci dobrą radę – zacznij panować nad tym, co robisz. Bo żal patrzeć, co wyprawiasz. Po co ci to było? Leśniczyną chciałaś zostać, czy jak?

– Leśniczyną? – W pierwszej chwili nie zrozumiała, o czym mówi. A kiedy dotarł do niej sens słów mężczyzny, poczuła wielki żal. – Nic nie rozumiesz...

– Tak, wieśniacy niewiele rozumieją. Jestem tylko prosty cham, który ewentualnie może komuś dać w mordę. Dziękuję, że mi przypomniałaś.

Nie miała ochoty na kłótnie. Ochoty ani siły.

– To nie o to chodzi. Ja... ja po prostu chciałabym mieć w życiu kilka miłych chwil. Żeby ktoś zaopiekował się mną, a nie ciągle ja kimś. Żebym mogła poczuć się bezpieczna, żebym wiedziała, że

mogę na kogoś liczyć. Tylko tyle. – Wypowiadając te słowa, patrzyła gdzieś w dal, jakby mówiła sama do siebie. – I dlatego powiedziałam, że nie zrozumiesz. Bo ty jesteś silny. I nie potrzebujesz nikogo, prawda? Zazdroszczę ci. Jak ty to robisz? – Popatrzyła mu w oczy. – Czy można się tego nauczyć?

– Trzeba się kontrolować – wzruszył ramionami. – Panować nad emocjami i nad tym, co się robi.

– I ty niby panujesz? – Spojrzała na niego i pokręciła głową z niedowierzaniem. – I picie ci w tym pomaga? To się kupy nie trzyma.

– Nie obchodzi mnie twoja opinia. Zapytałaś, to odpowiedziałem. Mnie inni ludzie nie interesują. Nie zależy mi. Dlatego jestem wolny. Bo nie czekam, aż ktoś się mną zaopiekuje.

– A ja czekam – powiedziała cicho Tamara.

– Czy mogłabyś czekać gdzie indziej? Bo ja mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. – Tamtędy dojdiesz do drogi. – Wskazał ręką kierunek.

– Nie odprowadzisz mnie?

– Nie. Ja się na opiekuna nie nadaję. Jestem zupełnie nieodpowiedzialny.

– A jeżeli go spotkam?

– Szymka? To uciekaj. Dasz sobie radę. A może się pogodzicie? – roześmiał się, jakby powiedział doskonały dowcip i odszedł.

Tym razem go nie goniła. O ile jeszcze kilka minut wcześniej była mu wdzięczna, to teraz znowu poczuła złość. Że też akurat on musiał mnie obronić – pomyślała. – Jedyna nadzieja, że ten mruk nikomu o niczym nie powie. Niech idzie do diabła i najlepiej, jakby na zawsze został w tym swoim lesie!



Zofia karmiła kury i rozmyślała. O Kasi, o wnukach. Tęskniła szczególnie za Nikolką. Zastanawiała się, czy Jarek pozwolił jej bawić się tym wózkiem, który jej kupił. I czy dziewczynka też za nią tęskni. A może już zapomina? Dla takich małych dzieci prawie trzy tygodnie to dużo czasu.

Zastanawiała się też nad tym, o czym rozmawiała z Różą. Na początku trudno jej było pojąć sens rozmowy, ale te porównania do ubrań i szycia rozumiała.

Tylko co to ma wspólnego ze mną? – zastanawiała się, sypiąc ziarno do drewnianego korytka. – Jak ja, stara baba, mam sobie życie na nowo układać? Jak mnie bliżej niż dalej do końca.

– A nie bądź taka pazerna! – upomniała jedną z kur, która, dziobiąc, starała się odgonić od jedzenia pozostałe ptaki. – Przecież ci nie braknie!

Zofii dobrze mieszkało się u Róży. Spokojnie, bez pośpiechu. Miała na wszystko czas – i zrobione było, i odpocząć zdążyła. Wykupiła też te leki na nogi, bo pani Tamara nalegała. I okazało się, że nie są takie złe, jak mówił Jarek. Co prawda ból całkiem nie minął, ale opuchlizna trochę zmalała i buty stały się wygodniejsze. A wieczorem, jak posmarowała maścią, to czuła taki przyjemny chłód i nie budziła się potem całą noc, bo nie bolało nic a nic.

Trochę wstyd przyznać, ale lepiej mi tu niż w domu – pomyślała. – A Róża powiedziała, że już podjęłam decyzję. Czy ja wiem? Ona się sama podjęła. Nie wiem nawet kiedy. Tak wyszło. Przecież z własnej woli bym z domu nie poszła – usprawiedliwiała się przed samą sobą. – Kazali i tyle. A dalej to już samo. I tak zostawiłam dziecko i wnuki jak jakaś wyrodna matka.

Dosypała ziaren do małego plastikowego pojemniczka i złapała kurę, która nadal walczyła z innymi.

– Tu jedz, jak z innymi nie umiesz – rozkazała, stawiając ptaka przy pojemniczku.

Jak oni sobie tam radzą? – zastanawiała się. – Czy im nie brakuje pieniędzy? Bo mojej renty w tym miesiącu nie wzięli. Listonosz wie, że u Róży jestem, to tutaj przyniósł. Dałabym im przecież, ale niechby

poprosili. A oni nic. Może się Kasia honorem uniosła? No jak tam chce, ale ja bym mogła dać. Bo teraz to nawet dużo więcej mam.

Co prawda nie przyjmowała już pieniędzy od pani Tamary, ale kobieta robiła w każdy weekend tyle zakupów, że potem zostawało jeszcze na kilka dni. Zofia myślała sobie, że Tamara jest rozrzutna i nawet powiedziała o tym Róży, ale ta tylko się uśmiechnęła.

– Przecież ona to specjalnie robi. Tobie nie płaci, o mnie się martwi, to udaje, że niby taka nierozgarnięta jest. A ja udaję, że w to wierzę, żeby miała spokojną głowę. Za to im zawsze coś zapakuję, jak wyjeżdżają, żeby też miały.

Zofia pojęła całą intrygę i od razu upiekła w sobotę ciasto drożdżowe z rodzynekami. Dała radę, chociaż musiała najpierw zdążyć z babeczkami. To była kolejna niespodzianka w jej życiu. Nie rozumiała za bardzo, co jest takiego specjalnego w tym, co piecze, ale skoro były zamówienia, to nie mogła zawieść tych ludzi. Zawsze w życiu wywiązywała się ze wszystkiego najlepiej jak potrafiła. Teraz też chciała.

Jak smakuje, to niech mają – myślała. – Ja tam nawet lubię piec.

Trochę się wystraszyła, kiedy pani Tamara powiedziała, że to do kawiarni ma iść. Gdzie jej, starej ze wsi, do tych ciastek z cukierni! Przecież tam fachowcy pieką. I jeszcze te karteczki do środka miała wkładać. Ale nie pytała, tylko wkładała. Za to płacili przecież. Znowu odłożyła trochę pieniędzy i zastanawiała się, co z nimi robi.

Może Kasia jeszcze przyjdzie? – zastanawiała się, nalewając wodę do płaskich rondelków. – A jak nie, to na co te pieniądze? Stara już jestem, pomnik na cmentarzu zrobiłam już, jak Stasiek umarł, miejsce na trzydzieści lat opłacone. To co mi jeszcze potrzeba? A Róża kiedyś pytała, jakie mam marzenie. I przypomniałam sobie, że jak byłam młodsza, to chciałam do Częstochowy pojechać, Najświętszą Panienkę zobaczyć, ale nigdy nie było okazji. A teraz to już za późno, żeby stare kości tak daleko wozić...

– Pani Zofio, czy Marysia jest w domu?

– A gdzie tam! Z pół godziny temu poleciała na spacer. Mówiła, że się przejdzie, zanim gorąc przyjdzie.

– Powiedziała, dokąd idzie?

– Nie mówiła, ale gdzie tu ma iść? Nad zalew pewnie, tam chłodniej. – Zofia zauważyła, że Tamara jest zdenerwowana. – Niech się pani nie martwi, nic jej nie będzie. Przecież już wie, gdzie co jest, nie zginie. I niedługo pewnie wróci.

Popatrzyła, jak młoda kobieta wchodzi do domu. Dobra z niej dziewczyna – pomyślała. – Tak pomaga i nic za to nie chce. I Róża też dobre serce ma. Bogu dziękować, że mi takich ludzi na drodze postawił.

Poprawiła chustkę na głowie i wytarła ręce w ściereczkę, którą miała założoną za pasek fartucha.

Pojadę do tej Częstochowy – postanowiła. – Niech się dzieje wola Nieba! Odłożę na bilety i na to, żeby tam zanocować. Pojadę i podziękuję za to szczęście, co mnie spotyka. I pomodłę się za Kasię, za Jarka i za dzieci. Takie mam marzenie. Jak ja to powiedziałam, co się tak Róży spodobało?

– Marzenie szyte na miarę – powiedziała głośno i uśmiechnęła się do siebie. Naprawdę ładnie to brzmiało.



Marysia nie od razu zapukała do drzwi. Chodziła wokół klombu, podeszła do ruin zabudowań gospodarczych. Miała nadzieję, że zostanie zauważona i panna Zuzanna, swoim zwyczajem, wyjdzie na zewnątrz. Spodobały jej się fioletowo-różowe kwiatki rosnące między trawami, więc zrywała je i układała w bukiet. W sumie to niezły pretekst – pomyślała. – Jakby co, to powiem, że chciałam nazbierać dla babci.

Obejrzała to, co kiedyś było chyba oborą albo stajnią. Niewiele już pozostało, ale między roślinami zarastającymi ruiny, tuż obok kupki starych cegieł, dostrzegła wystający z ziemi kawałek metalu z widocznym żłobieniem i jakby dziurkami. Odłożyła bukiet, pochyliła się i próbowała wyciągnąć znalezisko. Metal tkwił mocno w podłożu, a ziemia była zbyt twarda, żeby rozgarnąć ją ręką, zaczęła więc szukać w torebce czegoś, co pomogłoby jej wykopać tajemniczy przedmiot. Jedyne, co mogła wykorzystać, okazała się metalowa linijka, której nie wyjęła z torby po przyjściu ze szkoły. Wbijając ją w grunt, miejsce obok miejsca, a potem wygarniała ziemię. Wreszcie udało jej się obruszać kawałek metalu na tyle, że kiedy chwyciła go obiema rękami i mocno pociągnęła, pokonała opór podłoża i ziemia wypuściła z objęć to, co trzymała zapewne wiele lat. Marysia z ulgą opadła na trawę. Teraz mogła spokojnie popatrzeć na to, co udało jej się wykopać. Spojrzała i roześmiała się – w ręku trzymała starą, lekko rdzewiejącą podkowę.

Więc jednak stajnia – pomyślała. – Ciekawe, jakie konie tutaj były? I czy dużo?

Schowała podkowę do torebki. Zapyta staruszek, czy może ją zabrać. Miałyby wtedy kawałek przeszłości, czasów, z których niewiele już zostało.

– I po co tam łązi? Jeszcze na żmiję nadejście i będzie kłopot.

– Dzień dobry! – ucieszyła się Marysia, słysząc głos staruszki. – To tutaj są żmije?

– Jest las, to są i żmije. Nic dziwnego w tym nie ma. I wychodzą na słońce, wygrzewają się.

– Będę uważała – obiecała Marysia. Zastanawiała się, czy panna Zuzanna wspomni o ich wczorajszej rozmowie. Na razie jednak nic na to nie wskazywało.

– To wchodzi do środka czy nie? Bo herbata stygnie, a ja nie wiem, ile filiżanek stawiać. I nie będę na tym gorącu bez końca stała.

– Bardzo chętnie wejdę – zapewniła Marysia i poszła za staruszką.

W sieni panował przyjemny chłód. Dziewczyna odetchnęła głębiej. Gdyby nie zapach stęchlizny w powietrzu – pomyślała – byłoby tu naprawdę przyjemnie.

– Niech poczeka, zaraz tacę wyniosę – zakomenderowała panna Zuzanna i otworzyła drzwi, za którymi, jak przypuszczała Marysia, była kuchnia. Zanim weszła, nie odwracając się, dodała jeszcze:

– A jak będzie wychodzić, to niech weźmie paczkę. Zostawię tu dla niej.

Serce Marysi zabiło szybciej. Chyba się udało – ucieszyła się. Zapukała do drzwi salonu i dopiero kiedy usłyszała „proszę”, weszła do środka.

Kronos od razu do niej podbiegł i zaczął szczeleć. Machał jednak przy tym ogonem, więc dziewczyna uznała, że ją poznał.

– Usiądź – zaprosiła ją Julia. – Możesz go wziąć na kolana. Bardzo to lubi. Niestety, wygląda na to, że niedługo już będzie musiał odwyknąć. Rośnie coraz szybciej.

Rzeczywiście, piesek był już całkiem spory i zapowiadało się, że wyrośnie z niego duże zwierzę. Wilczur to chyba nie – stwierdziła Marysia. – Ale na kolana to rzeczywiście nie będzie się nadawał.

– A co ty tam masz, duszko?

– Nazrywałam trochę kwiatów. – Pokazała Julii bukiet. – Podobają mi się. Lubię takie polne kwiaty, nie z kwiaciarni.

– Ja najbardziej lubię róże. To piękne i szlachetne rośliny. A z tych, które masz, kiedyś plotło się wianki. – Staruszka podjechała bliżej. – Ile było radości! Młodość to piękny czas, tylko bardzo krótko trwa – zamyśliła się na chwilę. – A ty, duszko, umiesz pleść wianki?

– Nie – przyznała się Marysia. – Nigdy nie plotłam. W mieście nie bardzo jest z czego – tłumaczyła się. – Nawet nie wiem, jak one się nazywają.

– To zwyczajna koniczyna – uśmiechnęła się Julia. – Bardziej chwast niż kwiat. Ale szybko się rozrasta i króliki ją lubią, więc się przydaje. No i na wianki też, bo łądygi ma giętkie, ale wytrzymałe. –

Wyciągnęła rękę i dotknęła kwiatków. – Ciekawe, czy jeszcze pamiętam, jak to się robi...

– Proszę spróbować! – zachęciła Marysia. – Może ja się nauczę?

Julia wzięła do ręki bukiet i oddzieliła od niego kilka roślin.

– Podaj mi, duszko, okulary – poprosiła. – Leżą na stoliku, pod oknem.

Dziewczyna patrzyła, jak zniekształcone czasem palce przekładają zielone łodyżki. Staruszka wydawała się całkiem pochłonięta swoim zajęciem. Marysia zastanawiała się, jak kobieta wyglądała, kiedy była w jej wieku i plotła wianki na łące. A może jej podobizna z tamtych lat jest na którejś z fotografii wiszących na ścianach i ozdabiających meble? Zapytam o to, jak będzie okazja – postanowiła.

Rośliny tworzyły na kolanach Julii coraz dłuższy, zielono-fioletowy splot.

– Przymierz – powiedziała staruszka. Marysia wykonała polecenie. – Jeszcze za krótki. Szkoda, bo koniczyna nam się skończyła.

– Mogę iść i jeszcze nazbierać. Mnóstwo jej wokół domu.

– Naprawdę? – ucieszyła się Julia. – To idź, duszko, nazbieraj. Dokończymy ci ten wianuszek.

Przez godzinę Marysia na zmianę zbierała koniczynę i plotła z niej wianki.

– A co wy wyprawiacie? – Wreszcie nawet panna Zuzanna zainteresowała się ich zabawą. – Nabrudzicie tylko, już wszędzie pełno tego zielska – marudziła.

– Zuzanno! – Julia, jak zawsze, przywoływała staruszkę do porządku. – Chyba nie masz jeszcze takiej sklerozy, żeby nie pamiętać, jak plotłyśmy wianki za domem?

– Jak ktoś tu ma sklerozę, to na pewno nie ja. Nie za domem, tylko na łąkach pod lasem – burknęła Zuzanna, ale Marysia widziała, że spogląda znad filiżanki na ich poczynania.

Wkrótce fioletowe kwiaty ozdabiały głowę dziewczyny i głowę staruszki.

– A to dla pani. – Marysia włożyła na siwy kok Zuzanny swoje dzieło.

– A co mi tu pcha na głowę?! – Staruszka udawała, że się złości, ale nie zdjęła wianka.

Zadowolone z zabawy uplotły jeszcze kwietne bransoletki dla każdej z nich. Nawet Kronos dostał swój wianek, który z wielkim zapamię, ale bez powodzenia, usiłował ściągnąć z czarnego łebka.

– Wyglądamy jak prawdziwe rusałki! – Julia aż klasnęła w dłonie, widząc efekt wspólnej pracy.

– Raczej topielice – poprawiła Zuzanna.

– Zuzanno!

Marysia się roześmiała. Naprawdę dobrze się bawiła. I pewnie siedziałyby dalej ze staruszkami i plotła kolejne wianki, gdyby nie dzwonek telefonu, który rozbrzmiał w jej torebce.

– Przepraszam – powiedziała i wyciągnęła aparat. Zerknęła na wyświetlacz. – Muszę odebrać. To mama. – Wcisnęła zieloną słuchawkę. – Tak, mam, niedługo wracam. Nie, nie denerwuj się, wszystko w porządku. Tak, pa! – zakończyła rozmowę i spojrzała przepraszająco na gospodynię. – Muszę iść. Bardzo się zasiedziałam i mama się martwi...

Julia skinęła głową na znak, że rozumie. Zuzanna zagroziła jej drogę laską.

– Niech tacę wyniesie do sieni. Tam, wie gdzie...

Marysia zrozumiała. Dobrze, że staruszka przypomniała o pakunku, bo telefon od matki trochę wytrącił ją z równowagi. Zwłaszcza że w głosie dzwoniącej usłyszała zdenerwowanie. Czy coś się stało?

– Do widzenia – pożegnała staruszki, zabrała tacę i wyszła.

– To było miłe przedpołudnie – powiedziała Julia. – Dawno się tak dobrze nie bawiłam. Brakowało mi młodości.

– Młodość to przeszłość. I lepiej jej nie przywoływać. – Zuzanna wstała i pokuśtykała do drzwi. – Przygotuję obiad. A potem wyrzucę to zielsko.

Tymczasem Marysia szybkim krokiem wracała do białego domku. Nawet nie zajrzała do paczki owiniętej starą gazetą. Dobrze, że udało mi się ją zmieścić do torby – pomyślała. – Jak tylko wrócę, to

ukryję ją między ciuchami, a obejrzę wszystko już w domu. I pomyślimy z Kamilem, jak to sprzedać. Dobrze, że panna Zuzanna się jednak zdecydowała.



– A co ty taka zdenerwowana? – Babcia Róża spojrzała uważnie na Tamarę. – Po co ty dziecko do domu ściągasz? Stało się coś?

Tamara wrzuciła telefon do torebki.

– Czy babcia wie, gdzie ona chodzi?

– Marysia? Nie wiem, na spacer do lasu pewnie.

– A z kim?

– Bo ja wiem? Myślę, że sama. Chyba nikogo tu jeszcze nie zna. – Staruszka odstawiła garnek z zupą na bok płyty kuchennej i usiadła naprzeciwko Tamary. – A dlaczego ty tak wypytujesz?

– Spotkałam dzisiaj Łukasza w lesie. – Pominęła okoliczności spotkania, bo nie chciała rozmawiać o zachowaniu Szymona. – Zdenerwował mnie trochę.

– To mnie jakoś nie dziwi – uśmiechnęła się babcia. – Ale i nie cieszy. Tylko czy to powód, żeby wydzwaniać po Marysię?

– No tak, w pewnym sensie. Bo Łukasz mi powiedział, żebym się zainteresowała, co robi moja córka. Nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Przecież babcia wie, jaki jest. No i się zdenerwowałam. Mam nadzieję, że Marysia nie wymyśliła znowu czegoś...

– Twoja córka bardzo zmadrzała ostatnio – powiedziała spokojnie babcia Róża. – Chyba nie masz powodu, żeby jej nie ufać. Wróci, to zapytasz i wszystko się wyjaśni. A na razie nie ma powodu do nerwów. Zresztą, jak Łukasz wie, co się dzieje, to na pewno jej pilnuje.

– No rzeczywiście! – Jeszcze bardziej zdenerwowała się Tamara. – Kto by pomyślał, że z niego taki opiekun. Przecież to zupełnie nieodpowiedzialny człowiek.

Staruszka nic nie powiedziała.

– Babcia nic nie mówi, bo się ze mną nie zgadza, prawda? – Tamara popatrzyła rozmówczyni w oczy. – Dla babci to on jest prawie jak chodzący ideał. Czy naprawdę babcia nie widzi, jak on się zachowuje?

– Widzę, bardzo dobrze widzę. I do ideału mu daleko. Ale swoje wiem.

– Ja też swoje wiem – zaperzyła się kobieta.

– I pewnie leśniczemu do ideału bliżej? – Babcia zapytała spokojnie, bez złośliwości, ale Tamara aż wyprostowała się na krześle.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedziała tylko.

– Bo i nie ma o czym. Po prostu nie zawsze coś jest takie, jak się na początku wydaje. – Babcia wstała i wróciła do mieszania zupy.

Tamara czekała na córkę i z każdą chwilą była coraz bardziej zdenerwowana. Zdecydowanie to nie jest dobry dzień – myślała. – Widać nawet w Borowej nie wszystko dobrze się układa. Żeby tylko nie okazało się, że Marysia znowu się w coś wplątała!

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi i poderwała się z krzesła.

– Czy możesz mi powiedzieć, dokąd ty tak chodzisz? – zapytała od razu, gdy tylko dziewczyna pojawiła się w kuchni.

– Do lasu – odpowiedziała Marysia, ale nie patrzyła matce w oczy.

– A konkretniej? – Tamara nie dawała za wygraną, bo natychmiast zauważyła, że córka coś ukrywa.

– Konkretniej to do tego za zalewem.

– A z kim?

– Sama. To jakieś przesłuchanie?

– Masz coś przeciwko temu, że pytam?

Awantura wisiała na włosku. Stały naprzeciwko siebie, a powietrze gęstniało od zdenerwowania. Zapanowała ciężka cisza, którą przerwało głucho uderzenie. To babcia Róża postawiła na stole talerz z ciastem drożdżowym.

– Zamiast skakać sobie do oczu, może lepiej usiądziecie i porozmawiamy spokojnie. Tamara, siadaj, a ty, Marysiu, nalej nam wody z miętą. Tam, w dzbanku jest, na kredensie.

Babcia Róża wiedziała, co robi. Zanim usiadły przy stole, emocje zdążyły nieco opaść.

– Marysiu, mama się o ciebie martwi – zagała staruszka, gdy już każda miała przed sobą talerzyk z ciastem i szklankę z orzeźwiającym napojem.

– Niepotrzebnie.

– Właśnie chodzi o to, żebyśmy były tego pewne. Bo widzisz, dziecko, mama słyszała, że z kimś się spotykasz.

Marysia spojrzała na kobiety ze zdziwieniem. Była pewna, że nikt jej nie widział, że nikt nie wie o wizytach w dworku. A jednak myliła się. Skoro i tak matka już tyle wie, nie było sensu dalej brnąć w kłamstwa.

– Tak, spotykam się...

– A nie mówiłam! – Tamara spojrzała z wyrzutem na babcię.

– Spokojnie. Marysiu, a może powiesz nam z kim?

– To długa historia. Zaczęło się jeszcze przed Wielkanocą.

Tamara oparła rękę o stół i ukryła twarz w dłoniach. Łukasz miał rację – pomyślała. – Zajmowałam się sobą, znowu zapomniałam o córce. To trwa już ponad dwa miesiące, a ja niczego nie zauważyłam.

– Nie denerwuj się, mamo. – Marysi zrobiło się smutno, kiedy zobaczyła reakcję matki. Nie powinnam była tego ukrywać – pomyślała.

– Nic się nie dzieje – uspokajała dziewczyna. – Powiem krótko, żebyście się już nie martwiły. Znalazłam taki stary dworek w lesie. Prawie ruina. I w tym dworku mieszkają dwie panie – Zuzanna i Julia. To do nich chodzę. Widzicie, nic strasznego, prawda?

– Odwiedzasz hrabianki? – zdziwiła się babcia Róża.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – zapytała Tamara.

Oba pytania padły jednocześnie.

– Sama nie wiem. To było takie tajemnicze, niespotykane... Chyba chciałam mieć swój sekret. Zresztą na początku to nawet nie wiedziałam, czy ktoś tam w ogóle mieszka. Dopiero potem poznałam pannę Zuzannę.

– Pannę Zuzannę?

– Tak, tak trzeba do niej mówić. Chociaż ma już ze sto lat i to trochę śmieszne. Ale one takie są, jakby z innej epoki. Babciu, czy one są prawdziwymi hrabiankami?

– O Leszczyńskich rozmawiacie? – Zofia właśnie wróciła z domu, gdzie przycinała dzikie wino, które próbowało już dostać się do okien.

– Hrabianki Leszczyńskie – powiedziała Marysia powoli. – Super brzmi! Nic dziwnego, że się tak zachowują, skoro są prawdziwymi arystokratkami.

– To one Marysię do siebie wpuściły? – zdziwiła się Zofia.

– Właśnie też się dziwię – powiedziała babcia Róża.

– Czy ktoś mi może wyjaśnić, z kim spotyka się moja córka? – Tamara była wyraźnie zdezorientowana. Nie mogła się zdecydować, czy przestać się martwić, bo to tylko dwie staruszki, czy nie, bo z tego, co



usłyszała, nie wyglądały na zwyczajne starsze panie.

– Z tego, co wiem, Leszczyńscy żyli tu jeszcze na długo przed wojną. – Babcia Róża poprawiła się na krześle, co oznaczało, że zanosi się na dłuższą opowieść. – Podobno ten dworek nie był jedynym, który posiadali. Ich dobra obejmowały wiele hektarów pól, lasów i kilka posiadłości. Jednak te okolice upodobali sobie szczególnie. Zwłaszcza żona hrabiego, która chwaliła sobie klimat sosnowych lasów.

– Ojciec mówił, że hrabinę coś w płucach gniołło, a tutaj mogła lepiej oddychać, to ciągle tu siedziała – wtrąciła się Zofia.

– No właśnie. I żyli tu sobie we dworze. Ludzie na nich nie narzekali, bo podobno życzliwi byli, a hrabia lubił gospodarzyć i się na tym znał. Przywoził ze świata nowinki techniczne i dzielił się wiedzą z mieszkańcami wsi. Taki bardziej postępowy pan – uśmiechnęła się Róża.

– Ano tak było – potwierdziła Zofia. – Ponoć nawet w pole chodził i pracował. A dzieciom pozwalał się bawić razem z chłopskimi.

– A potem przyszła wojna. I Leszczyńscy wyjechali. Nie wiadomo, co się z nimi działo. Po wojnie ludzie czekali, ale mieszkańcy dworu się nie pokazywali. Już nawet było kilku chętnych na przejęcie majątku, bo chociaż podczas wojny trochę ucierpiał, część wojska i ludzie rozkradli, ale wiele zostało. – Babcia Róża przymknęła oczy, wracając do wspomnień. – Aż pewnego dnia pojawiły się hrabianki. Pamiętam to dobrze, bo wielkie poruszenie na wsi było. A one nikomu się nie tłumaczyły, nic nie chciały opowiadać. Zamieszkały w rodzinnym domu i tak żyją do dziś.

– To najmłodsze z Leszczyńskich – uzupełniła Zofia. – Bo ich tam piątka była. I tylko te dwie wróciły. Jedna to przed wojną miała ze dwanaście lat, a druga to chyba nawet dziesięciu nie skończyła.

– Świetna historia! – ucieszyła się Marysia. – Pasuje do dworku. Tak sobie to wyobrażałam!

– Rzeczywiście, ciekawe – potwierdziła Tamara. – Tylko dlaczego one tam same mieszkają w tym lesie? Nikt im nie pomaga?

– Ludzie to nawet chcieli – wyjaśniła Zofia. – Ale one nic od nikogo nie brały. I nie wierzyły nikomu. Może myślały, że ktoś chce je okraść? Nie wiem...

– Wiecie, dzieci – westchnęła babcia Róża – wojna różne rzeczy robi z ludźmi. I zostaje w nich na zawsze. Nikt nie wie, co hrabianki przeżyły. Nie chciały o tym mówić i powinno się uszanować ich decyzję. Tylko nie wiem, jak to się stało, że udało ci się, Marysiu, zdobyć ich zaufanie...

– Sama tego nie wiem. Może to Kronos mi pomógł.

Opowiedziała historię szczeniaka, a potem dalsze spotkania z hrabiankami.

– Poczekajcie, zaraz przyniosę tę paczkę. Jeszcze do niej nie zaglądałam, bo mama mówiła takim tonem, że wracałam prawie biegiem.

– A ty się jeszcze dziwisz? – Tamara miała już nieco lepszy humor. – Leć po tę paczkę, bo sama jestem ciekawa.

Wspólnie rozerwały papier i z zachwytem oglądały zawartość. Panna Zuzanna zapakowała Marysi dwie duże białe serwety, haftowane w błękitne fiołki, bieżnik w kolorze écru, na którym pyszniły się herbaciane róże i trzy komplety serwetek – z motywami konwalii, piwonii i lilii.

– Jakież to delikatne! – zachwyciła się Zofia. – Ile to pracy musi być, żeby takie coś zrobić!

Nie sposób było nie zgodzić się z tą opinią.

– Teraz muszę się postarać i jak najlepiej to sprzedać – zdecydowała Marysia. – Hrabianki potrzebują pieniędzy. Bo niedługo dworek zawali im się na głowę.

– Naprawdę musiały cię polubić, skoro zgodziły się na twoją propozycję. – Tamara spojrzała z uznaniem na córkę. – No i pomysł też miałaś bardzo dobry.

– To nie ja, to Kamil. Ja tylko przekazałam. A pani Julia to chyba o niczym nie wie. Tak myślę. I pewnie by się nie zgodziła.

Babcia Róża oglądała jeszcze raz każdą serwetkę po kolei.

– Na pewno niełatwo im było się z tym rozstać – powiedziała. – Masz rację, Marysiu, musi im być ciężko. Samotność, brak rodziny, wspomnienia – to dużo do udźwignięcia. Zwłaszcza na stare lata. Tak, niełatwo hrabiankom Leszczyńskim, niełatwo...

– I dlatego chcę im pomóc – powiedziała Marysia. – Szkoda, że one nie chcą niczego przyjąć.

– Coś jednak od ciebie przyjęły – uśmiechnęła się babcia Róża.

– Te trzydzieści złotych? A co to jest! Zresztą to też niby dla Kronosa.

– Nie o tym mówię – pokręciła głową staruszka. – Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy, jak wyszłam ze szpitala?

– A, już wiem! – Nastolatka machnęła ręką. – No tak, babcia ma rację. Chyba jakoś im jednak pomagam.

– Może nawet sama nie wiesz, jak bardzo.

– A co to za sekrety? – Tamara zrobiła obrażoną minę.

– Takie tam, jak to między babcią a wnuczką – roześmiała się Róża. – Ale to nic złego, nie martw się.

– Ja się nie martwię, tylko jestem zazdrosna. – Tamara uśmiechnęła się do córki. – Najważniejsze, że wszystko się wyjaśniło. Wiesz, porozmawiam z koleżankami w pracy, może wymyślimy w wolnej chwili coś, żeby lepiej sprzedać te serwetki. W końcu masz matkę w agencji reklamowej, nie?

– Dzięki, mammo! – Marysia uścisnęła Tamarę. – A mogę jeszcze ciasta? Zgłodniałam na tym spacerze.



– Nikolka! Dziecko kochane, to ty?! – Zofia podbiegła do dziewczynki i chwyciła ją na ręce. – Co ty tu robisz? Gdzie mamusia?

– Mamusia lobi obiad – odpowiedziała dziewczynka, zrzucając Zofii ręce na szyję. – Nie ma czasu powiedzieć Nikolce bajki. To Nikolka psysła do babci. Powiesz mi bajkę?

– Opowiem, opowiem. – Zofia miała łzy w oczach.

Dobrze, że akurat wyszła do ogródka po koperek i zobaczyła wnuczkę, która zupełnie sama szła środkiem drogi. Gdyby nie przypadek, dziecko na pewno poszłoby dalej, do lasu. I kto wie, co mogłoby się stać!

Przytuliła wnuczkę mocno do piersi. Jak bardzo tęskniła za tym maleństwem! Zaniósła dziewczynkę do sadu i posadziła na krześle. Nie mogła się napatrzeć na te jasne włoski, niebieskie oczy i małe rączki z dołkami przy każdym palcu.

– Das Nikolce pić? – zapytała dziewczynka.

– Tak, zaraz przyniosę. Tylko nie ruszaj się stąd nigdzie. Dobrze?

Nicolka pokiwała głową.

– Albo lepiej chodź ze mną – zdecydowała Zofia. Bała się, że małej znowu coś wpadnie do głowy.

Róża popatrzyła zdziwiona na małego gościa.

– Kasia przyszła?

– Nie. Nicolka sama tu przywędrowała. Kasia pewnie nic nie wie.

– To będzie się denerwowała.

– Odprowadzę Nikolkę, tylko pić jej dam. Siadaj, dziecko, tutaj – pokazała wnuczce taborecik.

– Ja kce tam. – Dziewczynka wskazała drzwi do pokoju. – Tam jest kotecek.

– Kotka nie ma. Ale możesz tam iść – powiedziała Róża. – W pokoju jest chłodniej niż tutaj, przy kuchni.

Zofia nalala kompotu do ceramicznego kubeczka.

– Jak ona tu sama trafiła? – zastanawiała się głośno. – Mądra dziewczynka.

– Nie taka mądra, jak sama z domu wychodzi – uśmiechnęła się pod nosem Róża. – Ale Kasia to chyba powinna lepiej jej pilnować.

– Pewno zajęta w kuchni. Teraz sama wszystko robi. A furтка jest zawsze zamknięta, Nikola do zamka nie sięga, to Kasia myślała, że nie wyjdzie z podwórka.

Poszła z kubkiem do pokoju i już po chwili wróciła.

– Zasnęła na moim łóżku. Wtuliła się w tę brązową chustkę i śpi.

– To niech pośpi. Pewnie się zmęczyła chodzeniem po tym upale. Dla dziecka to przecież kawałek drogi. Obudzi się, to ją zaprowadzisz.

– Ale Kasia się będzie martwiła. – Zofia nie mogła się zdecydować, co ma robić.

– To idź i powiedz, że jest u ciebie. A ja Nikoli popilnuję.

– Tak będzie najlepiej – zgodziła się Zofia.

Już z daleka zobaczyła Kasię biegnącą drogą.

– Nikolka zginęła! – krzyknęła kobieta na widok matki. – Jarek furteki musiał nie domknąć rano.

– Nie zginęła, córuś, nie zginęła. U mnie jest.

– Jak to?

– Szła drogą, to ją wzięłam. Jeszcze trochę, a do lasu by doszła. Chciała bajkę i mnie szukała. A teraz zasnęła. Jak się obudzi, to ją przyprowadzę.

Kasia popatrzyła na matkę ze złością.

– Czy mama wie, ile ja się strachu najadłam? Znowu przez mamę problemy! Rozpuściła ją mama tak, że wcale się słuchać nie chce! Dobrze, ja muszę wracać, bo mam mięso na gazie. Niech ją mama odprowadzi, jak tylko wstanie. Koniecznie.

– Odprowadzę, nie martw się.

Patrzyła, jak Kasia odchodzi w stronę swojego domu. Najpierw zrobiło jej się smutno, że znowu przez nią córka miała problem. Ale zaraz potem rozzłościła się. A czy to moja wina, że Jarek furteki nie zamknął? – pomyślała. – Albo że dziecku nie ma kto bajki opowiedzieć i do babci uciekło?



– Ty wiesz, że ta Marysia to ma całkiem niezłe pomysły! – powiedziała z uznaniem Marzena po wysłuchaniu historii o hrabiankach. – Widać, że w matkę się wdała.

– Daj spokój! Lepiej mi poradź, jak to dobrze sprzedać?

– A patrzyłaś, po ile to chodzi na Allegro?

– Patrzyłyśmy wczoraj. Zależy, bardzo różnie. Sporo jest takich robionych maszynowo, wiesz, imitacja ręcznej roboty. No i one zaniżają ceny. A takie rękodzieło to też duży rozrzut. Mniejsze około stówy, duże nawet kilkaset złotych. Też w zależności od jakości wykonania. I powiem szczerze, że takich cudeniek jak to – wskazała na serwetki hrabianek – to nie znalazłam. Dlatego boję się trochę, że będzie ciężko.

– Zaraz tam ciężko. Ciężko to jest, jak kurczaki zachęcają, żeby je zjeść, pamiętasz? – Przypomniała o przedświątecznej kampanii reklamowej. – A to jest piękna rzecz, właściwie sama się broni. Tylko trzeba dać jej odpowiednie opakowanie. Pijar znaczy. A od tego to chyba ty jesteś specjalistką, nie?

– Niby tak – potwierdziła Tamara.

– No to pomyśl, droga koleżanko, dla kogo to może być?

– Dla koneserów. Takich, co docenią ręczną robotę.

– Błąd! Teraz górę biorą twoje emocje, kochana. Zapomnij o córce, o hrabiankach. Pomyśl o towarze i znajdź klienta. Kto to ma kupić? Do czego mu to ma pasować?

Tamara poszła za radą koleżanki. Skupiła się, starając przestawić umysł na tryb zawodowy.

– Takie serwetki pasują do stylizowanych wnętrz. Antyki albo dobre podróbki, rzeźby, drewno, wysoki połysk, duże lustra... – myślała głośno.

– Kandelabry, lichtarze i porcelanowe filiżanki – dopowiadała koleżanka. – Czyli...

– Czyli dużo kasy.

– I pretensje do arystokracji i wyższych sfer. Nawet jeśli ukryte.

Tamara już weszła na odpowiednie obroty.

– O urządzaniu domu decydują kobiety. Musimy trafić do bogatych kobiet albo żon bogatych mężów. Przekonać je, że jak kupią takie serwetki, to poczują się...

– Jak hrabianki! – roześmiała się Marzena.

– Tak! Masz rację! Dokładnie o to chodzi. Nie ma co wymyślać. Serwetki hrabianek Leszczyńskich. Po prostu!

– No jak się ma coś od prawdziwych hrabianek, to od razu jest się bliżej do arystokracji – parsknęła Marzena.

– Możecie trochę ciszej? – Andżela weszła do pokoju, starając się nie stukać brzoskwiniowymi szpilkami. – Pan prezes ma gościa.

– Przepraszamy – powiedziała Marzena, starając się przybrać poważny wyraz twarzy. – Ale my tu mamy serwetki od prawdziwych hrabianek, to chyba nam trochę więcej wolno.

– Od jakich hrabianek? – zainteresowała się sekretarka.

– Od takich, co mieszkają w dworku, piją herbatę z porcelanowych filiżanek, mówią po francusku i wieczorami haftują.

– Serio?

– Serio, serio – potwierdziła Marzena. – Tamarze udało się zdobyć kilka serwetek. Prawdziwy unikat. Nikt takich nie ma. To nie seryjna chińszczyzna. No ale co ci będę truć, ciebie to przecież nie interesuje.

– A skąd ty to wiesz? – oburzyła się Andżela. – Bardzo lubię oryginalne rzeczy.

– No tak, rzeczywiście. – Mariola zaciskała szczęki, żeby powstrzymać śmiech. – Tylko wiesz, do tego trzeba mieć odpowiednie meble i w ogóle, całe wnętrze...

– To ja wiem, nie musisz mi mówić. – Sexy Doll wyduła czerwone usta. – I tak się składa, że akurat takie mam.

Chyba Marek ma – pomyślała Tamara, ale nic nie powiedziała. Doskonale czuła, do czego zmierza Marzena i w duchu podziwiała jej umiejętności. – Powinna być handlowcem, a nie graficzką.

– Tylko że to nie jest na sprzedaż, kochana koleżanko. Prawda, Tamaro?

– Właściwie to nie. Chciałam dla siebie, bo hrabianki Leszczyńskie nie są chętne do rozdawania takich rzeczy...

– Tamarko, może jednak? Masz tego tyle. – Andżela zrobiła słodką minę i złożyła usta w proszący dzióbek. – Chociaż ten najmniejszy komplecik. Pasowałyby do naszego... to znaczy mojego zestawu kawowego. Też jest w lilie, takie delikatnie różowe. Cudne są. Sama wybierałam. I takie serwetki byłyby idealne. Tamarko, zgódź się, proszę! No ile za to chcesz?

– Sama nie wiem... – Tamara naprawdę nie wiedziała. Głównie nie wiedziała, czy chce, żeby akurat Andżela podawała herbatę na serwetkach haftowanych przez hrabianki Leszczyńskie.

Na szczęście Marzena była czujna i odpowiednio zinterpretowała wyraz twarzy koleżanki.

– Andżela, daj Tamarze stówkę i serwetki są twoje. – Widząc wahanie na twarzy sekretarki, szybko dodała:

- To okazja. Decyduj się, bo widzisz, że Tamara nie jest do końca przekonana. – Zbliżyła się do Andżeli i szepnęła jej do ucha:
- Jej kuzynka chciała wziąć do Anglii, tam podobno majątek płacą za taką ręczną robotę. Must have sezonu normalnie! A Tamara się nie zgodziła.
- Tamarko, poczekaj chwilkę. Jak tylko goście pójdą, zaraz przyniosę ci pieniądze. Bo muszę... – zająknęła się – muszę teraz pilnować, czy czegoś nie potrzebują.
- Tere-fere – pomyślała Tamara. – Musi ci Marek tę stówkę dać, cwaniaro.
- Te serwetki to od razu wezmę. – Sekretarka zgarnęła swoją zdobycz i z miną zadowolonego z polowania kota poszła do sekretariatu.
- Pierwsze sprzedane. Przybij piątkę. – Marzena wyciągnęła rękę do koleżanki. – Hasło reklamowe się sprawdziło. Teraz działaj dalej!



- Gdzie jest dziecko?!
- Babcia Róża spokojnie odwróciła się od kredensu i spojrzała na mężczyznę.
- Gdy się wchodzi do czyjegoś domu, zwłaszcza bez zaproszenia, wypadałoby chyba powiedzieć „dzień dobry”.
- Widziała przez okno zięcia Zofii, więc nie była zaskoczona jego wtargnięciem. Patrzyła, jak wysiadał z samochodu, trzaskając drzwiczkami, jak szedł w stronę domu szybkim krokiem, z zaciśniętymi pięściami. Miała czas, żeby się przygotować na przyjęcie nieoczekiwanego gościa.
- Nie zamierzam się bawić w grzeczności, jak mi ktoś dziecko porywa. Przyjechałem po córkę i żądam, żeby mi ją natychmiast wydano! Bo jak nie, to... – Uderzył pięścią w stół, aż podskoczył stojący na nim wazonik z kwiatami.
- Proszę pana, przypominam, że to mój dom. Nikt tu pana nie zapraszał...
- Nie potrzebuję zaproszenia, żeby odebrać własne dziecko – przerwał babci Róży Jarek.
- Ostatni raz proszę, żeby pan przestał krzyczeć. – Staruszka pozostała niewzruszona. – I nie niszczył mi mebli. Nikt nie porwał panu dziecka ani go tutaj nie przetrzymuje.
- I jeszcze pani kłamie! To już szczyt wszystkiego. Zaraz mi nerwy puszcza!
- Ja nigdy nie kłamie. I od razu dodam, że wcale się pana nie boję.
- Gównu mnie to obchodzi. – Najwyraźniej spokój babci Róży podziałał na intruza jak płachta na byka i rzeczywiście przestał nad sobą panować. – Oddawaj mi córkę, babo, bo wezwę policję!
- Proszę bardzo. Ten pana pomysł akurat bardzo mi się podoba.
- Jarek nie zamierzał się poddawać. Nie był przyzwyczajony do sprzeciwu, ani tym bardziej do tego, że ktoś pozostaje zupełnie obojętny na jego groźby. Wyciągnął telefon z kieszeni kraciatych spodenek i wybrał numer.
- Maciek? Mówi Jarek. Tak, ten sam. Czy ty nadal robisz w policji? Fajno. Weź, podjedź do Borowej, bo mi stara Marciszowa dzieciaka porwała. – Popatrzył na babcię Różę, chcąc sprawdzić, jak zareaguje na „starą Marciszową”, ale staruszka zachowywała się, jakby nie słyszała. Stała z kubkiem w ręku przy kredensie i obserwowała poczynania mężczyzny.
- Normalnie, porwała i nie chce oddać. Nie, nie u siebie, u niej jestem. A co? Mam się z nią bić? Weź się zbierz i przyjedź, po starej znajomości. – Słuchał przez chwilę, co mówi jego rozmówca. – Jak: do Kielc? Zanim przyjadą, to mnie tu noc zastanie. O dziecko moje chodzi, czy ja nie po polsku mówię?! – Znowu zaczął podnosić głos. – Dobra, zadzwonię, ale jak tu nie wyrobię, to będziesz się tłumaczył! Bo

już ledwo się hamuję! – Znowu słuchał. – Ciekawe, czy byś taki mądry był, jakby to twojego małego porwali! A idź w cholere!! – wrzasnął do słuchawki i rozłączył się.

– To jeszcze nie koniec! – oznajmił babci Róży.

– Domyślam się. I chyba usiądę, bo widzę, że to dłużej potrwa. Może się pan czegoś napije? Herbaty? Kompotu?

– W dupę se wsadź swój kompot – warknął Jarek i wybrał kolejny numer. – Policja? Chciałem zgłosić porwanie dziecka. Tak, wiem kto i gdzie. Jestem tu i ta baba nie chce mi oddać córki. Adres? Borowa 96, gmina Jagodno. Moje? Kocela. Jarosław Kocela. Tak, czekam.

– No to za chwilę będzie zabawa – powiedział z satysfakcją.

– Powiem panu szczerze, że też już nie mogę się doczekać.

Jarek stał na środku kuchni i nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. W pomieszczeniu zapanowała cisza, słychać było tylko bzyczenie muchy, która obijała się o szybę, próbując odzyskać wolność. Zza kredensu wolnym krokiem wyszedł Barnaba i z gracją wskoczył na kolana babci Róży, a ta zaczęła gładzić go po łebku.

Mężczyzna wyraźnie zaczynał tracić pewność siebie. Rozglądał się po pomieszczeniu, kilka razy otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Wreszcie wcisnął pięści do kieszeni spodnek i oznajmił:

– Poczekam na policję przy samochodzie, żeby nie było, że tu coś zrobiłem albo co.

Ponieważ staruszka nie zareagowała, wyszedł.

Babcia Róża odetchnęła z ulgą. Tak naprawdę wiele ją kosztowało stawienie czoła temu agresywnemu mężczyźnie. Nigdy nie lubiła takich konfrontacji. Ale wiedziała, że musi sobie poradzić, że z takimi typami można wygrać tylko wtedy, gdy nie okaże się lęku. Bo oni karmią się ludzkim strachem. Wielu takich spotykała, dawno temu. Wtedy nastał dla nich dobry czas. Tylko że wówczas ona sama była młoda i zdrowa. A teraz... teraz poczuła, że serce bije zbyt szybko i zaczyna szumieć jej w głowie.

Spokojnie – pomyślała. – To tylko skok ciśnienia i nerwy. Wezmę lekarstwo i będzie dobrze.

Wyjęła tabletki z szuflady kredensu, wycisnęła dwie na dłoń i połknęła. W oczekiwaniu na przyjazd policji postanowiła obrać włoszczyznę i wstawić wywar na jutrzejszą zupę. Lepiej zająć czymś ręce niż siedzieć bezproduktywnie – pomyślała. Skupiła się na warzywach i tylko od czasu do czasu zerkała w stronę okna, żeby kontrolować sytuację. Na razie widziała tylko Jarka, który nerwowo krążył wokół samochodu i co chwilę ocierał pot z czoła.

Po czterdziestu minutach przed dom podjechał policyjny radiowóz. Wsiadło z niego dwóch funkcjonariuszy, którzy podeszli do Jarka. Przez chwilę z nim rozmawiali. Mężczyzna mówił z zaangażowaniem, szeroko gestykulując. Policjanci kiwali głowami i wreszcie skierowali się do domu. Jarek szedł za nimi.

– Dzień dobry, jesteście z policji. Czy można?

– Proszę bardzo.

– Wie pani, o co chodzi? – zapytał wyższy z funkcjonariuszy.

– Właśnie nie wiem i mam nadzieję, że panowie to wyjaśnią.

– Ten pan – policjant wskazał na Jarka – twierdzi, że porwała pani i przetrzymuje tutaj jego córkę. Czy pani to potwierdza?

– Absolutnie nie.

– Kłamie! Żona mi mówiła, że Nikola tutaj jest! – Jarek wystąpił zza pleców policjanta i zbliżył się do babci Róży. – Nie kłam, babo, bo tylko pogarszasz sprawę.

– Czy ja muszę rozmawiać z tym panem? – Staruszka zwróciła się do funkcjonariusza, zupełnie ignorując Jarka. – Ten pan jest agresywny i niegrzeczny, a ja mam chore serce i nie mogę się

denerwować.

– To może pani sobie usiądzie – zaproponował drugi policjant, młody chłopak o delikatnych rysach.

– Dziękuję ci, chłopcze – uśmiechnęła się babcia Róża.

– Co tu się wyprawia?! – zdenerwował się Jarek. – Panowie mieliście pomóc mnie, a nie tej starej wariatce!

– Proszę się liczyć ze słowami – upomniał go starszy policjant i zwrócił się do kobiety. – Więc mówi pani, że dziecka tu nie ma?

– Tego nie powiedziałam. Dziecko jest...

– A nie mówiłem! – triumfalnie krzyknął Jarek.

– ...jest, ale nikt go nie porwał. Sama przysłała, dzielna dziewczynka, dzisiaj rano, bo jej ojciec nie zamknął furtki, a matka nie dopilnowała. A teraz siedzi w sadzie, ze swoją babcią, która opowiada jej bajkę.

– Ze swoją babcią? – upewnił się policjant.

– Tak jak powiedziałam. I zgodnie z tym, co babcia ustaliła z matką dziewczynki, a żoną tego pana, dziewczynka miała zostać za chwilę odprowadzona do domu.

– Czyli porwania nie było?

– Nie było.

Młodszy policjant głośno odetchnął z ulgą. Starszy odsunął czapkę na tył głowy i otarł pot z czoła. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Czy pan sobie zdaje sprawę, że nieuzasadnione wezwanie policji jest karalne? – zapytał Jarka. – Pan nam głowę zawraca, jedziemy z Kielc, paliwo się marnuje, żeby się dowiedzieć, że dziewczynka siedzi z babcią w sadzie? Sam pan nie mógł sprawdzić? Albo żony zapytać?

– Panowie mają mi pomóc dziecko odzyskać!

– Proszę nie tym tonem – odpowiedział ostro funkcjonariusz. – My nie jesteśmy od odprowadzania dzieci od babci do domu. Co najwyżej możemy zgłosić brak należytej opieki nad dzieckiem i niech się sąd rodzinny tym zajmuje.

– To jest skandal! Ja złożę skargę! Dawniej policja pomagała obywatelom, a teraz to przysyłają jakichś dupków, którzy nie umieją sobie poradzić z głupią starą babą.

– Czy mam zapisać, że pan obraził funkcjonariusza na służbie? – zapytał ochoczo młodszy policjant.

– Zamknij się, gówniarzu! Z tobą nie gadam! – Jarek zrozumiał, że został ośmieszony i zupełnie przestał nad sobą panować. – Zaraz ci pokażę, co ja mogę zrobić takiemu jak ty! – Ruszył w kierunku mundurowego z zaciśniętymi pięściami.

Starszy chyba tylko na to czekał. Ze zwinnością, o którą, patrząc na dość wydatny brzusek, nikt by go nie podejrzewał, doskoczył do Jarka i wykręcił mu rękę.

– Teraz pana wyprowadzę, a pan grzecznie pójdzie. Bo inaczej skuję – pociągnął nosem. – I alkomatem przebadam, a to chyba nie jest panu na rękę, prawda?

Wyprowadził Jarka na drogę. Babcia Róża i młody policjant obserwowali przez okno, jak rozmawiają. Po chwili Jarek poszedł do wsi, a funkcjonariusz wrócił do kuchni.

– Załatwione – poinformował. – Posłałem go do domu. Po dziecko i samochód przyjdzie jego żona. To furiat jakiś – stwierdził.

– Bardzo panom dziękuję. – Babcia Róża posłała im swój spokojny i pełen ciepła uśmiech. – Może kompotu nalać? Gorąco dzisiaj, a panowie musieli aż z Kielc przyjechać.

– Chętnie – ucieszył się policjant.

Wypili po szklance napoju i pożegnali się.

– Pani mi przypomina moją babcię – wyznał na odchodnym młodszy mundurowy. – Od razu wiedziałem,

że pani nie mogła nikogo porwać. Ale Marcin – wskazał na kolegę – sobie z nim poradził.

– Tak, to było bardzo widowiskowe – pochwaliła babcia.

– Nie ma sprawy – Marcin machnął ręką. – Straszny palant z tego gościa. Od początku miałem ochotę dać mu w łeb. Spokoju życzę. Do widzenia.

Babcia Róża z ulgą obserwowała odjeżdżający radiowóz. Dobrze, że Nikola tego wszystkiego nie widziała – pomyślała. – Taki tatuś to żaden autorytet i powód do dumy.

Przyłożyła rękę do serca i przez chwilę słuchała jego bicia. Było już dobrze. Normalnie.

Położyła na talerzyku kilka kruchych ciastek i poszła do sadu. Miała nadzieję, że dzisiejsze wydarzenia zniechęcą Jarka do kolejnych wizyt.



Wjeżdżała na parking przed Lewiatanem zupełnie spokojnie. W piątkowy wieczór nie było tu zbyt wielu klientów, więc nie martwiła się o wolne miejsce. Zdecydowały z Marysią, że przyjadą już dzisiaj, żeby uniknąć sobotnich kolejek do kasy. Poza tym córka miała pewne plany dotyczące dworku i chciała zacząć już od sobotniego poranka. A z tymi planami związana była skrzynka pełna roślin w bagażniku. I to był kolejny argument za wieczornym wyjazdem.

Słońce już prawie schowało się za horyzontem, ale ostatnie promienie dawały jeszcze ten szczególny blask, światło, w którym wszystkie kolory są ciepłe i bardziej nasycone. Powietrze nagrzane całodziennym upałem łagodził wieczorny wietrzyk. Przyroda powoli układała się do snu. Było po prostu przyjemnie.

Tamara na ułamek sekundy przymknęła oczy, zwiedziona tym relaksującym końcem dnia. W tym samym momencie usłyszała pisk hamulców i kątem oka zobaczyła zbliżający się z boku duży ciemny kształt. Odruchowo zahamowała. Do oporu naciskała hamulec. Samochód stanął prawie w miejscu, Tamara zaparła się w fotelu. Na szczęście nie odpięła jeszcze pasa, więc udało jej się uniknąć uderzenia w kierownicę.

– Marysia?! – krzyknęła.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała córka z siedzenia obok. – Co się dzieje?

– Czy ja wiem? Wyjdę i zobaczę.

Poczuła, że trzęsą jej się kolana. Otworzyła drzwiczki i powoli wysiadła, dla pewności przytrzymując się samochodu.

Tuż obok przedniej maski, w odległości nie większej niż piętnaście centymetrów, zatrzymał się potężny nissan z przyciemnianymi szybami. Tamara uświadomiła sobie, jak niewiele brakowało, a potężna maszyna wbiłaby się w bok jej samochodu. Zrobiło jej się niedobrze, musiała kilka razy głęboko odetchnąć, żeby uspokoić żołądek i walące serce.

– Mamo, coś ci się stało? – Marysia także wysiadła i stanęła przy matce.

– Nie, tylko zobacz, niewiele brakowało...

Z nissana wysiadła drobna blondynka i podbiegła do nich.

– Bardzo przepraszam, naprawdę! Nie wiem, jak to się stało, chciałam wyjechać, nie zauważyłam...

– Dobrze, że tylko tak się to skończyło – odpowiedziała Tamara. – Przecież ja w konfrontacji z tym potworem – wskazała na samochód – nie miałabym żadnych szans.

– Naprawdę mi przykro. Wie pani, to samochód męża, ja nim zwykle nie jeżdżę. Musiałam za szybko ruszyć, nie mam wycucia – tłumaczyła kobieta i widać było, że bardzo przejęła się sytuacją.

– A kogo ja widzę! – Drugie drzwi nissana otworzyły się i z auta wysiadł wójt Kamiński. – Co za



spotkanie! Co prawda okoliczności nieco... niefortunne, ale panią, pani Tamaro, zawsze miło widzieć!

Podszedł do kobiet, uśmiechając się szeroko.

– Bardzo przepraszamy, ale wracamy od znajomych. Wypiłem piwo, więc Małgosia, moja żona, musiała prowadzić. Wie pani, nigdy bym sobie nie pozwolił, żeby mnie złapali pod wpływem. To byłby słaby PR, czyż nie?

– Tak, rzeczywiście, nie najlepszy – odpowiedziała sucho Tamara.

– Małgosiu, idź już do samochodu i uspokój się. Ja już wszystko załatwię. – Gestem odprawił żonę, która uśmiechnęła się przepraszająco i bez słowa wykonała polecenie męża.

– Małgosia nie jest najlepszym kierowcą, jak to kobieta. O, przepraszam, jeżeli uraziłem. Oczywiście są wyjątki, ale moja żona do nich nie należy. Zresztą nie musi być mistrzem kierownicy. W końcu gdzie ona jeździ? Na zakupy i do swojej matki. A dziś ją trochę przerósł dobry wóz. – Poklepał swojego nissana po masce z miną dumnego posiadacza.

– Nie mówmy już o tym. – Tamara chciała jak najszybciej zakończyć spotkanie. I tak ledwie powstrzymała się od komentarza o pogardliwym traktowaniu kobiet. – Nic się nikomu nie stało, to najważniejsze. Jeżeli zechcecie państwo trochę się cofnąć, to przejadę dalej, bo chyba blokujemy wjazd na parking.

– Oczywiście, zaraz powiem Małgosi, żeby odjechała. A swoją drogą to ciekawe, że ostatnio co rusz, w dziwnych sytuacjach, wyskakuje pani jak diabeł z pudełka. Czy to jakiś znak od losu? – Wójt nadal się uśmiechał, ale zobaczyła w jego oczach iskiereki złości. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś traktuje go oschle. A już szczególnie kobieta.

– A gdzie to ja panu niby wyskakuję? – zapytała Tamara. – Bo przed chwilą to raczej pan wyskoczył.

– Nie ja, nie ja, tylko moja żona – roześmiał się Kamiński. – Nie miałem nic szczególnego na myśli. Po prostu spotkałem kilka dni temu niejakiego Kocelę. To taki przedsiębiorca, mieszka w Borowej. I on mi opowiadał, że ta Marciszowa, co pani do niej przyjeżdża, to najpierw mu teściową zbuntowała, a potem córkę chciała porwać. – Mężczyzna podrapał się po policzku i spojrzał uważnie na Tamarę, obserwując jej reakcję. – Niby mnie to nie obchodzi, ale Kocela wspierał mnie podczas kampanii. I kojarzy, że pani też się tym zajmowała. Ja mu oczywiście powiedziałem, że kto jak kto, ale pani Tamara na pewno w tym udziału nie bierze. Przecież Marciszowa to obcy człowiek dla pani, to chyba ustaliliśmy już dawno, prawda?

Tamara szybko analizowała słowa wójta. Nic nie słyszała o żadnym porwaniu, widocznie coś wydarzyło się podczas jej nieobecności. Najbardziej jednak zdenerwowała ją ukryta sugestia, że cokolwiek robi, powinna myśleć o jego interesach. W końcu już dla niego nie pracuję – pomyślała.

– Panie Kamiński. – Zrobiła dwa kroki do przodu i stanęła, patrząc mężczyźnie w oczy. – Ja tutaj przyjeżdżam prywatnie i nic mnie nie obchodzi, kto pana wspiera, a kto nie. Swoją pracę wykonałam, wygrał pan i na tym na razie zakończmy tematy zawodowe. A co do pani Marcisz, to myślę, że i ona może robić to, co chce. I sama decydować, z kim rozmawia i kogo u siebie gości, prawda?

– Ależ oczywiście. – Wójt przywołał na twarz swój służbowy uśmiech. – Mówię przecież, że mnie to nie interesuje. Pomyślałem tylko, że to ciekawe. Zanim pani się tu pojawiła, nigdy nawet nie słyszałem żadnej starej Marciszowej, a teraz... No, ma pani rację, nieważne. Zwłaszcza w piękny piątkowy wieczór. – Strzepnął niewidzialny pyłek z gorsu koszuli. – To ja się pożegnaj, bo jak pani słusznie zauważyła, blokujemy wjazd na parking. Życzę miłego weekendu!

Tamara tylko kiwnęła głową. Poczekwała aż wycofa nissana i dała znak córce, żeby wsiadła do samochodu.

– Co to za palant? – zapytała Marysia, gdy już zaparkowały przed sklepem.

– Wójt gminy Jagodno – poinformowała Tamara.

– Nieźle. Biedna ta jego żona – stwierdziła dziewczyna. – Ale dobrze go zgasiłaś. Niech się babci Róży nie czepia.



Kamil przyjechał do Jagodna pociągiem. Pięc po szóstej Marysia czekała na niego na stacji i wrócili z Tamarą do Borowej, skąd już piechotą wybrali się do dworku. Chłopak niósł skrzynkę z roślinami.

– Co to za kwiaty? – zapytał, widząc czerwone i pomarańczowe główki wychylające się spod liści.

– Nie pamiętam, jak się nazywają, ale mama mówiła, że te, co kwitną, są jednoroczne.

– A co to znaczy? Bo mnie do ogrodnictwa to raczej daleko – roześmiał się Kamil.

– Ja też wcześniej nie wiedziałam. To znaczy, że będą tylko w tym roku. A te inne są wieloletnie, czyli jak je wsadzimy teraz, to w przyszłym roku już same wyrosną.

– To po co kupować takie jednoroczne?

– Żeby na początek ładnie było. Zanim ta reszta będzie kwitła.

– OK, dobra. Ja się nie znam, ja tylko do noszenia jestem – zażartował chłopak.

– I do kopania – dodała Marysia, unosząc do góry łopatę, którą niosła.

Postanowiła wziąć hrabianki z zaskoczenia i postawić przed faktem dokonanym. Ciągle myślała o tym, jak jeszcze można pomóc staruszkom. Babcia Róża przypomniała jej, że nie wszystko trzeba przeliczać na pieniądze, że można dać też coś innego. I wtedy pomyślała o okrągłym klombie, o panie Zuzannie, która nie ma siły na ogrodowe prace i o panie Julii wspominającej młode lata. To wszystko złożyło się w całość i nowy pomysł.

Tym razem nie ukrywała swoich zamiarów przed matką. I dobrze, bo zyskała w niej sosjusznika. A nawet, można powiedzieć, sponsora. Pojechały razem do OBI, gdzie początkowo zupełnie nie wiedziały, co mają wybrać. Żadna z nich nie miała pojęcia o ogrodzie, kwiatkach i sadzeniu, ale na szczęście z fachową pomocą młodej sprzedawczynie udało im się skompletować zestaw startowy, jak go nazwały. I ten właśnie zestaw dźwigał teraz Kamil.

– Blisko to to nie jest – zauważył chłopak.

– Nie narzekaj, zaraz będziemy.

Kiedy stanęli na skraju polany, Kamil odłożył skrzynkę i przez chwilę patrzył na dworek.

– Jest dokładnie taki, jak opowiadałaś.

– Przecież widziałeś zdjęcia.

– Ale na zdjęciach nie czuje się atmosfery – wzruszył ramionami. – Fajnie tutaj. Naprawdę.

– A będzie jeszcze fajniej. Pod warunkiem, że zamiast się gapić, weźmiemy się do roboty.

– A co ty tak napierasz? Przecież to nie wyścigi.

– Chciałabym zrobić jak najwięcej, zanim nas zauważą. Mam nadzieję, że jeszcze śpią. A potem już będzie za późno i będą musiały pozwolić nam dokończyć – tłumaczyła Marysia.

– Jasne, w porządku. No to, pani kierowniczo, proszę o instrukcje.

Marysia podprowadziła go do klombu.

– Najpierw powyrywaj tu dookoła, żeby było widać, gdzie są te kamienie. A potem to wszystko w środku trzeba przekopać i też wyrwać. No, tak, żeby goła ziemia została. Bo tutaj wsadzimy kwiaty.

– A kierowniczo będzie patrzeć? – zapytał z przekornym uśmiechem.

– No co ty! Ja powyrywam te trawy spod ścian. Tam, po obu stronach schodów. A potem z ruin. Będzie trochę lepiej wyglądało.

Zabrali się do pracy. Marysia już po kilkunastu minutach czuła zmęczenie. Nie była przyzwyczajona do fizycznej pracy. Dobrze, że mama kupiła mi to – pomyślała, patrząc na kwieciste rękawiczki. – Bo od tej trawy już miałabym pocięte ręce.

Spoglądała ukradkiem na Kamila. Szło mu nieźle, ale on nawykł do wysiłku, bo często pomagał ojcu w warsztacie. Zobaczyła, że zdjął koszulę i kopie w samym podkoszulku. Zauważyła, że ma umięśnione ramiona i to spostrzeżenie wywołało dziwne uczucie – takie zawirowanie w brzuchu. Odwróciła się szybko, zawstydzona, chociaż przecież chłopak nie widział, że na niego patrzy.

– A co tutaj wyprawia?! – Znajomy głos pomógł Marysi wrócić do rzeczywistości. – Psami zaraz poszczuję!

A więc to stały tekst panny Zuzanny – pomyślała dziewczyna. – Pewnie najlepiej działa na intruzów.

Tyle że teraz zabrzmiał dużo mniej poważnie, bo spomiędzy nóg staruszki wybiegł nieporadny szczeniak, który nijak nie przypominał krwiożerczej bestii. Panna Zuzanna w granatowej sukience z falbankami i słomkowym kapeluszu z dużym rondem w połączeniu z merdającym ogonem Kronosem tworzyła obraz może bardzo zabawny, ale z pewnością niegroźny.

Nastolatka roześmiała się na cały głos.

– Panno Zuzanno, proszę się nie denerwować. To tylko my.

– Jacy my? – pogroziła laską staruszka. – Żadnych „my” tu nie proszono.

– Przepraszam, ja wiem, że to trochę dziwne, ale chciałam zrobić niespodziankę – tłumaczyła Marysia, głaszcząc jednocześnie skaczącego jej do kolan psa.

– A ktoś powiedział, że my lubimy niespodzianki?

– Każdy lubi – włączył się do rozmowy Kamil. – Dzień dobry, chciałbym się przedstawić. Jestem Kamil, kolega Marysi. Robię tu za pomocnika, ale poza tym mam też nieco ogłady i obiecuję nie sprawiać kłopotu. Zrobię swoje i znikam, więc proszę się nie obawiać.

– Jeszcze tego brakuje, żebym się jakiegoś niedorostka obawiała – obruszyła się panna Zuzanna i zmierzyła Kamila wzrokiem.

– Panno Zuzanno, mówiła pani kiedyś, że nie ma kto robić w ogrodzie. No to znalazłam chętnego. I przywiozłam trochę kwiatów. Na razie pomyślałam o tym klombie, tak na początek, bo my się w ogóle na ogrodach nie znamy.

Staruszka podeszła do skrzynki i końcem laski zaczęła rozgarniać rośliny.

– Co tu przywiozła? A, szałwia jest. I aksamitki. Śmierdzą, ale długo kwitną, nawet do przymrozków. A to co? Liliowce? Ciekawe, jaki kolor? No, zobaczy się jak zakwitną. Tylko ich za gęsto nie sadźcie, bo szybko się rozrastają.

– To znaczy, że panna Zuzanna się zgadza na to wszystko? – Marysia wskazała na klomb.

– Jak już rozgrzebali, to niech skończą. Przecież tak nie zostawią. A ty, łobuzie, nie podgryzaj tam, bo zniszczysz – odgoniła od skrzynki Kronosa, który próbował wygryźć dziurę i dostać się do roślin.

– I niech dobrze przekopie. Chwasty trzeba wyjąć, a nie zakopywać – pouczyła Kamila, wyciągając laską jakieś zielsko ze środka klombu.

– Tak jest! – wyprężył się chłopak, a panna Zuzanna pogroziła mu laską, ale jakoś bez przekonania.

Patrzyli, jak staruszka powoli idzie do dworku.

– Nie jest taka straszna, jak mówiłaś – szepnął Kamil do ucha Marysi.

– Bo ty wiesz, jak jest. A ja na początku nie wiedziałam – odszepnęła Marysia.

Kronos skoczył, polizał dłoń Kamila i pobiegł za panną Zuzanną. Doskonale wyliczył czas, bo staruszka właśnie otworzyła drzwi. I nawet nie patrzyła, czy pies za nią idzie. Jakby wiedziała, że szczeniak zdąży dobiec we właściwym momencie.

– To się dograli – pokręcił głową chłopak. – Mądry pies.

– Niech Marysia potem przyjdzie! W sieni zostawię kompot! – krzyknęła panna Zuzanna od drzwi. – I niech to zielsko zaniósą za dom, żeby tu zeschłe nie leżało.

– Pierwszy raz powiedziała do mnie po imieniu – zauważyła dziewczyna.

– To chyba kolejne lody przełamane. Jeszcze chwila i cię adoptują, zostaniesz dziedziczką, a ja nie będę miał wstępu na salony. – Kamil zrobił smutną minę.

– Wariat! – Nastolatka uderzyła go rękawiczką w ramię. – Lepiej kop. I chwastów nie zakopuj!

Pracowali ramię w ramię kilka godzin. Nie bez przerwy oczywiście. Pili kompot z rabarbaru, dobry, choć babcia Róża, jak oceniła Marysia, robi słodszy. Trochę rozmawiali, chwilę pochodzili po polanie. Dziewczyna pokazała Kamilowi studnię, z której wyciągnęła Kronosa. Ale mimo śmiechu i żartobliwych przepychanek, około południa teren przed dworkiem wyglądał zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia.

Klombowi zapewne daleko było do przedwojennej świetności, ale i tak prezentował się bardzo dobrze. Oczyszczona z chwastów ziemia i otarte z wieloletniego mchu kamienie stanowiły doskonałe tło dla świeżo posadzonych roślin. Na środku Marysia wsadziła liliowce, dookoła nich rośliny, których nazwy nie znała, ale pamiętała, że są nieco niższe. Miały liście w różnych odcieniach zieleni, niektóre z dodatkiem bieli, a inne lekko niebieskawe.

– Podobno też szybko się rozrastają i zdobią przez cały rok – powiedziała dziewczyna. – Ale najważniejsze, że nie wymagają wiele pracy, a jak będą większe, to nawet chwasty pod nimi nie rosną. Tak powiedziała ta dziewczyna w markecie. O, zobacz, jest tu karteczka z nazwą. Hosta – przeczytała. – Dziwnie, nie? Wszystkie się tak nazywają, tylko to różne odmiany.

– Jakaś ty mądra – uśmiechnął się Kamil. – Jak prawdziwa ogrodniczka.

– Nie nabijaj się! Ty wiesz jeszcze mniej. – Wystawiła mu język i zabrała się do sadzenia ostatnich kwiatów.

Na samym obrzeżu okręgu znalazło się miejsce dla jednorocznych czerwonych szaławii i żółtopomarańczowych aksamitek. Dodały koloru rabacie i ożywiły całą kompozycję.

– Jest nieźle – uznał chłopak, cofając się o kilka kroków i oceniając ich dzieło. – Teraz trzeba jeszcze wynieść to zielsko za dom, żeby tu zeschłe nie leżało – dodał, naśladując zrzędenie panny Zuzanny.

– Ciszej! – upomniała go Marysia, rozglądając się dookoła. – Bo jeszcze usłyszą!

– Tak, na pewno mają podsłuch w którymś z tych kamieni – zadrwił chłopak. Schylił się i podniósł całe naręcze wyrwanych przez dziewczynę traw i chwastów.

Marysia patrzyła, jak odchodzi i znika za rogiem budynku. Fajnie, że tak mi pomógł – pomyślała. – I dobrze jest coś robić razem. Nawet pracować.

– Chodź tutaj! Szybko! – usłyszała krzyk chłopaka.

Pobiegła, przestraszona, że coś mu się stało. Tymczasem chłopak stał, cały i zdrowy, i czekał na nią.

– Wystraszyłeś mnie! – powiedziała z wyrzutem. – Dlaczego tak krzyczysz?!

– Zobacz sama – wskazał ręką na ścianę dworku.

Spojrzała w tym kierunku.

– Piękne – tylko tyle zdołała powiedzieć.

Po ścianie dworku, przy której ustawiono drewniane kratki, pięły się róże. Liście kontrastowały z kolorem ściany i nawet fakt, że farba była mocno przybrudzona i gdzieś tam odpadła razem z tynkiem, ukazując gołe cegły, a kratki miejscami spróchniały i opadły, tylko dodawał uroku temu zachwycającemu widokowi. Świeża i soczysta zieleń usiana mnóstwem różanych kwiatów – białych, różowych i purpurowych, herbacianych i jasnożółtych.

Podeszli bliżej i poczuli zniewalający zapach – słodki i oszałamiający.

– Poznaje – powiedziała cicho Marysia, jakby głos mógł sprawić, że bajeczny obrazek zniknie, rozplynie się w powietrzu. – Tak pachnie u hrabianek w salonie. Tylko tutaj dużo mocniej...

– Zobacz, to idealna harmonia życia i śmierci – powiedział Kamil. – Te kwitnące róże i upadający dworek. Szkoda, że nie mam dobrego aparatu.

– Możemy to tylko zapamiętać. Będziemy mieć takie zdjęcie w głowie.

– Ładnie to powiedziałaś. Zdjęcie w głowie. I w sercu – dodał i objął Marysię ramieniem.

Nie odsunęła się. Nie poczuła strachu. Czy sprawił to cudowny widok, czy oszałamiający zapach – nie wiedziała. I nie zastanawiała się nad tym. Po prostu było jej dobrze. I czuła, że chce być przytulana. Chce, żeby ramię Kamila ją obejmowało. Mocno. Pragnęła mu o tym powiedzieć. O swoim szczęściu, o tym, że dobrze jej przy nim. Odwróciła twarz w jego stronę i napotkała jego oczy bardzo blisko swoich. Oczy i usta. Przymknęła powieki i poddała się nastrojowi chwili. Miała wrażenie, że zapada się w płatki róż, tonie w nich i wcale nie ma ochoty się przeciwstawiać. Słodkie ciepło rozeszło się po ciele dziewczyny, czuła je nawet w czubkach palców. Westchnęła.

– Zginęli tam czy co? – usłyszeli głos panny Zuzanny. Odsunęli się od siebie, ale Marysia nadal czuła ciepło i zapach ciała chłopaka.

– Już idziemy – odrzyknął Kamil i pogłaskał dziewczynę po policzku.

– Panno Zuzanno, wszystko zrobione – zameldował z uśmiechem chłopak. – Będziemy się zbierać.

– Myślałam, że już uciekli. A Julia kazała, żeby podziękować. Mówiłam jej, że jak zaczęli psuć, to i naprawić musieli, ale ona się uparła. No to przekazuję, co chciała.

– Nie ma za co dziękować – powiedziała Marysia. – To raczej ja jestem wdzięczna, że mogłam tu pobawić się w ogrodniczkę. I nawet mi się spodobało. Może jeszcze coś kiedyś posadzę, jak panie pozwolą.

– To się trzeba będzie zastanowić – burknęła panna Zuzanna. – Żeby wszystkiego nie rozkopali. A potem trzeba będzie psa pilnować, żeby nie niszczył. I nowy kłopot gotowy.

– Jakby co, to ja zawsze mogę kopać – zadeklarował się Kamil. – A teraz musimy się pożegnać, panno Zuzanno, bo babcia Róża zapowiedziała obiad na czternastą i nieelegancko byłoby się spóźnić.

Pozbierali narzędzia i ruszyli w drogę powrotną do Borowej. Niby tak samo jak rano, a jednak inaczej. Bo teraz szli naprawdę razem, a nie tylko obok siebie. A w sercu Marysi coś jakby śpiewało.



– Siadaj i jedz, póki gorące.

Babcia Róża postawiła na stole talerz pełen pachnącej zalewajki i koszyczek z chlebem. Mężczyzny nie trzeba było zachęcać. Staruszka patrzyła, jak szybkimi ruchami ręki nabiera kolejne łyżki zupy i zagryza kromkami świeżego chleba.

– Bo się udławisz – uśmiechnęła się staruszka. – Nie bój się, nie braknie. Jeszcze ci w słoik naleję, będziesz miał na później.

– Mowy nie ma – zaprotestował Łukasz nieco niewyraźnie. – Ja pani objadał nie będę.

– A ty ciągle to samo. Mnie nie ubędzie, nie bój się. A ty kiedy jadłeś coś ciepłego?

– Niedawno – powiedział, patrząc w talerz.

– A jakże! Już wierzę. Oj, Łukasz, kiedy ty zmądrzejesz?

– Już dawno zmądrzałem.

– A to dopiero! I z tej mądrości taki nieszczęśliwy jesteś?

– Kto pani powiedział, że jestem nieszczęśliwy? Przeciwnie, bardzo mi dobrze.

– Mnie nikt mówić nie musi. Mam oczy i widzę. Jak ci dobrze, też widzę. Dolać? – zapytała, bo łyżka już dzwoniła o dno talerza. – Co ja zresztą pytam! Daj ten talerz.

- Tylko niedużo, bo nie dam rady.
- Może tak być. I to mnie właśnie martwi.
- Że zupy nie dojem? – Łukasz popatrzył na babcię spod oka.
- Już ty dobrze wiesz, o czym ja mówię.
- Wiem albo nie wiem. A na pewno nie chcę o tym mówić.

Staruszka usiadła naprzeciwko mężczyzny. Patrzyła na ogorzałą od słońca twarz i zaczesane do tyłu włosy, których kosmyki niesfornie opadały na czoło.

– Mówisz, że mądry jesteś, a zachowujesz się jak dziecko, co myśli, że jak zamknie oczy, to go nie widać. A to tak nie działa. Jak się nie mówi, to jest jeszcze gorzej.

Łukasz odłożył łyżkę na brzeg talerza.

– Pani Rózo, jak mnie pani będzie męczyła, to ja sobie pójdę. Naprawdę.

– Ja cię męczę? I jak pójdziesz, to będzie lepiej? – Róża pokiwała głową, patrząc wprost w zmęczone oczy gościa. – Całe dni uciekasz. W las, w pola, a wieczorem w butelkę. Ja mogę nic nie mówić, ale obydwójce wiemy, że od tego dręczenia nie ubędzie. Ale jak tam sobie chcesz... Jedz – wskazała głową na talerz.

– Już zjadłem. Coś ma pani jeszcze dla mnie do roboty?

– Do roboty nic. Tylko pytanie mam.

– Pani Rózo, bardzo proszę... – oparł dłonie o blat i uniósł się z krzesła.

– Jeszcze nie wiesz, o co mi chodzi, a już byś uciekał. A nie lepiej się dowiedzieć? I wiedzieć, zamiast się domyślać?

– Dobrze, niech już pani pyta. Wolę to, niż te półsłówka. Nie mam ostatnio nastroju na takie historie. – W głosie mężczyzny babcia Róża usłyszała zniecierpliwienie, ale wcale się tym nie przejęła.

– Dlaczego ty, Łukasz, nie powiedziałeś Tamarze od razu, gdzie Marysia chodzi? Przecież to nic strasznego, że z hrabiankami się poznała. A Tamara tak się zdenerwowała, że aż strach.

– I dobrze.

– Nie, to nie jest dobrze, jak się kogoś specjalnie krzywdzi. I ty to wiesz. Dlatego pytam, jaki miałeś powód. I lepiej, żeby był ważny, bo wiesz, że ja wiele wybaczę, ale rozmyślniej krzywdy dla własnej radości, to już nie.

Łukasz popatrzył na Różę. Nie uśmiechała się. Patrzyła surowo i czekała na odpowiedź.

– Pani Rózo, zna mnie pani przecież... Co ja mam powiedzieć? Chciałem, żeby się zajęła czymś sensownym, zamiast... No, żeby przestała myśleć tylko o sobie. Co będę kłamał – patrzeć nie mogę, jak się wymądrza i na wszystko ma odpowiedź. Dobrze znam takie kobiety, aż za dobrze.

– Naprawdę? Ty się, Łukasz, zastanów, co ty pleciesz. Ona całe życie sama dziecko wychowuje. Sama musi dbać, żeby zarobić, córkę utrzymać. A jeszcze mnie pomaga i teraz Zofii. I ty mi mówisz, że ona myśli tylko o sobie? Ona myśli o wszystkich, a o sobie właśnie zapomina. Bo czasu nie ma. I się boi.

Łukasz podszedł do okna i stanął tyłem do gospodyni, która nie zwracając uwagi na jego zachowanie, mówiła dalej:

– Boi się, że jak o sobie zacznie myśleć, to się rozklei i nie da rady. A nie ma na kogo liczyć. Bo co jej pomogą staruszki czy młoda dziewczyna? Musi być silna. Albo przynajmniej udawać. Co, nie wiesz, jak to jest? Ilu znasz takich, co kilkanaście lat wytrzymali? Sam nie dałeś rady. A ona daje. I ty mi będziesz mówił, że znasz takie jak ona? Dlatego ja cię, Łukasz, proszę, ty jej kłopotów nie dokładaj.

– To niech męża poszuka. Będzie miała na kogo liczyć – burknął, nie odwracając się.

– Jednego już miała. Pił i chciał być wolny. A taki się do życia z kimś nie nadaje. – Babcia Róża zauważyła, że mężczyzna drgnął, więc zamilkła, czekając, co odpowie.

– No to chyba leśniczy jest chętny. On nie pije, to się nada.

– A o tym, to akurat ty chyba więcej wiesz niż ja – skomentowała staruszka. – Jacy tam nie chcę przekonać, żebyś ją lubił, tylko proszę, żebyś jej nie krzywdził. Bo na to nie zasługuje. A do mnie przyjdź jutro na mielone.

– Nie wiem, czy będę miał czas – powiedział, sięgając po sweter zawieszony na oparciu krzesła.

– Jak się obrazisz, to nie będziesz miał. Ale mielone będą i tak.

Był już przy drzwiach, trzymał dłoń na klamce, ale odwrócił się i zapytał:

– Pani Rózo, niech mi pani tak szczerze powie: co ja mam robić?

– To samo ci powiem, co zawsze – uśmiechnęła się babcia Róza. – Rób to, co ci serce dyktuje. Lepszej rady nie mam.

– Ale... – Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował. Pożegnał babcię pełnym bólu spojrzeniem zielonych oczu.

– Tak, Łukasz, w końcu musisz zdecydować – powiedziała babcia, chociaż on nie mógł już tego usłyszeć. Szedł na przełaj, przez łąkę i starał się zapomnieć o rozmowie sprzed chwili.



– Dzień dobry, mammo.

Słyszając głos córki, Zofia odwróciła się zaskoczona. Właśnie wieszala pranie na sznurkach rozciągniętych między jabłonią i śliwami. Taka drobna przepierka – kilka chustek, bluzka, kuchenne ściereczki. Cieszyła się, że pogoda dopisuje, bo lubiła zapach rzeczy, które schły na dworze. Pachniały słońcem, wiatrem i sosnową żywicą. Żaden z tych płynów kupowanych w supermarketach nie dorównywał temu, co czuła, wtulając twarz w zdjęte ze sznurka ubrania.

– Babcia, babcia! – Nikola wyrwała rączkę z dłoni mamy, podbiegła do Zofii, objęła ją z całych sił i wtuliła buzię w kwiecistą spódnicę.

Kasia stała przy pierwszych drzewach, jakby nie miała śmiałości podejść bliżej. Obok niej Pawełek przestępował z nogi na nogę, nie wiedząc, jak się zachować – podbiec do babci, czy pozostać u boku matki.

– Chodźże, Pawełku! – Zofia otworzyła ramiona. – Przywitaj się z babcią!

Chłopak niepewnie spojrział na Kasię, a kiedy matka skinęła głową, podszedł do Zofii, która uściskała go serdecznie.

– Stęskniłam się za wami – powiedziała ze wzruszeniem.

– Nikola też tęskniła – zapewniła wnuczka, nie puszczając babcinej nogi.

– Kasiu, a ty co tak stoisz? Siadajcie tam, przy stoliku – wskazała miejsce pod gruszą. – Zaraz do was przyjdę, tylko skończę wieszać.

– Ja mamie pomogę – powiedziała kobieta.

Podeszła i wyjęła matce z ręki kraciatą ściereczkę.

– Niech mama idzie odpocząć.

Zofia w towarzystwie wnuków zajęła miejsce na wiklinowym fotelu. Nikola natychmiast wdrapała się jej na kolana, a Pawełek usiadł obok, na plastikowym krzeselku. Po chwili dołączyła do nich Kasia.

– Co u ciebie, córeczko?

– Jakoś sobie radzę. Na początku, jak mama... się wyprowadziła, to nie wiedziałam, w co ręce włożyć. Teraz już lepiej mi idzie. Chłopcy trochę pomagają, zwłaszcza Pawełek.

– Tak, z Pawełką zawsze był dobry pomocnik – potwierdziła Zofia, gładząc wnuka po głowie. – Dobrze, dziecko, że mamie pomagasz. To się chwali.

– Babciu, a bajkę mi powiesz? – zapytała Nikola.

– Później – odpowiedziała za Zofię córka. – Teraz idźcie poszukać kota, bo ja chcę z babcią porozmawiać. Tylko uważajcie na siebie. Pawełku, pilnuj siostry! – nakazała.

Dziewczynka zrobiła obrażoną minę, ale posłuchała polecenia i poszła za Pawełkiem w kierunku zabudowań.

– Krzysio nie chciał przyjść. – Kasia spojrzała na matkę przepraszająco. – Zresztą on i tak teraz ma lekcje.

Zofia złożyła ręce na brzuchu. Spokojnie czekała, kiedy pozna powód niespodziewanych odwiedzin. Córka przez chwilę milczała, jakby zbierając się do powiedzenia tego, co zaplanowała.

– Ja przyszedłam, bo chciałam mamę przeprosić za Jarka. Za to, że on wtedy policję wezwał i mamę o porwanie oskarżył. Mówiłam, żeby się uspokoił, ale wie mama, jak z nim jest.

– Mnie to się wydaje, że sam powinien za siebie przeproszać – powiedziała Zofia. – Każdy ma swoje przewinienia i za siebie odpowiada. A przeprasza wtedy, jak czuje żal.

– Ale Jarek taką dumę ma, że sam nie przyjdzie...

– A ciebie wysłać, to mu duma pozwala?

– To nie tak – Kasia nerwowo zginała pasek torebki. – Jarek nie...

– Nie wie, że przyszedł? – domyśliła się Zofia.

– No nie wie – przyznała córka. – Wolałam nie mówić, bo on bardzo to wszystko przeżywa. Najbardziej, że ludzie we wsi gadają.

– Może prawdę mówią? – Zofia popatrzyła córce prosto w oczy.

– Mamo! – oburzyła się Kasia. – Ludzie zawsze bzdury plotą, wiadomo. Ale Jarek nerwowo...

– I z tych nerwów to masz? – zapytała kobieta, wskazując na siną plamę na ramieniu córki.

– To? Nie, to się uderzyłam o drzwi, jak zakupy wносиłam. Duże torby miałam, nie wymierzyłam dobrze – tłumaczyła się z zapalem, ale nie patrzyła matce w oczy.

– Oj, córciu, córciu – westchnęła Zofia. – Mnie nie oszukasz. Ludzi może tak, ale matki nie.

Kasia nie odpowiedziała. Siedziały chwilę w milczeniu. Wreszcie młodsza z kobiet wstała.

– Będziemy już szli. Muszę obiad zrobić, po Krzysia do szkoły jechać...

– Szkoda, że dłużej nie posiedzicie – zmartwiła się Zofia. – Nikolka chciała, żeby jej bajkę opowiedzieć.

– To innym razem.

– Córciu, poczekaj jeszcze chwilę. – Zofia zatrzymała odchodzącą Kasię. – Przyjdziecie jeszcze kiedyś? Tak na dłużej. Posiedzimy, pogadamy spokojnie.

– Nie wiem, mamo. – Kasia miała smutne oczy. – Zobaczymy, jak się ułoży. Może jak trochę czasu minie, to Jarek się uspokoi i wtedy. I tak, jak się dowie, że dzisiaj przyszedłam, to nie będzie zadowolony.

– Córciu, martwię się o ciebie. – Zofia podeszła do Kasi i pogłaskała ją po policzku. – I za wnukami tęsknię. To nie powinno tak być.

– Wiem, mamo. – Kasia miała łzy w oczach. – Ale na razie musi. Bo co ja mam zrobić? Do widzenia, mamo.

Zofia patrzyła, jak córka idzie wolnym krokiem między drzewami. Cieszyła się, że mogła zobaczyć ją i wnuki, ale tę radość przysłaniało wspomnienie siniaka na ramieniu Kasi. Nie wiedziała też, kiedy znowu zobaczy wnuki i już teraz zaczęła znowu za nimi tęsknić. Żałowała, że nie może mieć ich blisko, widzieć codziennie, patrzeć, jak żyją. Tak nie powinno być – powtórzyła w myślach to, co powiedziała córce. – A przecież zawsze chciałam, żeby miała lepiej niż ja...





Ewa Dobrosz siedziała w swoim ulubionym fotelu i uważnie przyglądała się trzymanej w ręku kartce. To był coroczny rytuał rodzinny. Marysia w dniu zakończenia roku szkolnego przychodziła do babci, żeby pochwalić się świadectwem. Dziś także zajęła miejsce z drugiej strony okrągłego stolika i w napięciu oczekiwała na komentarz babci. Nie spodziewała się pochwał, bo stopnie były, delikatnie mówiąc, nie najlepsze. Gdyby jednak babcia wiedziała – myślała dziewczyna – ile trudu mnie kosztowały, to może uznałaby, że zasługuję na dobre słowo.

Kobieta zakończyła czytanie, zdjęła okulary i odłożyła je razem ze świadectwem na brzeg stolika.

– Można więc uznać, że zaczynasz wakacje? – zapytała.

– Tak, babciu. – Marysia była zdziwiona. Spodziewała się przynajmniej kilku słów na temat jej słabych osiągnięć albo krótkiej przemowy o tym, jak ważna jest nauka, marnowaniu szans na świetlaną przyszłość i docenianiu tego, co się ma, a inni nie mają lub nie mieli. Tymczasem nic, żadnej oceny, żadnych komentarzy.

– Jak je spędzisz?

– Już dzisiaj wyjeżdżamy do... – przerwała, nie wiedząc, jak dokończyć.

– Do tej waszej babci Róży, tak? – zapytała spokojnie Ewa. – Wiem, twoja mama mi mówiła.

– No, tak. Mama wraca, bo pracuje, ale ja zostanę przez dwa tygodnie. Potem jadę na obóz, nad morze.

A dalej to jeszcze nie wiem...

– Powiedz mi, Marysiu, a ty się nie nudzisz na tej wsi?

– Skąd! Na początku rzeczywiście myślałam, że nic tam nie ma, ale powiem ci, babciu, że teraz to bardziej się nudzę w mieście niż tam. Nawet nie wiesz, jak w lesie może być pięknie! A na łące! Tyle kwiatów, których nawet nie znałam, te drzewa, ptaki. Więcej się nauczyłam chodząc na spacerów niż w szkole na biologii, naprawdę!

Ewa Dobrosz patrzyła na opowiadającą wnuczkę. Po raz pierwszy widziała ją naprawdę zaangażowaną w to, co mówi. Miała błysk w oczach i uśmiech na twarzy. Jaka ona ładna i sympatyczna – pomyślała kobieta. – Wcześniej tego nie zauważyłam. Sądziłam, że jest raczej małowówna...

Marysia zauważyła, że babcia obserwuje ją bez słowa, ale zinterpretowała to na swój sposób.

– Przepraszam, babciu. Ja cię chyba zanudzam tymi opowieściami.

– Ależ nie, to bardzo ciekawe – zaprotestowała Ewa. – Poza tym ładnie opowiadasz. Miło się tego słucha.

Dziewczyna zdziwiła się po raz kolejny w ciągu kilkunastu minut. Pochwała? Nie pamiętała, żeby wcześniej słyszała coś podobnego. Tym razem ona uważniej przyjrzała się babci. Czy coś się stało? Skąd ten dobry nastrój?

– Dlaczego mi się tak przyglądasz? – zapytała Ewa. – Czy to coś dziwnego, że babcia chce wiedzieć, co słyhać u wnuczki? Nie widzimy się zbyt często, sama wiesz, więc chętnie posłucham. Skończyłaś na spacerach po lesie. Ale nie chcesz mi chyba powiedzieć, że przez dwa tygodnie będziesz spacerowała?

– Oczywiście że nie! – roześmiała się Marysia i trochę się wystraszyła, bo u babci głośny śmiech uznawany był za brak ogłady. Tym razem jednak babcia nic nie mówiła, więc dziewczyna, zachęcona milczącym przyzwoleniem, postanowiła opowiadać dalej.

– Będę porządkowała ogród i sadziła kwiaty.

– U tej babci Róży?

– Nie, babcia Róża ma piękny ogródek. Z makami, malwami i słonecznikami. Nawet nie wiesz, jak to pięknie wygląda!

Wiem lepiej niż ci się wydaje – pomyślała Ewa Dobrosz i znowu poczuła klucie w okolicach serca. Wolą więc zmienić nieco temat.

– No to gdzie będziesz zakładała ten swój ogród?

– To bardzo ciekawa historia, babciu. Wyobraź sobie, że niedaleko Borowej, w lesie, w starym dworku mieszkają dwie prawdziwe hrabianki...

Marysia opowiadała o hrabiankach Leszczyńskich, o Kronosie, o okrągłym klombie i cembrowanej kamieniami studni, serwetkach, a Ewa Dobrosz słuchała z lekko przymkniętymi oczami. W głowie przesuwały jej się obrazy sprzed lat – leśne drogi, drewniany płot, sad... Wszystko takie kolorowe, piękne...

– Muszę już iść, babciu. Mama prosiła, żebym się nie spóźniła, bo mamy jeszcze zdążyć do OBI po leżak. Mama chce się opalać.

Kobieta otworzyła oczy i przez moment nie wiedziała, gdzie jest. Wspomnienia przeniosły ją w inny świat, z którego trudno było wrócić. Zamrugnęła kilkakrotnie oczami i uśmiechnęła się do wnuczki.

– Przepraszam, zamyśliłam się...

– Nie ma sprawy – machnęła ręką dziewczyna. – Nie dziwię się. Przecież wiem, że cię to nie bardzo interesuje. – Sięgnęła po torbę leżącą na wersalce i poszła do drzwi.

– Poczekaj, Marysiu – zatrzymała ją babcia. Spod serwetki leżącej na stoliku wyciągnęła kopertę i podała ją wnuczce. – Masz tutaj na wakacje. Przyda się, może na te nowe kwiatki do ogrodu?

– Dziękuję babciu, nie trzeba. – Marysia nie wiedziała jak zareagować, bo dotychczas babcia nie obdarowywała jej pieniędzmi. Owszem, były prezenty świąteczne czy urodzinowe, ale nigdy gotówka. Zazwyczaj coś praktycznego, często książki. A teraz?

– Wiem, że nie trzeba – odpowiedziała Ewa Dobrosz. – Ale chyba można?

– Pewnie, że można! – ucieszyła się dziewczyna. Nie wiedziała, skąd ta zmiana, ale taka babcia podobała jej się dużo bardziej. Zupełnie spontanicznie podeszła i pocałowała kobietę w policzek.

– Dziękuję, babciu. Do widzenia. Zadzwoń do ciebie z Borowej.

– Będzie mi miło – odpowiedziała Ewa.

– Bardzo ładnie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz, babciu. – Marysia zawstydzona tym, co bez namysłu powiedziała, szybko otworzyła drzwi i zbiegła po schodach.

Ewa Dobrosz przekręciła zamek i podeszła do lustra wiszącego w przedpokoju. Spojrzała na swoje odbicie.

– Też tak uważam – powiedziała do siebie i uśmiechnęła się.



Marysia znowu miała dla hrabianek niespodziankę. I nie chodziło wcale o to, że w torebce niosła prawie tysiąc złotych. Tak, to też uważała za sukces. Wszystkie serwetki bardzo szybko znalazły nabywców. Dwie nawet poleciały za granicę – jedna do Londynu, druga do Frankfurtu.

Nie poszłoby pewnie tak gładko, gdyby nie pomoc mamy. Hasło reklamowe, które wymyśliła z koleżanką, naprawdę chwyciło. Wiele osób pisało z pytaniami, czy to naprawdę arystokratki haftowały. Chętnych było wielu i trochę żałowała, że wystawiła je na sprzedaż ze stałą ceną, a nie na licytację. Jeżeli będzie miała następną okazję, to pozwoli na podbijanie cen. Wtedy jest szansa na wyższe kwoty. Teraz trochę się obawiała, czy nie zostaną sprzedane zbyt tanio, ale wszystko wskazywało na to, że kupujących jest więcej niż się spodziewała, a zainteresowanie ręcznym haftem duże.

Drugi dobry pomysł podsunął Kamil. zaproponował wystawienie serwetek na zagranicznym portalu

aukcyjnym. Nie miała z tym problemu. Przynajmniej na to przydał mi się ten rok w klasie z międzynarodową maturą – stwierdziła dziewczyna. – I ciągła nauka angielskiego.

Musiała przyznać, że zagraniczny portal to był strzał w dziesiątkę. Nie tylko dlatego, że wystawione tam serwety osiągnęły najwyższe ceny, ale dlatego, że jeden z nabywców, ten z Londynu, napisał do niej e-mail. I to po polsku.

Na początku była zdziwiona i nie bardzo wierzyła w to, co napisał. Pomyślała, że to jeden z tych świrów, których pełno w sieci. Odpowiedziała krótko i grzecznie, ale tak, żeby nie zachęcać go do dalszych kontaktów. On jednak napisał kolejną wiadomość, podał więcej szczegółów i wszystko wskazywało na to, że odnalazł się daleki kuzyn hrabianek Leszczyńskich.

Wiedział dużo, niektórych informacji nawet nie potrafiła zweryfikować, bo sama знаła niewiele faktów z życia hrabianek. Ale te, które poznała, zgadzały się z jego informacjami. A ostatecznie przekonał ją, pisząc, że matka hrabianek uwielbiała róże i sprowadzała różne odmiany nawet z innych krajów. Wtedy Marysia zrozumiała, skąd piękne kwiaty wzięły się na ścianie dworu i że mężczyzna naprawdę musi być spokrewniony z pannami Zuzanną i Julią.

Była pewna, że hrabianki ucieszą się z takich wieści. To przecież prawdziwe szczęście. Żyły tyle lat samotnie, przekonane, że nie mają nikogo, a tymczasem okazało się, że ich daleka rodzina żyje w Londynie, a kuzyn zamierza przyjechać w odwiedziny. To przecież prawdziwa sensacja!

Postanowiła, że najpierw porozmawia z panną Zuzanną, bo przecież Julia nic nie wie o sprzedaży serwetek. Muszą wspólnie ustalić, jak jej o tym powiedzieć. Jakoś to będzie – myślała Marysia. – Przecież jak się dowie o kuzynie, to nie będzie się gniewała o kilka serwetek. Panna Julia jest mądra i miła, więc wybaczy, że robiły coś za jej plecami.

Nie była pewna, czy hrabianki już wstały, bo wyszła jeszcze przed siódmą. Z emocji nie mogła spać, a rano usiedzieć spokojnie. Tak bardzo chciała podzielić się z hrabiankami swoją radością i zobaczyć, jak one będą się cieszyły!

Z daleka zobaczyła pannę Zuzannę, która nachylała się nad klombem. Obok niej grzecznie siedział Kronos. Wyglądało na to, że już zrozumiał, gdzie nie wolno mu biegać – pomyślała dziewczyna. – Panna Zuzanna ma prawdziwy talent pedagogiczny. Jest nawet lepsza od Wolskiej. I na pewno tak nie ryje wychowankom psychiki – stwierdziła.

– Kronos! – krzyknęła z daleka, a pies od razu zaczął biec do niej, machając ogonem.

– Dobrze, że przyszła, bo podlać trzeba – poinformowała ją staruszka. – Jak się wsadzi, to trzeba dbać. Przez tydzień deszczu nie było, to już ledwie żyją – wskazała laską na kwiaty.

– Panno Zuzanno, mam już wakacje. Będę tu przez dwa tygodnie, to codziennie mogę podlewać. I nawet zaraz to zrobię, tylko najpierw mam dla pani sensację.

– Mnie tam do żadnych sensacji się nie spieszy. Dość ich miałam w życiu.

– Ale to taka dobra sensacja.

– Tego to się nigdy nie wie... – pokręciła głową staruszka.

– To zaraz się panna Zuzanna sama przekona. Tylko najpierw to – wyjęła z torebki plik banknotów.

– A co mi tu daje?

– Sprzedałam serwetki.

Panna Zuzanna wzięła pieniądze i przeliczyła je. Marysia zobaczyła błysk zaskoczenia w jej oczach. Czekala na to, co staruszka powie, ale ta po prostu schowała banknoty do kieszeni swetra.

– Z psem pochodzi czy chce podlewać? Bo ja jeszcze śniadanie muszę Julii podać i herbata będzie później.

– Mogę i pochodzić, i podlać. – Marysia była zniecierpliwiona. – Naprawdę nie jest pani ciekawa, co chcę powiedzieć?

– I tak przecież powie.

– Pewnie, że powiem. Nie są panny same, odnalazła się rodzina. Kuzyn. Mieszka w Londynie i chce tu przyjechać.

Panna Zuzanna stanęła i przez chwilę patrzyła na Marysię, jakby nie rozumiała tego, co usłyszała. Dziewczyna czekała, aż radosna informacja dotrze do staruszki. Spodziewała się wzruszenia i radości, a tymczasem kobieta podniosła do góry łaskę i ze złością powiedziała:

– Nie mamy żadnej rodziny! Zrozumiała?!

– Ja wiem, że to szok. Rozumiem. Ale sprawdziłam. Wszystko się zgadza. Panny mama i jego babcia były siostrami stryjecznymi – tłumaczyła Marysia. – Szukał was po wojnie, ale nie trafił na żaden ślad. Jego babci bardzo zależało na odnalezieniu rodziny, ale nie doczekała tego momentu. Jego tata jeszcze żyje, ale nie przyjedzie, ponieważ jest chory. Bardzo żałował, bo pamięta pannę Julię. A kiedyś nawet tutaj był. Za to Jan, tak ma na imię, chce przylecieć w sierpniu.

Panna Zuzanna nadal stała nieruchomo. Zaciśnęła usta w wąską linijkę i nic nie mówiła.

– Tylko zastanawiam się, jak powiedzieć o tym panie Julii. No, bo od razu trzeba będzie o tych serwetkach. Ale chyba coś się uda wymyślić, prawda?

– Niech idzie do domu. – Staruszka pokazała łaskę na drogę wśród drzew. – Teraz niech idzie.

– Jak to? – Marysia nic nie rozumiała.

– Niech zrobi, co mówię.

Odwróciła się i odeszła, zostawiając zdumioną Marysię. A może za szybko to powiedziałam? – zastanawiała się nastolatka. Była trochę rozczarowana, bo spodziewała się zupełnie innej reakcji. Wreszcie doszła do wniosku, że panna Zuzanna potrzebuje czasu na oswojenie się z nowiną i poinformowanie o tym siostry. Przyjdę jutro – pomyślała.



– Kuzyn z Londynu do nas przyjedzie – oznajmiła panna Zuzanna, wnosząc do salonu tacę z dzbankiem i filiżankami. – Doigrałaś się.

Panna Julia zakręciła kołami wózka i odwróciła się od okna, przez które obserwowała spotkanie siostry z dziewczyną. Podjechała do stolika i nalała sobie herbaty.

– To przez te twoje pomysły. Mówiłam, żeby jej tych serwetek nie dawać, ale ty zawsze byłaś uparta. I zawsze musiałaś postawić na swoim. No to teraz masz. – Zuzanna zastukała łaskę w podłogę. – Po co ci to było? Mówiłam, żeby jej za próg nie wpuszczać. Tyle lat dobrze było...

Julia popatrzyła na siostrę spokojnie.

– Dobrze było? – zapytała.

– A źle? – burknęła staruszka. – I co? Teraz będzie lepiej?

– Co ma być, to będzie. Dosyć już tych tajemnic. Ja tego do grobu zabierać nie chcę.

Julia zamyśliła się, wpatrując w brązowozłoty płyn w malowanej w róże filiżance. Po chwili dodała ledwie słyszalnym szeptem:

– Ona ma na imię Marysia.

Zuzanna wzruszyła ramionami.



– Coś babcia dzisiaj zmartwiona – zauważyła Tamara, pijąc popołudniową kawę. – Od rana tak patrzę

i nawet raz się, babciu, nie uśmiechnęłaś. Coś cię boli?

– Nic mnie nie boli. Nie przejmuj się, dziecko. – Babcia Róża, w swoim ulubionym słomkowym kapeluszu, siedziała w fotelu i czyściła miedziany rondel.

– Też mi się widzi, że coś Różę gniecie – poparła Tamarę Zofia. – Ale ja chyba się domyślam, co to takiego. Martwisz się, co się z nim stało?

– Z kim? – Tamara pytająco spojrzała na Zofię.

– No z tym, z tym Łukaszem.

– Daj spokój, Zosiu, Tamara nie lubi o nim rozmawiać.

– Babciu, co się stało? Powiedz, proszę. Skoro już zaczęłyśmy, w sumie sama zaczęłam, to chcę wiedzieć. Co ten pajac znowu zrobił?

– Nic nie zrobił. – Babcia podniosła wzrok znad rondla. – Nie mógł nic zrobić, bo go już ponad tydzień nie ma.

– No i dobrze – odpowiedziała Tamara, wydymając usta. – Czym ty się, babciu, przejmujesz? Pewnie pije i śpi. Czy to pierwszy raz? Wytrzeźwieje i przyjdzie się najeść. Tak to chyba jest?

– Jest jak jest, dziecko. Zresztą mówiłam, że to nieważne.

– Kiedy on zniknął całkiem – wtrąciła się Zofia. – Pytałam we wsi i nikt go od dawna nie widział. Ani trzeźwego, ani pijanego. Jakby się pod ziemię zapadł.

Tamara pokręciła głową z dezaprobatą. Mało obchodziło ją, gdzie i z jakiego powodu zniknął Łukasz, ale wiedziała, że babcia go lubi i na pewno szczerze się martwi o jego los.

A ten pewnie leży w swojej chałupie i nie wychodzi – pomyślała. – Bo akurat taki kaprys ma. I nie przyjdzie mu do tej pustej męskiej głowy, że ktoś się przejmuje i zastanawia.

– To ja pójdę do niego, babciu. Sprawdzę, co się dzieje.

– Ja cię, dziecko, nie chcę kłopotać...

– Żaden kłopot. Jakoś przeżyję. Tylko żeby było jasne – dla babci to robię. Bo patrzeć nie mogę, jak się zamartwiasz. Już ja mu powiem do słuchu!

Sprawdziła, czy ma kluczyki w kieszeni spodni i poszła do samochodu. Dojazd do chałupy, w której koczował, bo przecież inaczej nie dało się tego określić, ten nieodpowiedzialny dupek, jak go nazywała w myślach, zajął jej nie więcej niż trzy minuty. Zastukała do drzwi wyłącznie z grzeczności, bo nie spodziewała się, że ktoś otworzy. Nie czekając dłużej, nacisnęła klamkę. Zamknięte.

Kto by się spodziewał? Taki wolny, o nic się nie martwi, niczego nie potrzebuje, a drzwi zamyka – pomyślała złośliwie. – Boi się, że go okradną? No, ale nawet jak zamyka, to na pewno klucza ze sobą nie nosi. Znam to dobrze. Wie, że będzie pił, nie chce zgubić. Ciekawe, gdzie go utknął?

Rozejrzała się dookoła. Kamień z lewej strony drzwi, tuż przy framudze, od razu przykuł jej uwagę. Nie myliła się. Pod kamieniem leżał klucz.

Też mi kryjówka! – zakpiła w myślach – Pomysłowość godna nagrody. Żaden złodziej by się nie domyślił.

Bez wahania włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Nie miała wyrzutów sumienia, w końcu robiła to na prośbę babci. A jeśli on leży w środku i potrzebuje pomocy? Zdawała sobie sprawę, że gdyby był w domu, to nie zostawiałby klucza pod kamieniem, ale w głębi duszy była po prostu ciekawa, jak mieszka ten leśny człowiek. Zawsze taki tajemniczy, trudno wyczuć jakikolwiek jego słaby punkt. Może tutaj znajdzie coś, co jej pomoże przy najbliższej okazji raz na zawsze się z nim rozprawić.

Weszła i poczuła wielkie rozczarowanie. Już pierwszy rzut oka wystarczył, żeby zorientować się, że niczego tutaj nie znajdzie. Zresztą nawet sprzętów było niewiele. Pod oknem stało metalowe łóżko nakryte kraciastym kocem, przy łóżku pomalowany na zielono taboret. Na ścianie wisiały dwie półki, zupełnie puste, między nimi wbity w drewno kilka gwoździ, na których zapewne kiedyś wisiały obrazki,

ale teraz metalowe pręty sterczały smutne i samotne.

Tamara podeszła do kaflowej kuchni, na której stał jeden niewielki garnek. Zajrzała pod pokrywkę. Pusto. Zimne kafle były sygnałem, że nikt nie przygotowywał tu posiłku co najmniej od wczoraj. Na starej kuchennej szafce stały trzy talerze i dwa emaliowane czerwone kubki. Do jednego z nich włożono sztucze i niewielki nóż kuchenny. Na środku pokoju stał stół. Zupełnie nagi, nienakryty żadną serwetą ani ceratą, nieozdobiony wazonikiem czy jakimkolwiek innym drobiazgiem. Do blatu dosunięto jedno krzesło. Chyba Łukasz nie przyjmował gości – stwierdziła.

Po drugiej stronie pomieszczenia stała mocno zdezelowana szafa. Jedne z drzwi były niedomknięte. Kobieta podeszła do mebla i zajrzała do środka. Zupełnie puste wnętrze dało jej ostateczną odpowiedź.

Wyjechał – pomyślała. – Zabrał wszystko i zniknął. Palant!

Zrobiło jej się smutno, ale zaraz też pojawiła się złość. Dla niej mógł iść nawet do samego diabła, ale dlaczego nawet nie pożegnał się z babcią? Od początku wiedziałam, że to prawdziwy dupek – stwierdziła i trzasnęła drzwiami od szafy.



Lipcowa fala upałów była naprawdę trudna do zniesienia. Nikt nie myślał o pracy, każdy czekał tylko na koniec dnia, żeby jak najszybciej wyjść z biura i znaleźć się w jakimś chłodnym miejscu. Na szczęście w Borowej, w białym domku blisko lasu, upał mniej dokuczał. Około południa przeszła burza i kiedy deszcz ustał, powietrze zrobiło się rześkie, a słońce, które na powrót wyjrzało zza chmur, przyjemnie grzało.

Tamara cieszyła się z dwudniowego urlopu. Marek nawet zbyt nie protestował, bo sam chyba był zmęczony upałami. Poza tym w reklamie panował wakacyjny zastój, ponieważ klienci myśleli o urlopach i wyjazdach, odkładając sprawy zawodowe co najmniej na drugą połowę sierpnia. Dzięki temu Tamara mogła, tak jak zaplanowała, przyjechać do Borowej już w czwartek. Czyli dokładnie w dzień imienin babci Róży.

Siedziały teraz w sadzie, pod gruszą i świętowały. Na stoliku królował ogromny sernik z galaretką truskawkową. Tym razem piekła Tamara, robiąc staruszkom i córce niespodziankę. Babcia Róża dostała w prezencie komplet delikatnych porcelanowych talerzyków malowanych w fiołki.

– Będzie w sam raz na twoje konfitury, babciu – powiedziała Tamara, całując Różę.

– A ja nic nie mam! – załamała ręce Zofia. – Nie wiedziałam, że dzisiaj twoje święto.

– Nie przejmuj się, Zosiu – odpowiedziała babcia. – Właściwie od dawna nie obchodziłam takich uroczystości. Nie miałam z kim. Teraz mam. I twoja obecność to dla mnie najlepszy prezent.

Tamara jadła już drugi kawałek sernika i patrzyła na kobiety wokół siebie. Mimo różnicy wieku wszystkie uśmiechnięte, zadowolone. Doskonale się rozumiały, rozmowa nie milkła, a śmiech niósł się po całym sadzie. Życie nie umierać – pomyślała.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Tamara drgnęła, gdy usłyszała za plecami głos własnej matki. To niemożliwe – pomyślała i odwróciła się gwałtownie.

A jednak. Tuż za nią stała Ewa Dobrosz w swojej najlepszej letniej sukience, z nową fryzurą i paczuszką w ręku.

Zapadła cisza. Kobiety znieruchomiały i wpatrywały się w gościa, nie wiedząc, co powiedzieć. Potem, jednocześnie spojrzęły na babcię Różę. A ona wstała, podeszła do Ewy i powiedziała:

– Witaj w domu. Miło cię widzieć. Siadaj z nami, proszę. Marysiu – zwróciła się do nastolatki –

przynies babci fotelik.

– Dziękuję – powiedziała Ewa. – A to dla ciebie, Rózo. Pamiętam, że zawsze ci się takie podobały – podała babci Róży paczuszkę, którą przyniosła. Obdarowana rozwiązała wstążkę i zdjęła ozdobny papier. W środku była piękna czarna chusta w kolorowe, folkowe kwiaty.

– Tak. Zawsze mi się podobały. A ta jest szczególnie piękna. Dziękuję. I zapraszam na sernik. Twoja córka piekła.

Czas znowu ruszył.

– Mamo, co ty tutaj robisz? – zapytała Tamara. – Jak dojechałaś? Skąd wiedziałaś, gdzie jesteśmy?

– Babciu, to ty jednak znasz babcię Różę? – Marysia też była zaskoczona sytuacją.

Ewa Dobrosz usiadła na przyniesionym fotelu, tuż obok babci Róży.

– Powoli, nie wszystko naraz. To nie takie proste – spojrzała na Różę niepewnie. – Nie bardzo wiem, od czego zacząć...

– Najlepiej zacznij od czegoś zimnego do picia – uśmiechnęła się babcia Róża. – Bo chyba czeka cię dłuższa opowieść.

Podała gościowi szklanę z wodą mineralną.

– To ja może pójde zrobić herbatę albo kawę. – Zofia podniosła się z fotelika. – To chyba rodzinne sprawy, nie chcę przeszkadzać...

– Zofio, jesteś dla mnie jak rodzina. Zostań, proszę – zatrzymała ją babcia Róża. – Poza tym wydaje mi się, że znasz część tej historii.

Ewa Dobrosz wypila kilka łyków i odstawiła szklanę. Nabrała powietrza, jakby za chwilę miała wskoczyć do głębokiej wody i wypuściła je głośno.

– Rzeczywiście, należą wam się wyjaśnienia. Postaram się, ale od razu zaznaczam, że to dla mnie niełatwe. Dlatego chciałabym cię prosić, Rózo – zwróciła się do staruszki – żebyś dopowiedziała to, czego dokładnie nie wiem albo nie pamiętam. Szczególnie początek mojej historii.

Babcia Róża pokiwała głową. Ewa poprawiła się w fotelu, spojrzała na córkę i wnuczkę, które z ciekawością i zdziwieniem w oczach oczekiwały na jej opowieść, westchnęła i zaczęła mówić:

– Nie okłamałam was tak do końca. To znaczy, to, co mówiłam, częściowo było prawdą. Nie jestem spokrewniona z Różą, nie jesteśmy rodziną. A przynajmniej nie w sensie biologicznym. Ciężko mi o tym mówić, ale jestem porzuconym dzieckiem. Tak to określe, chociaż przez wiele lat nazywałam samą siebie znajdą, podrzutkiem, niepotrzebnym tobołkiem. Nie pamiętam tego, ale wiem z opowiadań Róży, że nasze pierwsze spotkanie, jeżeli tak można to określić, miało miejsce w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, w mroźną noc... Czy tak? – spojrzała pytająco na babcię Różę.

– Tak. Niedawno przyjechałyśmy do Kielc i kilka dni wcześniej znalazłyśmy mieszkanie, a właściwie pokój w niewielkim domku na obrzeżach miasta. Pamiętam dobrze tę noc. – Róża przymknęła oczy i przywoływała z pamięci dawne wydarzenia. – Obudziło mnie pukanie do drzwi. Właściwie to było takie cichutkie skrobanie. Najpierw myślałam, że to myszy, więc skuliłam się w łóżku i nakryłam kołdrą. Znowu usłyszałam ten dźwięk i wtedy zrozumiałam, że ktoś chce dostać się do środka. Było bardzo zimno, mroźno, nawet w domu nad ranem trudno było wytrzymać, bo palić też nie miałyśmy czym. Otulona kocem otworzyłam i zobaczyłam kobietę, właściwie młodą dziewczynę, może dwudziestoletnią. Poprosiła o coś do jedzenia. Ubrana była w cienki płaszczyk i dziurawe buty, nie miała czapki ani szalika. Zrobiło mi się jej żal i wpuściłam ją do środka. Dopiero wtedy dostrzegłam, że pod płaszczem niesie jakieś zawiniątko. Położyła je na stole. To było dziecko. Malutkie. Nie znałam się na tym, ale musiało mieć zaledwie kilka dni.

– To byłam ja – drżącym głosem wtrąciła Ewa.

– Tak – potwierdziła Róża. – Dziewczyna zjadła pół kromki chleba, a drugą połówkę zamoczyła

w wodzie. Patrzyłam, jak podaje ją dziecku. Wtedy obudziła się moja siostra, Maria, i Gustaw, jej mąż. Nie była zadowolona z niespodziewanego gościa, ale widok dziecka bardzo ją rozczulił. Wzięła je na rękę i kołysała, żeby płacz nie obudził lokatorów zza ściany.

Młoda kobieta prawie nic nie mówiła. Zresztą my nie pytaliśmy. Zjadła i chciała iść dalej. Podeszła do Marii, która trzymała na rękach dziecko. Pamiętam tę scenę, jakby to było wczoraj. Popatrzyły sobie w oczy, potem Maria zerknęła na męża. Ten skinął głową. I znowu spojrzenia kobiet się spotkały. Obie miały łzy w oczach. Po chwili dziewczyna otuliła się połami cieniutkiego płaszczyka i po prostu wyszła. Nigdy więcej jej nie widziałyśmy.

– Nie wiem, kim była moja matka. – Ewa obracała w dłoniach szklanekę z wodą. – Nigdy nie udało mi się odnaleźć żadnego śladu. Mogę się tylko domyślać, że uciekła z getta. Wtedy zaczęły się szczególnie nasilać represje niemieckie, a pół roku później getto zostało całkowicie zlikwidowane. Czy udało jej się uciec? A może tylko zabezpieczyła los dziecka i wróciła? Nie wiem – kobieta westchnęła. – Zresztą mogło być zupełnie inaczej. Mogła być po prostu młodą dziewczyną, która urodziła i nie potrafiła sobie z tym poradzić. Albo z zupełnie innego powodu musiała uciekać. To była wojna. Wszystko mogło się zdarzyć...

– Tak czy inaczej, dziecko zostało. Okazało się, że to dziewczynka i, jak wiecie, Maria dała jej na imię Ewa. Kilka dni ukrywaliśmy obecność dziecka, a potem zmieniliśmy mieszkanie. Gustaw znalazł pokój na ulicy Foscha, w suterenie. Tam wprowadzili się już jako małżeństwo z dzieckiem. Nie mieliśmy znajomych w Kielcach, więc udało się ukryć całą sprawę. Gustaw załatwił akt urodzenia, nie pytajcie jak, bo tego nie wiem. Widocznie znalazł dojście do odpowiednich osób albo coś sprzedał, choć wtedy chyba już nie bardzo mieliśmy co. Miałam tylko piętnaście lat i nie bardzo się w tych sprawach orientowałam. Wiedziałam oczywiście, że nikt nie może znać prawdy. Wtedy już za pomoc Żydom groziła kara śmierci.

Tamara miała łzy w oczach. Słuchała historii życia własnej matki, historii tragicznej, o której przez cały ten czas nie miała pojęcia. To było ogromne przeżycie. Widziała, że Marysia także słucha i jest przejęta opowieścią.

– Ewa rosła jako córka Marii i Gustawa – mówiła dalej babcia Róża. – Nikt nie mówił jej prawdy, bo i tak była za mała, żeby to zrozumieć, a poza tym baliśmy się. Szwagier znalazł pracę w zakładach „Społem”, Maria czasami jeździła za miasto, na wieś, żeby przywieźć coś do jedzenia, bo w mieście bywało z tym ciężko. Jakoś dawaliśmy sobie radę. Na początku czterdziestego trzeciego roku przeprowadziliśmy się do drewnianego domku na ulicy Szydłowskiej.

– Wcześniej był to teren getta, więc po jego likwidacji domy zostały puste – wtrąciła znowu Ewa. – Zresztą tej ulicy już nie ma. Na jej miejscu jest obecnie Targowa. Jeszcze kilka lat temu stał tam ostatni dom pamiętający wojenne czasy, ale on także został zburzony.

– Tak. To już tyle lat... – westchnęła babcia Róża. – Wtedy staraliśmy się po prostu przeżyć. Nikt nie wiedział, jak długo potrwa wojna i czy kiedykolwiek się skończy. Żyliśmy, ciesząc się każdym kolejnym dniem. Aż do piętnastego czerwca czterdziestego czwartego roku. Tego dnia AK przeprowadziła zamach na Franza Wittka, szefa niemieckich konfidentów, zniechęconego przez polskie podziemie. Ludzie nazywali go Diabłem i mówiło się, że jest nieśmiertelny, bo przeżył kilkanaście zamachów. Tym razem jednak chłopcom się udało. Ale przyszło im drogo za to zapłacić. Mieszkańcom Kielc także.

– Słyszałam o tym w szkole... – wyszeptała Marysia.

– Teraz uczą o tym na lekcjach historii, ale dla nas to była rzeczywistość – pokiwała głową Róża. – Jeden z zamachowców, ranny, uciekł i ukrył się właśnie na Szydłowskiej, dwa domy od naszego. Niemcom udało się to odkryć i zaczął się prawdziwy koszmar. Ostrzeliwali dom, a ukryci w środku chłopcy starali się bronić. Słysząc było świst kul, wojskowe komendy, serie z karabinu maszynowego.



Leżałyśmy kilka godzin na podłodze, Maria własnym ciałem chroniła Ewę. Wreszcie wszystko ucichło. Niemcy zdobyli dom. Żal nam było tych chłopców, ale strach o własne życie zawsze jest silniejszy. Myślałyśmy, że to nareszcie koniec. Myliłyśmy się.

Gustaw nie wrócił z pracy. Ani tego dnia, ani nigdy później. Był jedną z 207 osób rozstrzelanych tydzień później w odwecie za śmierć Wittka. Czy działał w podziemiu? Nie wiem. O takich rzeczach nikomu się nie mówiło. Maria rozpaczała. Bała się, że przyjdą także po nas. Zdecydowałyśmy, że musimy uciekać. Przez kilka dni krążyłyśmy po lasach, wreszcie, kiedy już myślałam, że umrzemy z głodu i wyczerpania, znalazł nas dobry człowiek.

– Ludwik Marcisz? – domyśliła się Zofia.

– Tak. Kłusował w lesie i widok dwóch wyczerpanych kobiet z małą dziewczynką musiał mu zmiękczyć serce, bo zabrał nas do siebie. Powiedział, że jesteśmy rodziną spod Końskich. Żył sam, bo jego rodzice zmarli na tyfus, a siostra wyszła za mąż aż pod Częstochową i tam mieszkała. Był nawet zadowolony z naszej obecności, bo przejęłyśmy kobiece obowiązki i jeszcze pomagałyśmy w gospodarstwie. Na początku było ciężko, ale szybko przywykłam do pracy i żyło nam się stosunkowo dobrze.

Ewa rosła, służyło jej wiejskie powietrze i lepsze niż w mieście jedzenie. Wojna się skończyła, byliśmy bardzo szczęśliwi. Wszyscy, oprócz Marii. Moja siostra nigdy nie pogodziła się ze śmiercią męża. Nie podniosła się po tej tragedii. Z każdym dniem, każdym miesiącem, świat coraz mniej ją obchodził. Siedziała wpatrzona w ścianę, coraz mniej jadła, przestała interesować się dzieckiem. Właściwie wychowywaniem Ewy zajęłam się ja. – Babcia Róża otarła łzę, która spłynęła po pomarszczonym policzku. – Nikt wtedy nie zajmował się leczeniem psychiki. Zwłaszcza na wsi. Maria była coraz smutniejsza, coraz chudsza, aż wreszcie dostała wysokiej gorączki i zmarła. Miałam wrażenie, że wcale nie boi się śmierci, że nawet cieszy się z tego. Umierając, miała na twarzy uśmiech. Mam nadzieję, że gdzieś tam spotkała swojego Gustawa.

– Przeżyłam śmierć matki. – Ewa przejęła na chwilę opowieść, dając babci czas na uporanie się z trudnymi wspomnieniami. – Matki, bo wtedy byłam pewna, że Maria jest moją matką. Tak do niej mówiłam. Ale nie rozpaczałam długo. Dzieci mają wielką wolę życia i zdolność do akceptowania tego, czego się nie da zmienić. Zresztą matka już na długo przed śmiercią oddaliła się ode mnie. Kolejna matka, która mnie porzuciła. Tak sobie to interpretowałam przez wiele lat, bo... – zamilkła w pół zdania.

– Traktowałam Ewę jak własne dziecko. Tak czułam od początku, a po śmierci Marii jeszcze bardziej. Bałam się, że Ludwik każe mi się wyprowadzić, nie miałam pojęcia, gdzie podzięję się z dzieckiem, ale wiedziałam, że Ewy nie zostawię. Jednak Ludwik okazał się naprawdę dobrym człowiekiem. Odczekał rok i zaproponował mi małżeństwo. Nie było między nami miłości, ale łączyło nas coś równie silnego – lata wspólnej walki o przeżycie i to, że obydwójce nie mieliśmy nikogo innego.

Ludwik był ode mnie o piętnaście lat starszy i ludzie na wsi już zaczęli plotkować. Że ja młoda, samotna i żyjemy pod jednym dachem. Nawet ksiądz podpytywał. No to zdecydowaliśmy się na ślub. I przeżyliśmy w zgodzie dwadzieścia pięć lat. Ludwik zmarł na raka. Nowotwór płuc. Nie dane nam było mieć własnych dzieci, ale oboje kochaliśmy Ewę i była nam córką. Zawsze.

Babcia Róża zamilkła. Zakończyła swoją część opowieści. Popatrzyła na Ewę, która nerwowo spletała dłonie.

– Teraz to już ty musisz opowiadać dalej. Bo to już tylko twoja historia...

Zofia już całkiem otwarcie chlipała, ocierając łzy rękawem bluzki. Marysia przysunęła swoje krzesło do fotela Tamary i przytuliła się do matki.

– Nie wiem, jak do tego doszło – zaczęła Ewa. – Ale najwidoczniej musiało. Do dziś zastanawiam się, czy to przeznaczenie, czy geny, czy może jeszcze coś innego. W każdym razie odkąd sięgam pamięcią, zawsze miałam poczucie, że jestem samotna. Nie zrozumcie mnie źle – dzieciństwo tutaj, w Borowej,

miałam bardzo szczęśliwe i beztrioskie. Nie wiem nawet, czy zdawałam sobie sprawę, że jest jakaś wojna. Potem też nie musiałam się o nic martwić. Miałam wszystko, czego dziecku trzeba – jedzenie, zabawę, wolność, brak problemów, i ludzi, którzy mnie kochali i zrobiliby dla mnie wszystko. Ba, robili to naprawdę – popatrzyła na Różę i uśmiechnęła się niepewnie. – Skończyłam siedmioklasową szkołę podstawową i Róża z Ludwikiem zdecydowali, że powinnam dalej uczyć się w Kielcach, w liceum. Wiem, że wiele ich kosztowało zapewnienie mi stancji i utrzymania. Teraz to rozumiem, ale wtedy było to dla mnie zupełnie naturalne. Mieszkałam w pokoju u jakiejś starszej pani, nawet nie bardzo ją pamiętam, bo prawie wcale się nie widywałyśmy. Siedziała w swoim pokoju, a ja u siebie. Na weekendy wracałam tutaj, ale reszta tygodnia do tej pory kojarzy mi się wyłącznie z pustym pokojem i samotnością. To chyba wtedy przyszło mi do głowy, że mnie zostawili, bo mnie nie kochają. Wiedziałam, że rodzice nie żyją, to znaczy Maria i Gustaw. I chciałam za wszelką cenę jak najwięcej o nich wiedzieć. Bez przerwy wypytywałam Różę, prawda? – zwróciła się do staruszki.

– Tak. A ja starałam się odpowiadać, ale nie o wszystkim mogłam mówić. Ewa nie знаła swojej prawdziwej historii i naprawdę nie miałam serca, żeby jej o tym powiedzieć. Zwłaszcza że widziałam, jak rozpaczliwie szuka wszystkiego, co dotyczy rodziców. Jak mogłam wyznać, że nie łączą jej z nimi więzy krwi? Może popełniłam błąd, ale wtedy uważałam, że robię dobrze. Zresztą do dziś nie wiem...

– W każdym razie ja szukałam. Gromadziłam wszystko – pierścionek mamy, zdjęcie ojca. Pewnego dnia, szukając kolejnych pamiątek, wpadł mi w ręce mój akt urodzenia. A w nim napisano, że urodziłam się w Warszawie. To mnie zastanowiło, bo z opowiadań Róży wiedziałam, że do Kielc przyjechali spod Krakowa. Zapytałam jeszcze raz, Róża potwierdziła. Wtedy pokazałam jej dokument i zażądałam wyjaśnień. – Ewa zamilkła, chowając twarz w dłoniach.

– Co miałam robić? Powiedziałam prawdę. Nie było sensu dalej brnąć w kłamstwa. Ewa skończyła siedemnaście lat, miała swój rozum. Opowiedziałam o zimowej nocy, o trudnej dla wszystkich decyzji...

– A ja poczułam, że tracę grunt pod nogami. Cały świat mi się zawalił. Zrozumiałam, to znaczy tak mi się wtedy wydawało, że nareszcie wiem, skąd moja samotność. Byłam niechcianym dzieckiem, porzucanym jak niepotrzebny bagaż przez kolejnych ludzi. Nie chciała mnie matka, nie chciała Maria, a teraz nie chce Róża – tak myślałam. Że wszystkim przeszkadzam. Coś we mnie wtedy pękło. Chciałam umrzeć – Ewa odsłoniła twarz i popatrzyła na siedzące wokół kobiety. – Ale potem zmieniłam zdanie. Doszłam do wniosku, że nawet tam nie ma nikogo, kto by mnie kochał. Nie wracałam już do Borowej. Przyjechałam tylko raz, po maturze, żeby powiedzieć, że chcę zdawać na medycynę. Wybrałam Białystok. Bo był najdalej.

– Cieszyliśmy się z Ludwikiem, że Ewa chce być lekarzem. Zadeklarowaliśmy, że nadal będziemy jej pomagać, ale ona niczego od nas nie chciała. Nie było mi z tym lekko, czułam się winna...

– Wiem, Rózo. – Ewa położyła dłoń na ręce babci. – Wiem, że sprawiłam ci wiele bólu. Ale wtedy nic mnie to nie obchodziło. Pogrążyłam się w jakimś szaleństwie, w nieistniejącym świecie, który sama stworzyłam. I ułożyłam sobie naprawdę diabelski plan na życie – znowu spojrzała na córkę i wnuczkę. – Doszłam do wniosku, że jedyną osobą, która z całą pewnością będzie mnie kochała, może być tylko moje dziecko. I muszę żyć po to, żeby je urodzić. Moje dalsze decyzje były tylko konsekwencją tej jednej. Pracowałam w wakacje, żeby zarobić na studia, przez pierwszy rok mieszkałam w małym pokoiku z dwoma koleżankami i jednym łóżkiem, na którym każda z nas spała co trzecią noc. A potem poznałam Jana, twojego ojca. Był moim wykładowcą. Nie wiedziałam, dlaczego zwrócił na mnie uwagę, dopiero potem powiedział, że przypominałam mu żonę, która zginęła podczas bombardowania Warszawy. Jan już wtedy miał ponad sześćdziesiąt lat. Najpierw po prostu mi pomagał, w tajemnicy oczywiście, a kiedy byłam na ostatnim roku, zamieszkaliśmy razem. Nie kochałam go szaleńczą, romantyczną miłością. Zresztą wtedy nie chciałam i chyba nie potrafiłam nikogo kochać. Ale był mi bliski, miałam dla niego

wiele czułości. I jemu jedynemu opowiedziałam o wszystkim. Zrozumiał i nie krytykował. Był mądry, wiedział, że są takie przeżycia, po których nikt już nie jest taki sam jak wcześniej.

Pobraliśmy się i zaszłam w ciążę. To był dobry czas w moim życiu. Taki spokojny, bezpieczny. A tego mi bardzo wtedy było trzeba. Niestety, środowisko nie zaakceptowało związku profesora ze studentką. Na szczęście Jan wykorzystał przedwojenne znajomości i załatwił sobie przeniesienie na inną uczelnię. Duże ośrodki go nie chciały, był już za stary, więc musieliśmy zdecydować się na Kielce. Nie chciałam tu wracać, ale wiedziałam, że nie ma innego wyjścia. Zdecydowałam się na specjalizację z anestezjologii i dzięki temu miałam zapewnioną pracę. Urodziłam Tamarę – wymarzoną istotę, która miała mnie kochać. Zaczęłam czuć się szczęśliwa i wtedy Jan odszedł. Nagle. Jego serce stanęło we śnie. – Wyciągnęła z torebki paczkę chusteczek, wyjęła jedną i wytarła nos. – Byłam na niego wściekła. Przecież mówił, że mnie kocha. Kolejna osoba, która mnie zawiodła, oszukała, zostawiła bez wyjaśnienia. Tak wtedy czułam. I miałam już tylko Tamarę.

Spojrzała na córkę, która siedziała naprzeciwko. Uśmiechnęła się smutno i mówiła dalej:

– Po śmierci Jana przemyślałam sobie wiele spraw. I zdecydowałam, że nigdy już z nikim się nie związę, nikomu nie zaufam. Doszłam do wniosku, że lepiej jest być samotnym niż ciągle przeżywać odrzucenie. Patrzyłam, jak rośniesz, Tamaro, i jedyne, czego chciałam, to uchronić cię przed podobnymi uczuciami, których ja musiałam doświadczyć. Dlatego robiłam wszystko, żeby nauczyć cię dyscypliny, kierowania się wyłącznie rozsądkiem i logiką, tłumienia emocji. Wybacz mi to, jeśli potrafisz, bo wtedy myślałam, że tak będzie najlepiej. Sama postanowiłam zapomnieć o przeszłości. Zamknąć dotychczasowe życie i nigdy do niego nie wracać. A częścią tego życia była Róża, Borowa, Ludwik, wspomnienie Marii... Żyłam w przekonaniu, że mi się udało. I że wreszcie panuję nad sobą i swoim życiem, że wszystko mam pod kontrolą i nie spotka mnie już nic, co będzie bolało. Aż do dnia, kiedy zadzwoniłaś i powiedziałaś o tym, co cię spotkało w Jagodnie.

– Zapomniałaś, że raz jednak tu przyjechałaś. – Babcia Róża popatrzyła Ewie w oczy. – Bardzo się ucieszyłam. Myślałam, że wróciłaś...

– Nie zapomniałam o tym. Ale chciałam. Przyjechałam raz, Jan mnie namówił. Dałam się przekonać. Tamara miała wtedy kilka lat. Wytrzymałam jedną noc. Dłużej nie mogłam. Róża, jej miłość, troska... I to, jak od razu Tamara ją zaakceptowała. Mur, którym otoczyłam swoje serce zaczynał pękać. A jednocześnie wszystko przypominało mi tu chwilę, w której dowiedziałam się prawdy. Do tego irracjonalny strach, że ktoś odbierze mi miłość mojego dziecka, że Tamara może pokochać Różę bardziej niż mnie. Do tego nie chciałam dopuścić. Nie dałam rady. Wyjechałam z postanowieniem, że już nigdy...

– Więc to nie była senna fantazja. To wspomnienia... – pomyślała Tamara, przypominając sobie to, co przyśniło jej się jesienią.

– To chyba wszystko, cała historia. Teraz znacie już prawdę – spojrzała na córkę i wnuczkę. – Możecie zrobić, co chcecie. Zrozumiem, jeśli będziecie mieć do mnie żal, nawet to, jeśli... – nie dokończyła. – Wszystko zrozumiem. Nie przyjechałam tutaj, żeby się tłumaczyć czy usprawiedliwiać. Nie liczę, że zrozumiacie, bo wiem, że tego nie da się zrozumieć. Mnie samej jeszcze nie do końca się udało. Zrobiłam to, co czułam. Po raz pierwszy od wielu lat. Tak, jak mnie uczyłaś ty, Rózo. Ciociu Rózo...

Wstała z fotelika i poprawiła fryzurę.

– Nie będę wam dłużej przeszkadzać. Na pewno potrzebujecie czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Zaraz zadzwonię po Józika. To mąż mojej koleżanki. Przywiózł mnie tutaj i przyjedzie po mnie... – Wyjęła z torebki telefon.

– Mamo! – Tamara poderwała się z krzesła. – Dokąd ty chcesz jechać? Teraz?! Po tym wszystkim?!

Podeszła do matki. Ich spojrzenia spotkały się i Tamara objęła matkę ramionami. Po raz pierwszy Ewa Dobrosz nie zeszywniała, ale odwzajemniła uścisk. Marysia patrzyła na kobiety i płakała. Ze szczęścia.

Ewa wyswobodziła się wreszcie z objęć córki i spojrzała pytająco na babcię Różę. Staruszka patrzyła, jak zawsze – spokojnie, ale w jej oczach widać było ogromną radość.

– Ewo, tu jest twój dom. Zawsze był. Nigdy nie musiałś z niego uciekać. Tym bardziej teraz. Siadaj, przecież wszyscy tu na ciebie czekali.

Lekarka wróciła na fotel, a córka podała jej talerzyk z sernikiem. W sadyku czuć było już wieczorny chłód, wszystko pachniało intensywniej, jaskółki raz po raz pikowały tuż nad samą ziemią.

– Będzie padało. Jaskółki nisko latają – powiedziała Zofia.

Przez chwilę panowała cisza. Każda z kobiet pogрузyła się we własnych myślach, każda na swój sposób próbowała przemyśleć usłyszaną opowieść, nazwać i zrozumieć swoje uczucia. Milczały, ale w tej ciszy była bliskość i zrozumienie. I choć różne wiekiem, doświadczeniami i emocjami, to żadna nie czuła się samotna w tej kobiecej wspólnocie.

– Najbardziej cieszę się z tego – powiedziała nagle Ewa – że nie udało mi się osiągnąć celu. Że miłość cioci Róży przetrwała we mnie. Dzięki temu mam jeszcze szansę na to, żeby chociaż trochę zmienić swoje życie. Pożyć zgodnie z tym, co powie mi serce, zastanowić się, co naprawdę czuję i może nawet spełnić kilka marzeń. Takich naprawdę moich.

– Marzenia szyte na miarę! – klasnęła w ręce Zofia. Tamara i Marysia spojrzały zdziwione. Tylko babcia Róża uśmiechnęła się lekko. A potem powiedziała:

– Tamarko, idź dziecko do kuchni. Przynieś te talerzyki, które dostałam od was w prezencie i słoiczek z kredensu. Chyba najwyższa pora na konfitury.

KONIEC

Polecamy również:

*Karolina Wilczyńska*

## **ZAPŁĄTANA MIŁOŚĆ. STACJA JAGODNO**

Zatrzymaj się na chwilę w urokliwej miejscowości w Górach Świętokrzyskich. Tutaj czas płynie inaczej. W Jagodnie spotykają się przeciwieństwa: wieś i miasto, kobiety i mężczyźni, starość i młodość, tradycja i nowoczesność. Karolina Wilczyńska odmienia smaki życia przez wszystkie przypadki.

Tamara – 36-letnia rozwódka i specjalistka od PR-u dostaje polecenie zorganizowania kampanii wyborczej kandydatowi na wójta gminy Jagodno. Podczas spotkania przedwyborczego jeden z oponentów zarzuca Tamarze, że promuje politykę prospołeczną, a sama zaniedbuje swoją rodzinę. Faktycznie jej nastoletnia córka Marysia ma problemy – chłopak namawia ją do zażycia narkotyków i domaga się „dowodu miłości”. Czy nowy partner Tamary przejdzie tę próbę rodzicielską? Czy Tamara uratuje córkę? Kim jest tajemnicza babcia Róża?

Trzy generacje kobiet i smak konfitur z fiołków, które potrafią osłodzić nawet najbardziej gorzkie życie. Najnowsza powieść Karoliny Wilczyńskiej to pełna ciepła opowieść o miłości, szczęściu i poszukiwaniu własnego miejsca na ziemi.

Karolina Wilczyńska



# ZAPŁĄTANA MIŁOŚĆ



STACJA JAGODNO



# SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[\\* \\* \\*](#)

[Polecamy również](#)